



Hanna Shen
RYNEK PANIEN MŁODYCH
- DZIECI NA SPRZEDAŻ



Piotr Lisiewicz
GWIŹDŹ NA OJCA
TWEGO I MATKĘ TWOJĄ

10/2016

NOWE PAŃSTWO

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

cena 12 PLN (w tym 8% VAT)
www.panstwo.net
nakład 16 820
indeks 211060
#128 10/2016



WOŁYŃ

LIST ZE SKRWAWIONEJ ZIEMI



Ilustracja: Marcin Troliński



List ze skrwawionej ziemi / 4



Gwiżdż na ojca twego i matkę swoją / 20

foto: ANTONIO LACERDA/PAF/EPA



Pokonywanie granic, pokonywanie siebie / 46

foto: AP/News.com



Niestosowne porównanie / 54

foto: Jorge Matia/PH/CC



Panny młode na sprzedaż / 68

Spis treści

TEMAT NUMERU 4-15

Wojciech Mucha

List ze skrwawionej ziemi / 4

Ryszard Czarnecki

Pamiętajmy o wczorajszym Wołyniu, / 9

pamiętajmy o dzisiejszej Moskwie

Andrzej Wroński

Męczeństwo Polaków na Wschodzie / 10

HISTORIA 16-45

Piotr Lisiewicz

Gwiżdż na ojca twego i matkę swoją / 16

Magdalena Złotnicka

U mistrza Mirona pachnie kapustą / 22

Dariusz Jarosiński

Razem się urodzili i razem zginęli / 28

Agnieszka Kowalczyk

Narcyza Żmichowska – niezłomna

Entuzjastka / 36

Włodzimierz Bączkowski

Sprawa ukraińska / 42

IDEE 46-53

Małgorzata Matuszak

Pokonywanie granic, pokonywanie siebie / 46

Konrad Wysocki

Kompleksowy rozwój / 50

polskiej zbrojeniówki

KULTURA 54-65

Krzysztof Karnkowski

Niestosowne porównanie / 54

z Cezarym Grzesiukiem rozmawia Sylwia

Krasnodębska (Polskie Radio)

Bekiński non-fiction / 58

Sylwia Krasnodębska (Polskie Radio)

Gdy science fiction

wkracza do sypialni / 62

Maciej Pawlak

Nagrody dla polskich

przedsiębiorców od „GPC” / 64

ŚWIAT 68-97

Hanna Shen

Panny młode na sprzedaż / 68

Olga Doleśniak-Harczuk

Gotowi na czarną godzinę / 72

Stefan Czerniecki

Niebiańska rosa pod Gargano / 76

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji / 86

Antoni Rybczyński

Lewant krwią skąpany / 88

Stephen Kotkin

Wieczna geopolityka Rosji / 93

Stefan Czerniecki

W Rio znów narzekanie / 96

Stale rubryki



Katarzyna Gójska-Hejke

Obowiązek szacunku i podstępny gracz

NA POZĄTEK

3



Małgorzata Matuszak

Czym jest... hedonizm

KATECHIZM INTELIGENTA

61



Ryszard Czarnecki

Ryba Angela, czyli o scenie politycznej RFN

CZARNECKO TO WIDZĘ

67



Olga Doleśniak-Harczuk

Berliński cios dla Merkel

Z GLOBALNEGO TYGŁA

84



Marcin Wolski

Bilans krzywd

PAPKULTURA

98



Tomasz Sakiewicz

Kierunek: polski rynek

OSTATNIE SŁOWO

99

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
POLITYKA CYWILIZACJA HISTORIA

NOWE
PAŃSTWO

miesięcznik

wydawca

SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA

02-056 Warszawa

ul. Filtrowa 63/43

e-mail: redakcja@niezalezna.pl

www.panstwo.net

ZESPÓŁ

Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska-Hejke (redaktor naczelną), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbanowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzbowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI

Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY

Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY

Mariusz Troliński

DTP

Aleksander Rączkarkow

KOREKTA

Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE

tel. +48 22 290 00 90 wew. 3

prenumerata@rejtan.org

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

4712401053111001019991772

DRUK LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960



Katarzyna Gójska-Hejke

NA POCZĄTEK

Obowiązek szacunku i podstępny gracz

Każdy, komu pamięć o ofiarach ludobójstwa na Wołyniu i w Galicji Wschodniej jest droga, musi mieć w tyle głowy niepodważalną prawdę – nigdy polskie ofiary nie uzyskiwały szacunku za sprawą Moskwy.

Dziesięć lat temu przygotowywałam serię reportaży z terenów dawnych Kresów RP. Spisywałam wspomnienia miejscowych Polaków. Od nich nauczyłam się wrażliwości na popłatane tamtejsze ludzkie losy, oni utwierdzili mnie w przekonaniu (moja rodzina nie ma kresowych korzeni), iż dziedzictwo polskiego państwa na terenach dzisiejszej Ukrainy, Białorusi, Litwy czy Łotwy jest po prostu częścią naszej narodowej tożsamości i żaden międzynarodowy pakt, żadne nowe granice tego nie zmieniają. Jeśli odetniemy się od pamięci kresowej Rzeczypospolitej, zatracimy część siebie. Nieprawdopodobnie wielobarwną i ujmującą część siebie.

Kultywowanie pamięci o Kresach nie podważa istnienia niepodległych państw naszych wschodnich sąsiadów. Mam wrażenie, iż większość naszych rodaków z sentymentem wspominających lwowskie, wileńskie, grodzieńskie życie swych przodków ma tego świadomość. Przeświadczeni o tym muszą być też nasi sąsiedzi władający dziś terenami dawnych Kresów. Mamy prawo oczekiwać od nich szacunku dla wielu wieków obecności państwa polskiego i polskiej kultury.

Jednak problemem w relacjach RP ze wschodnimi – kresowymi – sąsiadami są nie tylko sentymenty. Wraz z wybuchem II wojny światowej na Kresach rozpetano się piekło. Jego inicjatorami i głównymi wykonawcami byli okupanci, niestety otrzymali wydatne wsparcie naszych sąsiadów. W tym numerze naszego miesięcznika znajdują Państwo obszerną recenzję filmu Wojciecha Smarzowskiego „Wołyń”, który właśnie wchodzi na ekrany kin. Nie ulega wątpliwości, iż obraz wzbudzi ogromne emocje i poruszy dramatyczne wspomnienia wielu kresowych rodzin. Jest też artykuł opisujący męczeństwo Kresów – bo ludobójstwo na Wołyniu i w Galicji Wschodniej jest częścią, a nie głównym wydarzeniem Golgoty Wschodu.

Wiele lat temu na łamach miesięcznika „Niezależna Gazeta Polska” opisałam losy trzech Polek z Podkaminsia. Historia każdej z nich to materiał na oddzielny film. Szczególnie poruszyła mnie wówczas opowieść Marii, która wraz z rodzicami przeżyła atak „bänderów”. Ocalała dzięki ukraińskiej koleżance i jej rodzicom. Cudem uniknęła śmierci, choć inna koleżanka zadenuncjowała ją oprawcom. Przez całe dziesięciolecie niedosza ofiara i niesku-

teczna zbrodniarka żyły niemal po sąsiedzku. W obawie przed zemstą pani Maria nie mówiła o piekle, które przeszła. Dopiero jako staruszka opowiedziała o swych losach młodej dziennikarce z Polski, za co do dziś jestem jej wdzięczna.

W wielu ukraińskich, niegdyś kresowych, miasteczkach i wioskach żyły i żyją tysiące Polaków gnienionych strachem, z jakim zmagala się pani Maria. Wszystkim im, wszystkim ocalałym, którzy po zakończeniu wojny osiedlili się w granicach nowej Polski, wszystkim ofiarom, których zdecydowana większość spoczywa do dziś w bezimiennych dołach, jesteśmy winni pamięć i prawdę. Winne jest im to również współczesne państwo ukraińskie. Nie może być mowy o jakimkolwiek zwolnieniu od tej powinności. Z brzemieniem nierozliczonego, a wręcz zakłamanego ludobójstwa Kijów nigdy nie będzie stolicą demokratycznego, zachodniego państwa.

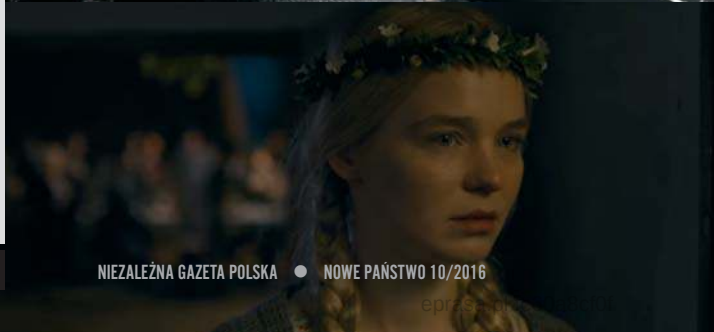
W Polsce musimy jednak pamiętać, iż jest gracz, który całe lata skwapliwie wykorzystywał dramat polsko-ukraińskich relacji. Wielokrotnie udowodnił, że z łatwością potrafi wcielić się w rolę pełnego współczucia sojusznika. Sęk w tym, iż na jego rękach jest cały ocean polskiej krwi, a w działaniach tysięcy kłamstw odrzucających prawdę o niewyobrażalnych zbrodniach na Polakach, jakich dopuszczał się przez całe dziesięciolecie. Każdy, komu pamięć o ofiarach ludobójstwa na Wołyniu i w Galicji Wschodniej jest droga, musi mieć w tyle głowy niepodważalną prawdę – nigdy polskie ofiary nie uzyskiwały szacunku za sprawą Moskwy. Nigdy – przy współpracy z Kremlenem – nie następowało odkłamywanie polskich dziejów. Rosja cynicznie gra emocjami wielu rodzin kresowych, zerując na ich słusznym poczuciu krzywdy i braku sprawiedliwości.

W tej trudnej sytuacji instytucje Rzeczypospolitej winny ze szczególną rozwagą budować relacje z broniącą się przed rosyjską agresją Ukrainą i ze szczególną delikatnością podchodzić do emocji środowisk kresowych. Prowadzona przez lata polityka unikania tematu zaowocowała – co było łatwe do przewidzenia – nieufnością i niewiarą w chęć domagania się prawdy przez instytucje RP. Zmiana tego nastawienia, ale również zmiana polityki ukraińskiej w sprawie zbrodni popełnionych na Polakach, to wielkie wyzwanie dla obozu władzy. ■

Wojciech Mucha



Pierwotnie film „Wołyń” miał być zatytułowany „Nienawiść”. Dobrze się stało, że z tego pomysłu ostatecznie zrezygnowano. Bo to nie jest obraz o nienawiści. To film o metafizyce, która ciąży nad tą geograficzną krainą. Metafizyce zła. Wołyń staje się areną, na której zdaje się ono triumfować.





skrwawionej ziemi



foto: Kacper / filmu „Młody”



Wojtek Smarzowski od początku przekonywał, że nie interesuje go zrobienie filmu błahego. Cóż, „Wołyń” bez wątplenia filmem błahym nie jest. Ci, którzy spodziewali się czarno-białej opowieści o dobrych Polakach i krwiożerczych Ukraińcach, srodze się zawiodą.

Znając poprzednie filmy autora (np. „Wesele”), można się było spodziewać dawki zintensyfikowanej brutalności. Krwawych scen, które – znając choćby relacje ocalałych z ludobójstwa – miały sprawić, że ludzie będą mdleć lub wychodzić z kina, nie wytrzymując emocji. Obawiano się gry szczegółami, przewlekłych, ciągnących się przez długie minuty obrazów katowania Polaków przez Ukraińców. Ale nie tylko obawiano. Część komentatorów wręcz się ich domagała. I oni także się zawiodą.

► Aby mdleli i rzygali

Roztrząsania o tym, czy na ekranie zakrępuje przechodzący w epatowanie sadyzmem realizm *de facto* zdominowały dyskusję nad powstającym obrazem. „Oby Smarzowski pokazał wszystkie sceny, i wszystko, co tam się działo. Tak aby ludzie mdleli i rzygali. Świat musi się dowiedzieć, jak tam było” – czytamy jedną z opinii na największym polskim serwisie filmowym Filmweb. Nie jest odosobniona, podobne stanowisko zajmowali wielokrotnie już bynajmniej nie anonimowi komentatorzy, widzący w takim ukazaniu sprawy jedyną drogę do triumfu prawdy. Szczęśliwie reżyser nie poszedł w tę stronę. Postawił na grę napięciem, osaczeniem, strachem i niepokojem, które nieuchronnie prowadzą nas w stronę zagłady. Bo „Wołyń” to intensywne studium zła, nadchodzącego jak widoczna z oddali burza czy olbrzymi pożar, którym można się jedynie biernie przypatrywać lub przed którymi uciekać w popłochu. Zło, które wkrada się powoli w miasteczko, obejście, dom. Zło, które pęta. I właśnie o opętaniu złem jest ten film.

Atmosfera nadciągającej pozoży towarzyszy od pierwszych scen filmu. Przeciagająca się celowo scena zaślubin Polki i Ukrainki, którzy w jednej z kresowych wsi tuż przed wybuchem II wojny światowej obiecali sobie miłość, daje nam możliwość wglądu w życie społeczności. Ta, choć podzielona pomiędzy Polaków, Żydów i właśnie Ukraińców, jest w stanie koegzystować w sposób względnie pokojowy. Mniej więcej tak jak w historii Jana Stawarskiego, uratowanego przed ban-

derowcami przez węgierskie wojsko Polaka z Kosowa Huculskiego (historię Stawarskiego opisywaliśmy w „Gazecie Polskiej” z 11 marca 2013 r.). – Na wspólnym boisku grały drużyny Polaków, Ukraińców i Żydów. Trzy narodowości żyły zgodnie obok siebie – wspominał Stawarski, dziś sędziwy mieszkaniec Wieliczki.

► Kielkujące zło

Pomimo tej pozornej idylli, widmo zagłady pojawia się już na samym początku, w scenie, kiedy pannie młodej odcinany jest siekierą warkocz. Już wtedy widz czuje, że ten motyw powróci bezlitośnie. Nim jednak powróci, Wołyń będzie zdeptynany na przemian niemieckim i sowieckim butem. Zobaczymy zagładę Żydów i wywózki Polaków ze „skrwawionych ziem” (by posłużyć się określeniem ukutym przez historyka Timothy’ego Snydera) na ziemię nieludzką. Tu krytyce trzeba podać sposób ukazania przez twórcę niemieckich okupantów, którzy po wkroczeniu na Wołyń i „ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej” zmieniają się w niewtrącających się w życie społeczności administratorów ziem i pobieraczy kontrybucji. Również partyzantka sowiecka ukazana jest we względnie pozytywnym świetle, co zapewne ucieszy widzów na Kremlu.

Obserwujemy wzajemne wypieranie się siebie przez bliskich przyjaciół i mimikrę, która każe ludziom wpasowywać się naprzemiennie w przynieszone przez okupantów formy. Tak jak Stepan Szuma, miejscowy ukraiński urzędnik, na przemian stawiający kolejnym najeźdźcom bramy powitalne. Scena z wiecu, na którym głosi chwałę sowieckiej władzy, jest żywcem wyjęta z powieści Józefa Mackiewicza. Strach, kryjówki zajmowane naprzemiennie przez Polaków i Żydów, śmierć mogąca nadejść z każdym końskim tętentem i każdym rykiem silnika.

Prócz obu totalitaryzmów widzimy oczywiście kielkujący jeszcze przed wojną ukraiński nacjonalizm. Banderowców, wciskających prostym chłopom propagandowe ulotki i opowiadających im o „bohaterskim” mordzie na Bronisławie Pierackim, przedwojennym polskim ministrze spraw wewnętrznych, zamordowanym przez członka Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów. Czy jednak ta zwykła wołyńska wieś jest dobrym podglebiem dla takich nastrojów? Czy da się rozpałić konflikt etniczny w miejscu, gdzie społeczność pojmuje rzeczywistość w zgola przyziemnych kategoriach, i gdzie za chwilę pocznie ją rozrywać brunatny i czerwony żywioł?

► Samostijna Ukraina

W filmie brak odpowiedzi właśnie na to pytanie: co doprowadziło do ludobójstwa? Jak to się stało, że bandom ukraińskich nacjonalistów, którzy w filmie przybývajú nie wiadomo skąd, udało się podzielić wsie i obrócić jednych ludzi przeciwko drugim? Trudno to tłumaczyć tym, że oto nagle chłop ukraiński „zapragnął wolnej Ukrainy”. Wszak jeszcze przed chwilą żył obok polskiego chłop, spierał się z „polskim panem”, następnie korzył przed Sowietem i Niemcem. I nic nie zapowiadało takiej apokalipsy. Smarzewski nie tłumaczy tego, w jaki sposób banderowcy zdołali podburzyć setki ludzi do krwawej kaźni. Nie tłumaczy, bo i chyba nie da się prosto wytłumaczyć tego, że widzianego jeszcze rano na gościńcu znajomego chłopczyka owija się nocą na sygnał w stożek siana i z uśmiechem na ustach podpala, fetując zbrodnię.



foto Kadr z filmu „Wołyn”

Czy odpowiedzią na to, co się wydarzyło, jest piekielna wręcz scena, kiedy ukraiński duchowny błogosławi sierpy i kosy, narzędzia świętej pracy? Zaraz potem posłużą one ukraińskim chłopom do rozprawy ze swoimi sąsiadami. Wymiar symboliczny jest wstrząsający – w uświęconej przestrzeni niemal namacalnie wyczuwa się obecność diabła. Na „skrzwawionej ziemi” pozostawionej przez Boga, pojawiają się szatani i opętanie. Wkracza nawet do kościoła, by porwać Ukraińców i w „krwawą niedzielę” 11 lipca pchnąć ich do innej świątyni, gdzie mordują oni swych polskich współbraci.

To właśnie szatańskim opętaniem czasami tłumaczy się stopień bestialstwa, z jakim mordowano Polaków. To już nie „zwykła nienawiść”, straszna, ale jeszcze do pojęcia. To nie są morderstwa w afekcie czy nawet zabójstwa z premedytacją. To piekło na ziemi zgotowane ludziom przez ludzi. I wciąż nie ma odpowiedzi: dlaczego? Bo czy rzeczywiście po latach wojny i okupacji winne temu mają być kolportowane pomiędzy ukraińskimi chłopami

informacje o niesprawiedliwej przedwojennej polskiej polityce? Czy pchnęła ich do tego wizja „samostijnej Ukrainy”. Czy tym przekonano tych prostodusznych ludzi?

Film nie pozostawia nikogo bez winy. Oczywiście winy są niewspółmierne. I tak jak nie można przyrównać do zagłady dokonanej na Żydach przez Niemców pokazanego tu i ówdzie uprzedzenia części Polaków i Ukraińców do żydowskich sąsiadów, tak nie sposób tłumaczyć późniejszego ludobójstwa na Polakach pogardliwymi tekstami, rzucanymi przed wojną Ukraińcom przez polskich osadników. Widzimy wreszcie odwet tych ostatnich za dokonane na ich najbliższych zbrodnie. Niemal równie brutalny i gwałtowny co rzeź (co zresztą kwestionują historycy – Polacy mieli nie dopuszczać się podobnych okrucieństw). Czy odwet sprawiedliwy? Gdzie zdaje się nie być Boga,

nie ma miejsca na sprawiedliwość.

A jednak przebija się ona momentami, jak w scenie, gdy inny od świętującego kosa duchowny wschodniego obrządku apeluje o pojednanie lub gdy dla ratowania

Polki i jej dziecka Ukraińiec posuwa się do bratobójstwa, likwidując zaślepionego banderyzmem brata – bandytę.

► Rozchwiany most

Film Smarzewskiego powstawał w bólach. Jak przekonuje sam reżyser, prace nad nim rozpoczęły się jeszcze w 2012 r. – Przed wydarzeniami na kijowskim Majdanie – mówił po pokazie, jaki dla dziennikarzy, publicystów i historyków zorganizowano kilkanaście dni temu.

To istotne zastrzeżenie. Film i towarzyszące mu emocje pojawiają się bowiem w szczególnym momencie. Na Ukrainie od ponad dwóch lat trwa wojna z Rosją, poprzedzona „rewolucją godności” na Majdanie. Jednocześnie od dwóch lat trwają nieustanne kontrowersje na temat tego, że za naszą wschodnią granicą prowadzi się politykę historyczną, opartą na kulcie Ukraińskiej Armii Powstańczej i reszty nacjonalistycznych bojowników okresu II wojny światowej i czasów antykomunistycznej walki po jej zakończeniu.

Strona ukraińska zdaje się tym samym nie dostrzegać potrzeby wzięcia odpowiedzialności za



fot. Kadr z filmu „Wołyń”

wydarzenia sprzed 72 lat, a na pewno nie w takim zakresie, jak chcielibyśmy tego my. Cóż – można zawsze twierdzić, że historia nie jest nauką obiektywną i że akcenty zawsze będą rozkładane inaczej. Że dla Kijowa, toczącego wojnę z Moskwą, bojownicy UPA są doskonałymi bohaterami zbiorowej pamięci. Tylko czy to cała prawda i czy da się na niej cokolwiek trwałego zbudować?

Czy film, jak chce tego reżyser, stanie się mostem, który połączy Polaków i Ukraińców? Nie ma na to prostej odpowiedzi. Dla radykalnych środowisk ukraińskich taka wizja historii jest nie do przyjęcia. Kult Ukraińskiej Armii Powstańczej, kreowanych na naddnieprzańskich żołnierzy wyklętych, bojowników kolejnych sotni UPA, nie chce pomieścić strasznych historii z Wołynia i Małopolski Wschodniej.

Romana Szuchewycza woli się na Ukrainie widzieć jako zamordowanego w 1950 r. w obławie NKWD „leśnego” niż jako głównego sprawcę zagłady na Polakach A.D. 1943. Podobnie Dmytro Klaczkiwski, niesławny „Kłym Sawur”, to dla Ukraińców wciąż bardziej pułkownik UPA i członek Prowidu OUN niż autor tajnej dyrektywy „o powszechnej fizycznej likwidacji całej ludności polskiej, zamieszkałej na terytorium zachodnich obwodów Ukrainy”. A co z chłopami, dziewczkami i babkami, pamiętającymi jeszcze tamten krwawy czas? Jak pogodzić te dwie historie? Jak pogodzić składanie kwiatów pod warszawskim pomnikiem ofiar ludobójstwa na Polakach i nadawanie głównej arterii Kijowa imię Stepana Bandery? To jednak nie nasz problem.

Nie mam przy tym wątpliwości, że są wśród naszych wschodnich sąsiadów tacy, którzy wiedzą, że historii się nie zmienia i trzeba z nią się rozliczyć, bo może powrócić jak niedogaszony pożar:

„Ci bojownicy walczący o wolność i niepodległość naszego kraju mogą znaleźć miejsce w Panteonie Narodowym, którzy nie mordowali dzieci, kobiet, starców, nie popełniali zbrodni na ludności cywilnej”. Te słowa wraz z zapewnieniem o poszanowaniu nienaruszalności granic i mniejszości narodowych pochodzą z oświadczenia podpisanego przez liderów ukraińskich nacjonalistów z takich organizacji, jak Kongres Ukraińskich Nacjonalistów, UNA-UNSO czy Prawy Sektor. Oświadczenie wydano w przeddzień ubiegłorocznych obchodów polskiego Święta Niepodległości, kiedy Ukraińcy złożyli w Warszawie kwiaty przed pomnikiem Rzezi Wołyńskiej. To ich miałem na myśli, kiedy w dyskusji po projekcji filmu Smarzowskiego wspomniałem, że rozumiem go nawet niektórzy ukraińscy nacjonałiści (czym wywołałem rechot części naszych „ekspertów”). Jeśli taką postawę przejawiają nawet ludzie o skrajnych poglądach, ileż musi być takich pośród „zwykłych Ukraińców”? Znakomita większość.

„Wołyń” rozpoczyna się cytatem z Jana Zaleskiego: „Kresowian zabito dwukrotnie. Raz przez ciosy siekierą, drugi raz przez przemilczenie, a to drugie morderstwo jest gorsze od pierwszego”. I choć jest to prawda, to jedynie w części. Kresowian mordowano na wiele sposobów. Ginęli od niemieckich kul, sowieckich kul, zabiłanych kul. Z głodu i wycieńczenia. Wywożono ich na zesłanie i zamęczano na śmierć. Zamęczyli ich jednak także ukraińscy nacjonałiści. Film Wojciecha Smarzowskiego oddaje cześć właśnie im – zapomnianym i przemilczanym. Narazie przywraca tę całą zbiorowość naszej pamięci, prawdopodobnie już na stałe. Kresowianie wracają niczym „Wyklęci”. A poza tym? Jak dało się usłyszeć po projekcji filmu – dzięki „Wołyniowi” Wojtek Smarzowski został... Wojciechem Smarzowskim. ■



Ryszard Czarnecki

Pamiętajmy o wczorajszym Wołyniu, pamiętajmy o dzisiejszej Moskwie

Powiedzmy jasno: publiczne przypominanie i potępienie ludobójstwa Polaków na Wołyniu jest nie tylko kwestią prawdy historycznej, lecz także szacunku dla samych siebie i własnych dziejów. Jednocześnie nie powinno i nie może prowadzić to do politycznego „antyukrainizmu” – bo to byłby najlepszy prezent dla Moskwy.

Mówiono mi w Kijowie, że Ukraińcy z obawą czekali na premierę polskiej fabuły o ludobójstwie na Wołyniu Wojciecha Smarzowskiego. Pewnie te obawy byłyby znacznie mniejsze, gdyby wcześniej potrafili się rozliczyć z własną, doprawdy także bardzo wstydliwą, historią krwawego antypolonizmu. Nie mogli tego zrobić w okresie komuny – rozumiem. Ale mieli na to 25 lat swojej niepodległości. Staram się zrozumieć, że przez ponad dwie dekady czynnik rosyjski nie tylko w polityce zagranicznej, lecz także wewnętrznej Ukrainy był bardzo istotny, a często decydujący – i to był powód, dla którego nie zrobiono tego nawet po „pomarańczowej rewolucji”, do czasów przedmajdanowskich. Ale gdy Kijów był już naprawdę „na swoim”, od końca lutego 2014 r. cały czas słyszeliśmy tę samą śpiewkę: „nie teraz, to zły czas, teraz mamy wojnę z Rosją, na tym trzeba się skupić”. Od jednego z ludzi obecnego rządu (bardzo ważny resort) usłyszałem albo bardzo naiwne, albo pseudocwane: „zostawmy to historykom”. Gdyby przyjąć taką pseudofilozofię, oznaczałoby to, że odkładamy powiedzenie prawdy o ludobójstwie *ad Kalendas Graecas*. Mówiąc bardziej potocznie: „na świętego Nigdy”. Tak się po prostu nie da.

Uleganie skrajnym nacjonalistom czy ludziom całkowicie pozbawionym refleksji historycznej, a przy okazji geopolitycznej, prowadziło na Ukrainie do coraz większych możliwości dla rosyjskich manipulacji w obszarze polityki historycznej. Rosjanie nie idioci, zwiertzyli szansę i zaczęli umiejętnie szczuć przeciw Polakom, wykorzystując, tradycyjnie zresztą, nacjonalistów znad Dniepru. O tym, że skrajnie nacjonalistyczna UNA-UNSO jest manipulowana przez rosyjskie służby, mówiło się od lat. Ale mam pretensję do „Gazety Wyborczej”, że publikując wywiad Igora T. Miecika z politycznie oszalałym pod koniec życia, niegdyś dzielnym więźniem so-

wieckich łagrów, Jurijem Szuchewyczem, synem założyciela UPA, obecnie posłem do Wierchownej Rady, wspomniała jedynie półgębkiem, że należy on do Radykalnej Partii Oleha Liaszki, ale już nawet nie zająknęła się, że w powszechnej opinii partia ta była w okresie kampanii wyborczej finansowana (czy dalej też?) przez prorosyjskiego oligarchę, ściganego listami gończymi, z zakazem wstępu na terytorium Ukrainy i ponoć mieszkającego w Wiedniu – Dmytro Firtasza. Nie dziwmy się więc, że najostrejsze wypowiedzi przeciwko mówieniu prawdy o Wołyniu pojawiają się nie wśród polityków Bloku Poroszenki czy nawet bardziej odwołujących się do retoryki narodowej – Batkiwyszczyny (Ojczyzny) Julii Tymoszenko czy Frontu Ludowego (Narodowego) Arsenija Jaceniuka, lecz właśnie wśród radykałów mających niejasne (albo raczej całkiem jasne) powiązania finansowe.

Trzeba było powiedzieć prawdę o Wołyniu. Wymowę tego stanowiska po naszej stronie osłabił tylko brak aklamacji, bo dało to pole do rozgrywek zwolennikom amnezji historycznej po obu stronach polsko-ukraińskiej granicy.

Powiedzmy jasno: publiczne przypominanie i potępienie ludobójstwa Polaków na Wołyniu jest nie tylko kwestią prawdy historycznej, lecz także szacunku dla samych siebie i własnych dziejów. Jednocześnie nie powinno i nie może prowadzić to do politycznego „antyukrainizmu” – bo to byłby najlepszy prezent dla Moskwy. W naszym elementarnym interesie jest wspieranie niepodległej Ukrainy ze wszystkimi (trudno) jej błędami i swoistą specyfiką, bo to odrzuca Rosję dalej od Polski.

Nazywajmy więc rzeczy po imieniu: mówmy o ukraińskich zbrodniach na Polakach sprzed ponad 70 lat i o rosyjskiej polityce imperialnej dziś. Bynajmniej to nie alternatywa. To koniunkcja. ■

Andrzej Wroński



MĘCZEŃSTWO POLAKÓW NA WSCHODZIE

Męczeństwo naszych
rodaków na Kresach
to dramat, który ciągle
przeraża. Historii
nie można zmienić,
ale to, co należy
zrobić, to walczyć
o pamięć
o Polakach,
mieszkańcach
tych ziem,
z których
prawie każdy
przeszedł
swoją
Golgotę.

Wschodnie ziemie I Rzeczypospolitej kojarzą się najczęściej z potęgą państwa polsko-litewskiego, od czasów jagiellońskich aż po koniec XVII wieku, jednego z głównych rozgrywających w polityce europejskiej. Trzeba jednak pamiętać i tym, że ta epoka chwały miała również swoją cenę, jaką niesie zazwyczaj tworzenie państwa wielokulturowego. Polacy zawsze byli na Wschodzie mniejszością i chociaż dominowali kulturowo i politycznie w tym tyglu etnicznym, religijnym, mentalnym, nigdy nie udało się zasypać wszystkich podziałów i ziemie te niejednokrotnie spływały krwią. Sytuację tę pogarszało jeszcze sąsiedztwo Rosji bliskiej kulturowo niektórym nacjom zamieszkującym wschodnie obszary naszego państwa.

► XIX wiek – preludium

Wiek XVIII, który był już tylko snem o potędze, oraz epoka rozbiorów pogłębiły jeszcze ten problem. Rosja, inspiratorka zagłady Rzeczypospolitej, która zagarnęła największą część naszych ziem, była w dodatku arcy mistrzem w stosowaniu zasady *divide et impera*. W poprzedniej epoce nastąpiła z pewnością polonizacja części elit litewskich, znacznie gorzej sytuacja wyglądała na Ukrainie, której rdzenni mieszkańcy należeli w olbrzymiej większości do stanu chłopskiego. W latach 30. XIX wieku w trzech województwach (*de facto* guberniach rosyjskich) wołyńskim, podolskim i kijowskim, na 500 tys. Polaków, właściwie wyłącznie szlachty, przypadało 5 mln Rusinów. Oczywiście podejmowano próby odwrócenia karty dziejów, organizatorzy naszych powstań narodowych szukali możliwości stworzenia wspólnego frontu mieszkańców dawnej Rzeczypospolitej przeciwko Rosji. Dla wielu ideowych romantyków doby styczniowej insurekcji trójdzielna pieczęć z Orłem, Pogonią i Archaniołem była niemal relikwią, a manifest powstańczy wzywał do walki narody Polski, Litwy i Rusi. Rzeczywistość była jednak nieubłagana, udało się wprawdzie porwać do walki część rdzennych Litwinów, ale na Rusi było zupełnie inaczej. Pomijając epizody, jak historia polskich „atamanów”, najpierw Karola Różyckiego w powstaniu listopadowym, a później Edmunda Różyckiego w styczniowej insurekcji, którym udało się stworzyć niewielkie polsko-rusińskie formacje, sytuacja wyglądała źle.

Obojętność rusińskich chłopów na wezwania powstańców w 1831 r. przerodziła się w otwartą wrogość w 1863 r. Nie pomogły Złote Hramoty obiecujące chłopom wolność i ziemię, wpływy rosyjskiej administracji i prawosławnej Cerkwi były większe. Wystarczy wspomnieć, że tylko w województwie

kijowskim do walki przeciwko kilkusetosobowej garstce powstańców zmobilizowano 120 tys. rusińskich chłopów! Duch Jakuba Szeli odżył na Ukrainie w jeszcze potworniejszej postaci. We wsi Sołowijówka 21-osobowy oddział powstańców został zmasakrowany przez ponadtyśieczną watahę chłopów uzbrojonych w kłonicie, topory i kosy. We wsi Borodianka kilkudziesięciu powstańców spalono żywcem wraz z przyniesionymi przez nich Hramotami. Na próżno ukraiński poeta Taras Szewczenko wzywał: „Więc podaj rękę kozakowi i czyste serce swoje daj”, gen nienawiści tak umiejętnie zasiany przez rosyjskiego zaborcę miał na długo pozostać w wielu polskich i ukraińskich sercach. Musimy o tych XIX-wiecznych wydarzeniach pamiętać, śledząc tragiczne losy Polaków na Wschodzie w wieku XX. Jeszcze raz jednak podkreślam, twórcą tego muru, jaki wyrósł pomiędzy Polakami i Rusinami, była Rosja.

► Koniec marzeń o wielonarodowym państwie

Odzyskanie niepodległości nie rozwiązało tych problemów, chociaż jeden z ojców Niepodległej Józef Piłsudski uparcie powtarzał, że tylko wielonarodowe państwo składające się z Polaków, Litwinów, Ukraińców i Białorusinów może dać szansę na zachowanie odzyskanej wolności. Wojna z Rosją z lat 1919–1920, chociaż ocaliła nie tylko odrodzone z popiołów państwo polskie, lecz także całą Europę, przekreśliła nadzieję na rychłą odbudowę wielonarodowego państwa i tym samym zmniejszenie na przyszłość skali zagrożenia ze Wschodu. Ten konflikt uzmysłowił również Polakom, czym jest państwo sowieckie, jak małą wartość ma tam życie ludzkie, jak silne jest tam pragnienie zniszczenia Polski. Na długo, zwłaszcza mieszkający terenów na wschód od Wisły, zapamiętali straszliwy marsz Sowietów na Warszawę w 1920 r., znaczoney bezmiarem mordów, gwałtów i zniszczeń.

Traktat ryski zawarty w marcu 1921 r. nie mógł usatysfakcjonować wszystkich Polaków, zwłaszcza tych, których pozostawił za naszą wschodnią granicą, którym odbierał wszelką nadzieję. Żeby zrozumieć ten dramat, wystarczy spojrzeć na mapę I Rzeczypospolitej i porównać ją z mapą II Rzeczypospolitej po zawarciu wspomnianego traktatu. Zresztą wielu współczesnych zarzucało Piłsudskiemu, że wyraził zgodę na taki przebieg granicy. Ten jednak uważał, że trzeba było zakończyć tę wojnę o granice, że danina polskiej krwi tych kilku wojennych lat była już zbyt duża.

Bezpiecznie nie było zresztą również w przygranicznych rejonach leżących po polskiej stronie. To przez całe 20-lecie międzywojenne była gorąca granica, liczba przestępstw się od Sowietów dywersantów i prowokatorów była tak duża, że w 1924 r. powołano Korpus Ochrony Pogranicza w celu zwiększenia bezpieczeństwa z tej

strony. KOP faktycznie był przez kilkanaście lat elitarną formacją WP, trochę rozmontowaną, niestety, na początku 1939 r., kiedy niebezpieczeństwo wojny z Niemcami uznano za bardziej priorytetowe. Dodajmy, że powołanie KOP miało na celu nie tylko zabezpieczenie granicy z Sowietami, lecz także z Litwą, z którą, niestety, stosunki II RP układały się źle. Pamiętajmy również o tym, że problem naszych Kresów w okresie międzywojennym to nie tylko ciągle zagrożenie ze Wschodu, to także nie najlepsze stosunki z mniejszościami narodowymi, zwłaszcza z częścią nastawionych nacjonalistycznie Ukraińców, chociaż gehenny, jaką miała przynieść przyszłość, nikt nie przeczuwał.

► Operacja polska

Nie znamy dokładnie liczby Polaków, potomków mieszkańców dawnej Rzeczypospolitej, których traktat ryski pozostawił po sowieckiej stronie. Było ich co najmniej 600 tys., ale prawdopodobnie ich liczba sięgała miliona. Skąd ta różnica? Po prostu po tamtej stronie niebezpiecznie było przyznawać się, że jest się Polakiem. Żadna z mniejszości narodowych, które znalazły się w granicach państwa sowieckiego, nie była tak znienawidzona przez tamtejszych włodarzy jak Polacy. Klęska poniesiona w wojnie 1920 r. nie została tam nigdy zapomniana, nie udało się zrealizować obłędnego planu stworzenia sowieckiej republiki sięgającej aż do zachodnich rubieży Europy. Dojście do władzy Stalina jeszcze pogłębiło i wzmocniło ten antypolski kurs. Stalin nienawidził Polaków, chociaż z pewnością również bał się ich, kwestia rozprawy z tym „wewnętrznym wrogiem” była tylko kwestią czasu.

Państwo sowieckie lat 20. i 30. to kraj ciągłych czystek i przewencyjnych mordów. Nieustannie trwała tam likwidacja, urojonych najczęściej, spisków, nikt w tym potwornym systemie nie mógł być pewny dnia ani godziny. Wyroki śmierci nie omijały najzagorzalszych komunistów czy najzdolniejszych generałów, często „zasłużonych” w wojnie z Polską. Te bestialskie ludobójstwo, szukanie urojonych wrogów, miało na celu odwrócenie uwagi od narastających problemów wewnętrznych, głodu, coraz większej biedy i wszechogarniającego poczucia beznadziei. Eksterminacja nie ominęła również większości „obcych” nacji na terenie sowieckiego państwa, żaden jednak z narodów nie ucierpiał tak jak Polacy. Ta czarna data dla naszego narodu to lata 1937–1938, to wówczas miała miejsce tzw. operacja polska. Zachował się tragiczny dla nas rozkaz nr 485 wydany 11 sierpnia 1937 r. (za wiedzą Stalina) przez szefa NKWD Nikołaja Jeżowa. Rozkaz ten fałszywie oskarżał II Rzeczypospolitą o nasyłanie dywersantów i szpiegów na teren sowieckiego państwa, a miejscowych Polaków o udzielanie im wsparcia. Miał również na celu wskazanie opinii

publicznej Polaków jako tych, którzy pragną siłą obalić sowieckie państwo. Ten pretekst posłużył do zastosowania masowych represji wobec Polaków na niespotykaną do tej pory skalę. Rozprawy sądowe były fikcją, zwłaszcza że na jednego oskarżonego sąd poświęcał 2–3 minuty, wyrok prawie zawsze zapadał ten sam – kara śmierci. To była zbrodnia ludobójstwa, później całkowicie zapomniana, świat i sami Polacy wiedzą o niej znacznie mniej niż o zbrodni katyńskiej, a przecież w ciągu 15 miesięcy Sowietów (głównie NKWD, chociaż także inne służby reżimu, a nawet zwykli komсомолcy) wymordowali ponad 200 tys. Polaków (!). Do obozów trafiały dzieci pomordowanych, które poddawano swoistemu „praniu mózgów”, tak żeby zapomnieli, że byli kiedyś Polakami. Stalin dokładnie śledził dzieje tej zbrodni, przyklaskując wykonawcom, na jednym z raportów Jeżowa napisał: „kopcie i czyście ten polsko-szpiegowski brud”. Obecnie powstało kilka ciekawych prac na ten temat, niestety, słabo u nas znanych, a warto zapoznać się chociażby z poruszającą książką rosyjskiego historyka Nikołaja Iwanowa „Zapomniane ludobójstwo”. Żeby zrozumieć grozę tej zbrodni, przypomnijmy, śmierć poniosło wówczas około jednej trzeciej tych, którzy do swojej polskości przyznawali się, a do tego doszła jeszcze zbrodnia zapomnienia, trwająca jeszcze dłużej niż ta, która objęła katyńskie doły.

► Zbrodnia katyńska

17 września 1939 r. to kolejna czarna data dla naszych rodaków na Wschodzie. Sowiecki cios w plecy, chociaż brany pod uwagę, zaskoczył wszystkich. Niezależnie od rozkazu naczelnego wodza, sugerujący, żeby z Sowietami nie walczyć, chyba że przy próbach rozbrojenia, dopełnił chaosu na Kresach. Na szczęście nie do wszystkich żołnierzy ten rozkaz dotarł i nie wszyscy go posłuchali. Chociaż walka oddziałów KOP i nielicznych innych formacji WP była bojem bez szans, to jednak umożliwiła niektórym oddziałom wycofanie się z ognia walki i niektórym z tych żołnierzy (a zwłaszcza oficerowie) mieli szczęście uniknąć niewoli sowieckiej i dostać się w ręce Niemców. Świadomie piszę tutaj o szczęściu, bo jednak zbrodni ludobójstwa na tysiącach naszych oficerów, policjantów i urzędników dopuścił się tylko jeden z dwóch zbrodniczych reżimów.

Porozumienie niemiecko-sowieckie, czyli zmodyfikowana na rzecz Sowietów wersja tajnej części paktu Ribbentrop–Mołotow, pozostawiła prawie połowę II Rzeczypospolitej w rękach Stalina. Wspomniany dramat Polaków z lat 1937–1938 objął wówczas olbrzymie połacie ziem polskich. Warto zaznaczyć, że NKWD miało o wiele łatwiejsze zadanie niż gestapo, nie tylko w rozpracowywaniu rodzącego się zbrojnego polskiego podziemia, lecz także niszczenia polskich elit, dzięki le-

piej rozwiniętej w okresie międzywojennym agenturze, znacznie mniejszej barierze językowej i łatwości w zdobywaniu „sojuszników” wśród mniejszości narodowych, zwłaszcza żydowskiej i, niestety, ukraińskiej. Rozpoczęła się gehenna polskiej ludności, która miała kilka wymiarów.

Pierwsza kwestia, o której należy przypomnieć, to zbrodnia katyńska, czyli eksterminacja polskich elit. Przypomnijmy, w Katyniu, Miednoje, Charkowie i kilku innych miejscach zamordowano strzałami w tył głowy prawie 22 tys. Polaków. Najczęściej podkreśla się, że głównie oficerów, a przecież nie tylko, ginęli również podoficerowie i szeregowi (rezerwiści), o ile mieli nieść pracę w zawodach uznawanych przez sowieckich zabójców za niebezpieczne (dla zaborcy), czyli np. lekarze, nauczyciele, prawnicy. Oczywiście zginęło też wielu policjantów, funkcjonariuszy służby więziennej czy urzędników. Była to przemyślana egzekucja, w której nie było żadnej przypadkowości. Zresztą pomysł Stalina wcale nie był nowy, już w czasie wojny 1920 r. konsekwentnie mordowano schwytanych oficerów polskich, chodziło o wyeliminowanie tych wszystkich, których serca za Polską były najmocniej, żeby jak najszybciej zniszczyć ducha polskiego. Słusznie pisał wiek wcześniej poeta i uczestnik powstania listopadowego Seweryn Goszczyński, że celem Moskwy zawsze było „zamorzyć ducha polskiego, a z przejściem letargu Polak ujrzałby się Moskałem”. Pisząc o zbrodni katyńskiej, kolejnym kamieniu milowym męczeństwa Polaków na Wschodzie, nie sposób nie wspomnieć, że wolny świat o tej zbrodni wiedział i milczał przez wiele lat. Wiedzieli Amerykanie, Anglicy, nasi sojusznicy, u boku których polski żołnierz przelał morze własnej krwi. Cynizm racji politycznych i bezdusznych kalkulacji jest przerażający.

► Masowe deportacje Polaków

Druga odsłona ówczesnej sowieckiej zbrodni (choć rozłożona w czasie) to masowe wywózki. Jako jedni z pierwszych ofiarami tych wywózek padli najbliżsi pomordowanych w Katyniu i innych miejscach zagłady. W ciągu tych kilkunastu miesięcy okupacji sowieckiej (tzn. do czerwca 1941 r., czyli wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej) miały miejsce cztery wielkie fale deportacji. Oczywiście deportacje nie dotyczyły tylko Polaków, również zamieszkujących wschodnie obszary Polski Białorusinów, Ukraińców, Żydów, obywateli Rzeczypospolitej, z których jednak wielu (pomimo wspomnianych aktów kolaboracji) dochoowało wierności swojej ojczyźnie. Ilu Polaków objęły wspomniane deportacje? O ich liczbę ciągle spierają się historycy, ponieważ nie wszystkie dane są uchwytnie źródłowo. Wiadomo, że co najmniej 320 tys., na tyle wskazują udostępnione przez Rosję

dokumenty oparte na wylczeniach NKWD, jest to jednak raczej liczba zaniżona i problem ten wymaga dalszych szczegółowych badań.

Deportowani Polacy trafiali do różnych miejsc rozległego państwa sowieckiego. Liczni znaleźli się na Syberii, już w XIX wieku określanej mianem „więzienia bez krat”. Faktycznie stamtąd praktycznie nie było ucieczki, bezkresy, groźna aura – były najlepszymi strażnikami. Z innych miejsc docelowej deportacji warto wymienić zwłaszcza Kazachstan. Nie tylko same miejsca zsyłki Polaków były straszne, potworna była również podróż, najczęściej bydlęcymi wagonami kolejowymi, w ścisku, często przy braku powietrza i bez jakichkolwiek warunków higieny. Jak wynika z relacji tych, którzy przeżyli to piekło, jadącym wydawało się, że ucieka z nich całe człowieczeństwo, że w potwornym brudzie i smrodzie stają się jakimiś bezdusznymi stworami. Około 10 proc. deportowanych umierało w czasie wielodniowych transportów. Ci, którzy mieli już za sobą piekło „podróży”, trafiali na miejscu swojej zsyłki do drugiego piekła, nieludzkich często miejsc pobytu. I tylko jeden cel dla naszych rodaków był ważny – przeżyć, ponieważ w powrót do kraju już nie wierzyli. Zresztą ich kraj (Kresy) i tak przestanie istnieć na mocy zdrady jałtańskiej. I znowu mała dygresja do współczesności. Polska, nawet po 1989 r., zapominała o swoich rodakach oraz ich potomkach. Właściwie dopiero teraz więcej się mówi o polskiej diaspory w krajach byłego Związku Sowieckiego i podejmuje wysiłki w celu sprowadzenia ich (np. z Kazachstanu) do prawdziwej ojczyzny. To również poważny „grzech zaniechania”.

► Grabieże, aresztowania, tortury

Trzeba wreszcie wspomnieć o kolejnym, może najmniej znanym, obszarze represji, których ofiarą padli Polacy, to gehenna życia, a właściwie wegetacji na obszarach zajętych przez Sowieców. Ci, którzy nie zostali deportowani, nie zginęli w dołach śmierci, musieli zmierzyć się z potwornym obrazem okupacji. Niektórzy jako jeńcy wojenni trafili do obozów pracy, wielu młodych w specjalnych zakładach starano się na siłę depolonizować i stworzyć z nich wyjałowionych z emocji „sowieckich ludzi”, pozostali żyli w atmosferze ciągłego paraliżującego strachu. Życie można było stracić w każdej chwili z byle jakiego powodu, a często i bez powodu.

Wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej i błyskawiczny marsz wermachtu w głąb państwa sowieckiego w niewielkim stopniu zmienił los naszych rodaków na Kresach. Wprawdzie w skali liczb ten nowy terror był mniejszy, ale w kwestii zbrodni jest faktem, że okupant niemiecki był tak samo winny ludobójstwa jak sowiecki, jedyna różnica, że nie miały w tej nowej sytuacji miejsca potajemne mordy jeńców wojennych na wzór

Katynia. Pamiętajmy również o tym, że opór Polaków był już mniejszy, gdyż wcześniejsze pacyfikacje dokonane przez Sowieców złamały kręgosłup narodu. Dzień powszedni Polaków na Kresach wiele się nie zmienił, grabieże, aresztowania, tortury podczas przesłuchań, nie zabrakło również masowych egzekucji, takich jak w Jezierzach, gdzie śmierć poniosło ponad 400 Polaków. I ta nieustająca zmora strachu, brak nadziei, a nawet poątpiewanie w sens oporu.

► Zbrodnia w podwileńskich Ponarach

Pisząc o Polakach na Wschodzie, nie możemy również zapominać o naszych rodakach z północnego wschodu, czyli mieszkańcach Wilna i tej części Litwy, która była częścią II RP. Niemcy wkroczyli do Wilna pod koniec czerwca i już w lipcu doszło tam do pierwszych masowych zbrodni. Głównym miejscem kaźni były podwileńskie Ponary (dzisiaj dzielnica Wilna). W ciągu trzech lat w Ponarach w zbiorowych dołach spoczęło prawie 100 tys. obywateli RP. Specjalnie używam słowa obywateli, ponieważ ponad 70 tys. to byli polscy Żydzi, a kilka tysięcy stanowili Białorusini, Ukraińcy, około setki Litwini, ale prawie 20 tys. Polacy. Ofiary wrzucane do dołów posypywano wapnem, żeby jak najszybciej pozbyć się zwłok. Piszę o Ponarach również dlatego, że często wspomina się o nich jako o zbrodni litewskiej na Polakach. Uważam to określenie jako pewną nadinterpretację. Faktem jest, że prawie przez półtora roku (od końca 1941 do początku 1943 r.) Niemcom pomagała w tej zbrodni formacja litewskich kolaborantów, licząca początkowo kilkudziesięciu, a w szczytowym momencie kilkuset oprawców. Oni faktycznie ponoszą winę jako współzbrodniarze i o tym fakcie należy pamiętać i pisać, tak jak i o innych antypolskich akcjach, które miały miejsce z udziałem Litwinów, nie można jednak obciążać winą za to wydarzenie całego litewskiego narodu. To prawda, wielu Litwinów czuło niechęć do Polaków, ale nie była to nienawiść. Nigdy nie można stosować odpowiedzialności zbiorowej. Nie można też porównywać Litwinów do dwóch zbrodniczych totalitarnych systemów (niemieckiego i sowieckiego), których celem było całkowite unicestwienie Polaków i którzy do tego celu zaangażowali całe swoje struktury państwowe.

► Ludobójstwo wołyńskie

Obraz gehenny naszych rodaków na Wschodzie nie byłby jednak pełny, gdybyśmy ograniczyli się do ofiar sowieckiej i niemieckiej okupacji. Niestety, hasłem równie strasznym, kiedy sięgamy do lat ostatniej wojny, są słowa „zbrodnia wołyńska”, a właściwie najlepszym określeniem jest słowo: ludobójstwo. Dlaczego doszło

do tych przerażających wydarzeń? Pamiętajmy, że eksterminacja ludności polskiej na Wołyniu rozpoczęła się w 1943 r. (choć pojedyncze wypadki mordów miały miejsce już w 1942 r.), kiedy losy wojny, tzn. klęska Niemiec, wydawały się już przesądzone. Nacjonaliści ukraińscy (Organizacja Nacjonalistów Ukraińskich Stepana Bandery i jej zbrojna struktura Ukraińska Powstańcza Armia) zaczęły poważnie myśleć o utworzeniu w sprzyjających warunkach własnego państwa. Żeby ten cel osiągnąć, należało pozbyć się potencjalnych konkurentów, za których uznano zamieszkujących Wołyń Polaków. Dlatego nie Niemcy, którzy zaczęli już myśleć o odwróceniu, nie zbliżający się Sowieci, ale właśnie nasi rodacy znaleźli się na celowniku ekstremistów ukraińskich. Oczywiście nie można zapominać o czynniku ubocznym (ale nie dominującym!) faktycznej nienawiści wielu działaczy ONU-B do Polaków.

Za początek tej „antypolskiej akcji” uznaje się pacyfikację wioski Parośla dokonanej 9 lutego 1943 r. Głównym inspiratorem tego i następnych mordów był jeden z przywódców wołyńskiego OUN-B Dmytro Kłaczkiwski pseudonim „Kłym Sawur”. To, co było najpotworniejsze w tej zbrodni, to metody zabijania, czyli masakrowanie schwytanych Polaków za pomocą siekier, młotów, pił, kłonic (vide Sołowijówka 1863!) i udział w tych mordach licznych ukraińskich chłopów. Jak słusznie pisze najlepszy obecnie znawca tematu Grzegorz Motyka, nie może tutaj być mowy o jakimś powstaniu ludowym, to była tylko chłodna socjotechnika. Bestialstwo i sposób mordów miały – z jednej strony – wzbudzić strach, z drugiej – jak osobiście uważam – rozmyć częściowo odpowiedzialność za tę zbrodnię i obarczyć nią całą społeczność ukraińską. Dlatego najczęściej masakr dokonywali uzbrojeni w broń sieczną ukraińscy chłopci, a nie doskonale uzbrojeni banderowcy. Zresztą chłopci byli zwyczajnie do udziału w tych pacyfikacjach zmuszani, a odmowa przyłączenia się do „antypolskiej” akcji kara była śmiercią. Opisy rzezi, jakie znamy z przekazów tych, którzy je cudem przeżyli, rzeczywiście są wstrząsające, zwłaszcza że do domów i kościołów wlamywali się niedawni sąsiedzi. Nie mamy ostatecznych danych o liczbie zamordowanych wówczas na Wołyniu Polaków (pamiętajmy, że w 1944 r. akcja ta rozszerzyła się na Galicję Wschodnią, a nawet krańce Lubelszczyzny), badania historyków różnią się znacznie, podając liczby od 30 tys. do 70 tys. ofiar. Wydaje się, że w świetle najnowszych badań najbliższa prawdy jest liczba około 60 tys.

Wreszcie trzeba postawić najważniejsze pytanie, kto jest za tę zbrodnię ludobójstwa odpowiedzialny? Nie ulegając emocjom i oceniając fakty, trzeba stwierdzić: określenie tych wydarzeń mianem ludobójstwa jest ze wszech miar słuszne, udział chłopów ukraińskich jako wykonawców jest faktem, natomiast prawie cała odpowiedzialność spada na nacjonalistyczne organizacje

ukraińskie, a zwłaszcza osoby takie jak wspomniany „Kłym Sawur”. Zawsze w obliczu zbrodni największą winę ponosi ten, który do niej zachęcał i do niej innych zmuszał. Pamiętajmy również, że były liczne wypadki ratowania Polaków przez Ukraińców, kiedy zbliżały się oddziały siepaczy. Morza polskiej krwi, jakie wsiąkło wówczas w wołyńską ziemię, nie można zapomnieć, historia musi opierać się na prawdzie, ale nie można obarczać winą wszystkich Ukraińców jako narodu. Pamiętajmy, Polaków i Ukraińców często wiele dzieliło, ale niejednokrotnie również wiele łączyło. Wreszcie sprawa najważniejsza – zawsze największym beneficjentem walk i nienawiści pomiędzy nami i Ukraińcami była Rosja, i to się nie zmieniło.

► Walka o pamięć

W 1944 r. na Kresach ponownie pojawili się Sowieci, tym razem podążający za wycofującą się armią niemiecką. Rozpoczęła się ponowna noc okupacji sowieckiej. A właściwie czy okupacja jest tutaj dobrym słowem? Dzisiaj wiemy, że to było już wchłonięcie Kresów na zawsze. Sowieci, wkraczając ponownie na te ziemie, doskonale o tym wiedzieli. Przecież „podarowano” im tę część Rzeczypospolitej w Teheranie (a decyzję utrwaliła w 1945 r. konferencja w Jakcie). Wcześniej miało miejsce opuszczenie Rosji Sowieckiej przez armię generała Andersa, groza wiedzy o zbrodni katyńskiej, zerwanie przez państwo sowieckie stosunków z Rządem Polskim na Uchodźstwie. Sowieci wkraczali na ziemie polskie, które w majestacie prawa międzynarodowego miały stać się ich własnością. Czy możemy zdać sobie sprawę, co czuli Kresowianie, kiedy dowiedzieli się, że padli ofiarą nie tylko sowieckiej przemocy, lecz także zdrady Zachodu? To tak samo, jak nie jesteśmy w pełni zrozumieć skali goryczy, jaką odczuwali żołnierze Andersa, Maczka i inni weterani zachodnich pól bitewnych, kiedy dowiedzieli się o planach i decyzjach sojuszników, którzy pozbawili ich szans na powrót do ojczyzny, bo tej już nie było, był tylko kraj na powrót zniewolony.

Na Kresach Sowieci spokojnie kończyli dzieło depolonizacji, mordując, aresztując, wywożąc w głąb imperium wszystkich, którzy byli winni tego, że czują się Polakami. Nie było na Wschodzie żadnych szans na wspólną walkę z Niemcami, czego dowiodło fiasko Akcji „Burza” i praktyczna pacyfikacja przez Sowietów AK na tych terenach.

Męczeństwo naszych rodaków na Kresach to dramat, który ciągle przeraża. Historii nie można zmienić, ale to, co należy zrobić, to walczyć o pamięć o Polakach, mieszkańcach tych ziem, z których prawie każdy przeszedł swoją Gólgotę. Tylko w ten sposób, dociekając prawdy, badając ich dzieje, pisząc i nagłośniając ten dramat, możemy oddać im hołd. ■



Piotr Lisiewicz

Gwiżdż na ojca twego i matkę swoją

Komunizm jest czymś
o wiele gorszym od
barbarzyńców z dawnych
epok – tę tezę Stanisław
Szpotański ogłosił w 1932 r.
w broszurze „Świat szuka
nowej drogi”. Dowodził,
że ideologia
komunistyczna jest „formą
bytu niemożliwą dla
człowieka o zachodnio-
łacińskiej kulturze, a może
nawet w ogólności dla
człowieka, jakkolwiek
cywilizację posiadającego”.
Nie dożył czasów,
w których mieli się
o tym przekonać zwykli
Polacy. Zaś komuniści
odpłacili za to krewnemu
Janusza Szpotańskiego
i współpracownikowi
Piłsudskiego oraz
Dmowskiego (rzadkie
zestawienie!) wymazaniem
jego twórczości z polskiej
literatury.

1. Nie będziesz miał innych bogów, prócz siebie samego.
2. Będziesz reklamował imię swoje przy każdej sposobności.
3. Pamiętaj, aby dzień święty nie przeszkadzał w twoich interesach.
4. Gwizdź na ojca twego i matkę swoją.
5. Zabij, jeśli potwarz nie wystarczy.
6. Cudzołóż w imię ideałów nowej rodziny.
7. Kradnij, aby bogactwo przestało być przywilejem.
8. Szkaluj, abyś nie potrzebował mordować bliźniego twego.
- 9-10. Pozbaw bliźniego twego żony, wołu, osła i wszelkiej rzeczy, którą za swą uważa. A będziesz się miłował z całego serca twego.

Taki oto proroczy „Dekalog” na nadchodzące czasy ogłosił Stanisław Szpotański w książce „Skradziony rękopis” z 1925 r. Gdy czyta się dziś zapomniane, nieobecne w księgarniach z powodu braku nowych wydań, a rzadko dostępne w bibliotekach z powodu komunistycznych konfiskat książki Szpotańskiego, co ruz odnosi się wrażenie, że miał on rzadki dar przewidywania przyszłości i rozumienia mechanizmów, które o jej kształcie zdecydują.

Bo czy czytając poniższy fragment powieści „Prometeusz”, nie mamy wrażenia, że dowiadujemy się czegoś ciekawego o III RP i wydarzeniach z 2016 r.? „Zło z charakteru jest pasożytem, żyje, rozplenia się i prosperuje przez soki z dobra czerpane, koło którego się oplącze. Samo przez siebie niczym nie jest. trzeba je od dobra odebrać, aby zginęło, dobro spod niego wyswobodzić. Bo dobro to zgoda z naturą duchową człowieka, dążącą do coraz wyższych form życia i świadomości; zło to materialna tendencja do wyzyskania tego dążenia dla celów najnikczemniejszych. Gdy siły te splątane rozłączysz, dasz życiu pęd naturalny, duchową naturę człowieka oswobodzisz. To jest najgłębszy każdej rewolucji, jej istotny cel” – stwierdzał Szpotański.

► Mickiewicz, Krasiński, Szpotański

O tym darze przewidywania przyszłości przez Stanisława Szpotańskiego przekonane było dowództwo Drugiego Korpusu, dowodzonego przez generała Władysława Andersa, który w 1946 r. stacjonował we Włoszech (Szpotański nie żył już wtedy od dziesięciu lat).

Wtedy to Instytut Literacki, utworzony jako agenda Drugiego Korpusu, obok „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego” Adama Mickiewicza, „Irydiona” Zygmunta Krasińskiego, postanowił wydać na wygnaniu cytowaną już powieść „Prometeusz” Stanisława Szpotańskiego.

Zarówno przed oficerami, jak i zwykłymi żołnierzami Andersa, którym udało się wydostać z sowieckiego piekła, pojawił się wówczas wybór: wracać, korzystać z „amnestii”, godzić się na PRL lub zostawać na Zachodzie i liczyć na to, że pojawi się szansa, by zbrojnie odbić Polskę z rąk sowieckiego okupanta.

Jak pisał prof. Oskar Stanisław Czarnik, „Utwór »Prometeusz« Stanisława Szpotańskiego ukazywał ludzi, którzy stanęli w przeszłości wobec równie trudnych wyborów. Tło historyczne powieści stanowiły wydarzenia z okresu Wiosny Ludów 1848 i 1849 r.”. Owi Prometeusze byli „niegdyś gloryfikowani, a później odrzućeni przez Europę”. W końcu znaleźli się w Grecji, gdzie wykonywali najcięższe prace za najgorsze pieniądze, tłukąc kamienie do budowy podmiejskiej drogi.

Opowiadał w owej książce Szpotański: „Na chleb nie mieli, nie tylko na drogę. Opuchły im ręce i nogi. Wygłodzeni, w łachmanach, bosi – Łazarze prawdziwi – dochodzili do stanu, w którym życie staje się niemożliwością.

Wtedy zjawili się u nich urzędnicy greccy. Byli w mundurach policyjnych, mówili po francusku.

– Messieurs Polonais! – wołali. – Messieurs Polonais! Przybyliśmy zwiastować wam radosną nowinę.

– Nam? Nadzieja w nich wstąpiła.

– Wam! Wszystkim, którzy należą do państwa rosyjskiego, cesarz udziela przebaczenia i amnestii, pozwala im wrócić do swojego kraju!

Rzucili młotki i szli do policjantów hurmem. – Amnestii?! Nam?! Jakiej amnestii?! – Wszystkim, którzy są poddani cesarza rosyjskiego. – Tu poddanych cesarza rosyjskiego nie ma! Tu są tylko Polacy, co Polskę opuścili pod przemocą i przemocą za prawo nigdy nie uznają. Zaniescie, panowie, tę odpowiedź konsulowi rosyjskiemu.

I dalej tłukli kamienie”.

► Wstydzicie się, uniwersytety, chwała obywatelom z Kobyłki!

Skąd dowiedziałem się o istnieniu Stanisława Szpotańskiego? W 2008 r. w podwarszawskiej Kobyłce spotkanie autorskie miał śp. Marek Nowakowski. Organizatorzy wręczyli pisarzowi wydaną staraniem Towarzystwa Przyjaciół Miasta Kobyłka książkę „Stanisław Szpotański. Zapomniany pisarz”. Zapytali go przy tej okazji, jak można by się przyczynić do przywrócenia pamięci o nim. Marek Nowakowski powiedział, by wysłali ją także mnie, bo w „Nowym Państwie” przypominam postacie zapomnianych pisarzy.

Książkę dostałem, nawet zaciekała mnie po wstępnym przejrzeniu, po czym... zapodziała się

gdzieś na półkach w domowej bibliotece. Aż w 2016 r. odnalazła się, zacząłem ją czytać i zdałem sobie sprawę, z jakiej rangi – bynajmniej nie tylko lokalnej – pisarzem mam do czynienia.

Towarzystwo Przyjaciół Miasta Kobyłka wydało, głównie za sprawą pani Marii Balickiej, emerytowanej nauczycielki, książkę znakomicie zredagowaną, pozbawioną bełkotliwo-przemądrzałego stylu cechującego większość podobnych współczesnych publikacji uniwersyteckich. Tak pisało się podobne rzeczy przed 1939 r., a potem już tylko na wygnaniu. Chciałoby się powiedzieć: wstydzicie się, uniwersytety, chwała obywatelom z Kobyłki!

Maria Balicka w szkicu „Przez Paryż do Kobyłki”, będącym częścią książki, pisze, że w PRL rzadko podawano informacje o Szpotańskim, nawet w encyklopediach czy słownikach pisarzy. A jeśli już takie hasło zamieszczano, to bardzo krótkie i niezbyt prawdziwe.

► Syn zbuntowanego ojca

Jak czytamy w owym szkicu, rodzina Szpotańskich herbu Łabędź pochodziła z północnej części Księstwa Poznańskiego. Teofil, ojciec Stanisława, wskutek konfliktu ze swoim ojcem Janem opuścił dom rodzinny. Jako 19-latek walczył w powstaniu styczniowym.

Zbuntowany Teofil ożenił się z Marią Podczaską. Po kilku latach pracy kupił majątek Suchcice koło Piotrkowa Trybunalskiego. Ich pierwszym dzieckiem był Stanisław, który przyszedł na świat 9 czerwca 1880 r. Potem rodziło się jego rodzeństwo – przyszła działaczka oświatowa Janina i przyszły wiceprezydent Warszawy Tadeusz. „Przykład ojca, powstańca styczniowego, i jego starszego kuzyna, który walczył w powstaniu listopadowym, stał się jednym z elementów wychowania patriotycznego dzieci” – pisze Balicka.

Stanisław ukończył gimnazjum w Piotrkowie Trybunalskim, a potem wyjechał na studia do Krakowa, gdzie spędzić miał 12 lat. Zaczął je jako wolny słuchacz, który uczęszczał na wykłady z filozofii, historii i literatury pięknej.

W czasie studiów, w 1903 r., wstąpił do PPS, w której przyjął konspiracyjny pseudonim „Jacek”. „Należał do niepodległościowego skrzydła partii. Najważniejszym ideałem była dla niego wolna Polska” – pisze Balicka. Poznał Józefa Piłsudskiego, z którym jeździł na wspólne konspiracyjne wyprawy, m.in. do Warszawy i Zagłębia Dąbrowskiego.

Pepesowicz Szpotański publikował swoje pierwsze prace naukowe „Konarszczyzna. Przygotowania powstańcze w Polsce 1835–1839 roku”, „Początki polskiego socjalizmu” oraz „Lud polski. Z dziejów pol-

skiej myśli socjalistycznej”. Zdaniem Balickiej „lepiej czuł się w roli naukowca niż działacza politycznego”.

► Towiański tak, kakao nie

W 1908 r. Szpotański ożenił się ze starszą od siebie o trzy dni Antoniną Kantecką. Mieli trójkę dzieci – córkę Jadwigę i synów Jerzego i Zenona. Antonina była córką Klemensa Kanteckiego, pracownika naukowego Ossolineum, i Marii z Seroczyńskich. „Przez lata małżeństwa nie tylko wspierała męża w działaniach, ale stała się jego współpracowniczką, a nawet, jak z dużym prawdopodobieństwem można przypuszczać, autorką niektórych dzieł odpisanych imieniem i nazwiskiem męża” – pisze Balicka.

W praktyce ich współpraca wyglądała tak, że „pisarz chodząc i gestykulując dyktował wszystko żonie, a ta pilnie notowała, często wnosząc nie tylko językowe poprawki”. Jako przykład książki, której żona była co najmniej współautorką, Balicka podaje głośną pracę Szpotańskiego „Andrzej Towiański, jego życie i nauka”, która ukazała się po śmierci Szpotańskiego. Wdowa, skromnie podpisując się inicjałem, napisała w jej przedmowie: „Stanisław Szpotański pozostawił w brulionie pracę o Andrzeju Towiańskim. Był do niej bardzo przywiązany. Praca ta potrzebowała jeszcze niektórych uzupełnień. Po wykonaniu ich, wychodzi teraz drukiem”.

Balicka wspomina, co usłyszała o żonie pisarza w Kobyłce: „Drobna, delikatna, w niemodnym kapeluszu pani Antonina, która wszystko wiedziała o Towiańskim, miała poważne braki w umiejętnościach kulinarnych. Nie potrafiła np. ugotować kakao i pytała o to matkę 92-letniej dziś Janiny Peresady”.

► Gigantyczny romantycy

I wojna światowa zastała Szpotańskiego w Paryżu, gdzie jako obywatel państwa będącego w stanie wojny z Francją musiał opuścić jej stolicę. Zamieszkał w małej miejscowości Le Pouldu w Bretanii. Tam kontynuował pracę nad dziełem swojego życia – książką „Adam Mickiewicz i jego epoka”. Wspierał go w tym syn wieszczki Władysław Mickiewicz, przekazując mu rękopisy ojca. Trzytomowe dzieło ukazało się już w wolnej Polsce w latach 1921–1922.

Szpotański pisał w nim: „Mickiewicz był największą indywidualnością polską i jedną z największych indywidualności XIX stulecia. Małe rozpowszechnienie języka polskiego sprawiło, że poglądy jego nie są tak znane, jak być powinny [...] Mickiewicz wyraził cały romantyzm. Wyraził go nie tylko w poezji, ale w całym swym życiu, w swoich ideach religijnych, w swojej działalności politycznej i publicystycznej.

Cały okres życia Europy zamknął w sobie i wyraził przez siebie. Na tym polega jego wszechświatowe znaczenie i to sprawia, że tytuł największego polskiego poety, aczkolwiek wielki, jest dla niego zbyt skromny i nie charakteryzuje go w całości”.

O czasach polskiego romantyzmu pisał dalej w kontekście powstania listopadowego: „Wysocki, wypędzający na czele podchorążych armię rosyjską z Warszawy, młodzi literaci i studenci wdzierający się z niewiarygodną brawurą do Belwederu [...] bynajmniej nie byli mniejsi od gigantycznych postaci romantycznej literatury, ani ich życie nie było mniej zadziwiające”. Jak dowodził Szpotański, romantyczne wiersze i „bajki” oddawały prawdę o owych czasach.

► Bez miejsca w świecie

W 1918 r. Szpotański mógł wrócić do Paryża. Zaangażował się na całego w walkę o polskie granice. Zaczął współpracować z Romanem Dmowskim i zafascynował się jego osobowością, przez co zbliżył się do Narodowej Demokracji. Walkę o polskość Śląska opisze w broszurze „Sprawa Górnego Śląska na konferencji pokojowej w Paryżu”. W wolnej Polsce publikować będzie m.in. w „Myśli Narodowej”.

W efekcie paryskiego zaangażowania Szpotański zatrudniony został przez dyplomację niepodległej Polski w roli dyrektora prasowego polskiego poselstwa w Paryżu. Redagował tam pismo „Życie Polskie”. Do Polski, gdzie ukazała się książka o Mickiewiczu, jeździł często, ale na placówce w Paryżu pracował aż do 1925 r.

Uniwersytet w Brukseli zaproponował mu wprowadzenie wtedy objęcie katedry literatury polskiej, ale Szpotański odmówił, bo chciał wrócić do ojczyzny. „Kupił parę morgów ziemi i sad w Międzyzlesiu pod Tłuszczem. Zrealizował swoje marzenie o powrocie na wieś [...] Od czasu zamieszkania w Międzyzlesiu były dyplomata żył wyłącznie z pracy literackiej. Nigdy już nie pełnił żadnych funkcji oficjalnych” – pisze Balicka. Współpracował w tym czasie z „Kurierem Warszawskim”.

To tu zaczęły powstawać najważniejsze książki Szpotańskiego. Jego powieści historyczne opublikowane w tym czasie złożyły się na cykl przedstawiający dzieje polskiego narodu od powstania listopadowego do powstania styczniowego. W 1926 r. ukazała się jego czterotomowa powieść „Bez słońca”, opowiadająca historię powstania listopadowego. W 1929 r. Szpotański wydał w Poznaniu powieść „Odloty” o zapomnianej dziś wyprawie pułkownika Józefa Zaliwskiego, zorganizowanej trzy lata po upadku listopadowego zrywu.

„W tytułach trzech z jedenastu powieści występuje przyimek »bez«, który zawsze łączy się z rzeczownikiem w dopełniaczu i wyraża brak, niewystępowanie tego, co oznacza rzeczownik. Bohaterom Szpotańskiego brakuje »słońca, ziemi, nieba, miejsca na świecie«, a bez tego wszystkiego nie ma życia” – pisze o jego twórczości literackiej Maria Balicka.

► Dwie rasy ludzkie – małpy i ludzie

W 1927 r. ukazała się powieść „Przysięga”, niebędąca częścią wspomnianego cyklu, której akcja toczy się w Paryżu, w czasie powojennej konferencji pokojowej. Bohater powieści Stefan Breza, przedstawiciel polskiej delegacji, w rozmowie ze swą ukochaną opowiada jej, jak wygląda „nowy świat”, w którym odrzucone są dawne wartości.

W powieści tej Szpotański pokazywał swój dystans do świata polityki i polityków, z którymi zetknął się w Paryżu: „Są dwie rasy ludzkie – małpy i ludzie [...]. Cóż małpa może wiedzieć i cóż z małpy może być? Polityk, dyplomata, macher, gieldziarz, komiwojażer, a z człowieka uczony, kapłan, rycerz, artysta”.

Odchodzenie przez Europę od tradycyjnych wartości uważał za głupie i niebezpieczne: „Indywidualność ludzka jest urobiona przez pokolenia, przez wieki. Religia, tradycja, honor, to jest wielka siła. Te dzisiejsze teorie tworzą ten anarchizm indywidualny, który w gruncie rzeczy jest indywidualną dzikością. Odrzucić wszystko, co on odrzuca, to tak, jakby chodzić nago i uważać się za najpiękniej ubranego” – stwierdzał. I prorokował: „Głupstwo rozwija się najszybciej, jest najbardziej postępowe. Człowiek, odwiązany od Boga, od tradycji, w dzisiejszym zwłaszcza czasie wynalazków i techniki, zejdzie do stanu małpy, wyspecjalizowanej w chemii i fizyce”.

Szpotański był też autorem pięciu dramatów: „Król Stefan Batory”, „Sprawa doktora Hieronima”, „Świątkarz”, „Król Popiel” i „Na Elbie”.

► Lepiej na entuzjazmie zbankrutować, niż na zimnym rozsądku się dorobić

W 1929 r. w cyklu jego powieści historycznych ukazała się książka „Prometeusze”, w której natchnienia szukać będą w przyszłości wygnańcy od Andersa. Bo była w niej opisana polska wiara, że „Ten, kto zwycięża, będzie pokonany jutro, ten, kto pokonany jest dziś, będzie zwycięzcą przyszłości”. I przekonanie, że „Gdy silny wiatr wieje, to i opadłe liście unosi w górę”.

Było też ostrzeżenie przed wygnańcym cierpiętnictwem: „Od cierpienia zdezerterować nie należy, ale nie należy z niego czynić kultu – cierpieć dla cier-

pienia. To objaw niezdrowy. Naturalnym dążeniem człowieka jest dążenie do szczęścia, cierpienie znosi wtedy, gdy sądzi, że wiedzie ono do szczęścia, inaczej by go nie znosił”.

Krytyk Zdzisław Dębicki pisał o twórczości Szpotańskiego, że „nie idealizuje przeszłości, ale ją odtwarza jako taką, jaką była, jaką musiała być istotnie. Bohaterstwu oddaje hołd i schyla przed nim czoło, ale jednocześnie ostrym nożem krytyka i publicysty śmiało dotyka ran otwartych na ciele Polski, która szła wówczas od klęski do klęski”. Ale jednocześnie wierny jest przekonaniu, że „Lepiej na entuzjazmie zbankrutować, niż na zimnym rozsądku się dorobić”.

► Trudny charakter i antykomunizm

„Zbyt chętnie wdawał się w zażarte polemiki, np. z Tadeuszem Boyem-Zeleńskim, ale czynił to zawsze w obronie prawdy i najczęściej żałował swej gwałtowności, zawziętości. Z powodu trudnego charakteru nie miał zbyt wielu przyjaciół. Wśród nich znaleźli się m.in. Artur Górski, Adam Grzymała-Siedlecki, Ryszard Świętochowski, syn Aleksandra, oraz Emil Zegadłowicz” – pisze o Szpotańskim Maria Balicka.

Ale to ów „trudny charakter” pozwalał mu niekiedy widzieć więcej niż inni. W 1932 r. ukazało się bardzo ważne i do dziś aktualne dzieło Szpotańskiego – broszura „Świat szuka nowej drogi”. Szpotański pisze w nim znowu o swojej nieufności wobec mającej zdaniem niektórych gwarantować postęp nauki. Przypominając wojnę, stwierdza, iż „Tchnienie tej nauki poczuł z wszystkich sfer pochodzący żołnierz w postaci gazów trujących, ujrzał tę naukę w postaci rzuconych z aeroplanów granatów mieszkający bombardowanych miast”.

W czasach, gdy znaczna część polskiej inteligencji bądź żywiła złudzenia co do prawdziwej natury komunizmu, bądź nie rozumiała skali zagrożenia, jakie on stanowi, Szpotański stawiał tezy, które historia miała w pełni potwierdzić.

Błyskotliwie zestawiał komunizm z dawnymi barbarzyńcami, dowodząc, że nie ma pomiędzy tymi zjawiskami znaku równości: „Komunizm, to jest właśnie ta cywilizacja, którą nam niesie powiększające się plemię nędzarzy. Ludy barbarzyńskie także na gruzach rzymskiego imperium rozpowszechniały swój obyczaj. Taki, jaki miały. Myliłby się jednak, kto by sądził, że komunizm jest nową falą barbarzyństwa, taką jak te, które zalewały kiedyś stare i wytrawne cywilizacje. Barbarzyńcy żyli życiem normalnym, normalnie ewoluującym, wszelką przeto posiadali zdolność wchłaniania elementów padających cywilizacji i przetwarzania ich w swojej świeżej

i zdrowej krwi. Na tej drodze mogła powstać nowa cywilizacyjna synteza”.

Stwierdzał, że „Komunizm, jako niezdrowy objaw społeczny, nie posiada zdolności asymilowania innych elementów. Nowa synteza cywilizacyjna powstać nie może. Gdyby zwyciężył, narzuciłby wszystkim cywilizację nędzy”. Wyciągał z tego wniosek, że „Komunizm jest formą bytu niemożliwą dla człowieka o zachodniołacińskiej kulturze, a może nawet w ogólności dla człowieka, jakkolwiek cywilizację posiadającego”.

Jak można mu się przeciwstawić? Szpotański stawiał też nieco podobną jak sowietologa ojca Józefa Bocheńskiego tezę, że „Niebezpieczeństwem komunizmu [...] można przeciwstawić jedynie wysokość cywilizacji. Tam, gdzie obniża się jej ton, tam łatwiej komunizm się sadowi”. Nie były to wesołe i optymistyczne konstatacje, zważywszy na to, co autor pisał w powieści „Przysięga”...

► Dyktatura osłabnie, gdy zgniecie Polskę

Pozostawał nieprzemakalny na to, co o komunizmie pisali nieznanający go zachodni intelektualiści. Twardo stąpając po ziemi, przewidywał możliwe scenariusze na wypadek opanowania Polski przez komunizm: „Obrońcy bolszewizmu wmawiają w nas, że ostra forma tej dyktatury jest przejściową [...] Oczywiście, że gdyby partia bolszewicka wytypowała wszystkich przeciwników, wychowała wszystkich na swoją modłę, zatamowała wszelką myśl, bijącą z innych źródeł niż materialistyczny światopogląd na świat, to dyktatura jej nie byłaby tym, czym jest dzisiaj. Gdyby Rosjanie podczas swojego w Polsce panowania wytypowali wszystkich Polaków, spalili polskie książki, zniszczyli polską kulturę, to tym samym skończyłoby się ciemnienie polskiego narodu”.

W bolszewizmie widział straszniejszą jeszcze kontynuację carskich metod: „Lenin w swoich broszurach i przemówieniach oskarżał carat o zdemoralizowanie Rosji przez uczynienie z niej najeźdźcy i kata innych narodów. Całą duszą oskarżenie to popieramy. Lecz jeśli Rosja przez swoje zabory i ucisk w nich wywierany zdemoralizowana została, to jakżeż ma nie być zdemoralizowany proletariatus, na który nałożono misję wytępienia wszystkich klas, który żyje w atmosferze szpiegostwa [...] Nic bardziej demoralizującego dla człowieka niż krzywda drugiemu człowiekowi przez niego wyrządzona”.

Pisał też o tym, że z punktu widzenia Moskwy zarówno rozprawa z podbitymi narodami, jak i terroryzowanie własnych poddanych, wymagała ich izolowania od Zachodu: „Najazd rosyjski utrudniał wszel-

ki kontakt z Zachodem, czynił, co mógł, aby odgrodzić od niego Polskę chińskim murem. Czyni to samo Rosja bolszewicka wobec milionów swojej ludności”.

W 1933 r., w 70. rocznicę powstania styczniowego, opublikował w „Kurierze Warszawskim” cykl szkiców biograficznych „Ludzie styczniowi”. Jeden z nich poświęcony był Andrzejowi Skorupce, bohaterowi torturowanemu przez Rosjan, który był stryjecznym dziadkiem księdza Ignacego Skorupki. „Zbliżał ludzi wieku dziewiętnastego ku swojej współczesności, wyczuwał aktualność wydarzeń sprzed stu lat” – zauważał prof. Gustaw Ostasz, autor książki „Stanisław Szpotański jako pisarz historyczny”.

Krytyk Adam Grzymała-Siedlecki dostrzegał następujący wspólny mianownik książek i działań Szpotańskiego: „oddawał się sprawom, które go poruszały, a poruszało go wszystko, co przemawiało doń swoją polskością. Przeszłość i tradycja czy żywy dzień dzisiejszy. Nie przeszkadzało mu wkorzenie się duszą w Polskę być prawdziwie dobrym Europejczykiem. [...] Polskość Szpotańskiego nie była nigdy przeciwstawieniem europejskości, lecz jej przyrodzonym ciągiem dalszym”.

► Resocjalizacja „Skradzionego rękopisu”

„Żył i pisał dla Polski” – takie słowa na jego płycie nagrobnej umieścili przyjaciele. Zmarł w swoim domu w Kobyłce 17 kwietnia 1936 r. o drugiej nad ranem. Pracował przeważnie nocą i śmierć zastała go przy pracy.

Zadnej z książek Stanisława Szpotańskiego nie wznowiono w PRL ani w III RP. Tej najbardziej dla komunistów niewygodnej, bo mówiącej o rewolucji październikowej, czyli „Bez miejsca na świecie”, autorzy książki o Szpotańskim nie odnaleźli nawet w Bibliotece Narodowej.

Wszystkie pozostałe prace zostały bibliotece przekazane przez osoby prywatne lub ofiarowane przez różne instytucje. Jak zauważa Balicka, egzemplarz książki „Skradziony rękopis” przekazał bibliotece Departament Więziennictwa. Zapewne z powodu tytułu jakiś urzędnik w PRL zakwalifikował ją jako odpowiednią do... resocjalizacji więźniów w Domu Pracy Przymusowej w Bojanowie pod Rawicem.

W tym roku przypada 80. rocznica śmierci Stanisława Szpotańskiego. Z tej okazji radni w Kobyłce ogłosili rok 2016 Rokiem Stanisława Szpotańskiego. Pora, by w staraniach o pamięć o wybitnym polskim pisarzu lokalna społeczność uzyskała szersze wsparcie. Bo jest pewne, że w związku ze wzrostem zainteresowania historią, w młodym pokoleniu znajdują się czytelnicy, którzy kupią książki Stanisława Szpotańskiego. ■

U mistrza Mirona pachnie kapustą



Magdalena Złotnicka



W młodości poeta Miron Białoszewski dzielił lokum z uciążliwym sublokatozem. Ten – jak wspominają znajomi poety – regularnie gotował kwaszoną kapustę, najwyraźniej stanowiącą podstawę jego diety w trudnych, powojennych czasach. Garnek stał na kozie, czyli żelaznym piecyku. Ten zaś zajmował centralne miejsce w długim i wąskim pokoju, jaki przyszło dzielić obu mężczyznom. Legenda głosi, że w niektóre dni zamiast kapusty w garnku gotowały się skarpetki nieszczęsnego współlokatora. Ze wspomnień tych, którzy w owym mieszkaniu bywali, wynika jednoznacznie, że zapach był zawsze taki sam.

O sublokatorze-amatorze kapusty opowiada Stanisław Prószyński, w tekście zamieszczonym w książce „Miron. Wspomnienia o poecie”. Pokój z sublokatozem był jednym z powojennych adresów Białoszewskiego. Jeszcze przed II wojną światową poeta mieszkał na Woli. Urodził się 30 lipca 1922 r. w Warszawie, a dokładnie – na Lesznie. Jak wspominała matka poety, Kazimiera Białoszevska-Pieikutowa, to dawne Leszno, dziś Świerczewskiego. – To było w stronę Woli, ale rogatki już nie było, to raczej było tam, jak jest Wronia, no i plac Kerzelego, to w tym odcinku. Leszno i ten kościół, co tam jest, Panny Marii. W oktawę Bożego Narodzenia tam się zbierały procesje. Miron chodził zobaczyć. Nie wiem, czy to ciągnie takie coś, dzielnica urodzenia, on mówi, że czasem i teraz idzie tam, bo ma sentyment – wspominała w jednej z audycji radiowych. Matka mówiła, że młody Miron bardzo lubił uczestniczyć we wszelkich kościelnych uroczystościach. Rodzina podejrzewała nawet, że w przyszłości zostanie księdzem. On wówczas zapierał się, że nie. I tłumaczył, że po prostu chce wszystko wiedzieć. – Tak, to już było tak od początku z nim. I on się nosił z tym, że musi być jakąś jednostką. Tak. Zasadniczo to ja myślałam o architekturze. No, może trudno było się dostać, ale może inżynier budowlany. A on nie mówił, kim będzie, tylko kiedy myśmy chcieli, żeby w tym kierunku poszedł, powiedział stanowczo, że nie, że on nie będzie pionkiem w jakimś zawodzie, takim, co mu nie odpowiada – mówiła.

► „Dwa czy trzy rzędy wypranych map”

Miron był jedynym dzieckiem Kazimierzy i Zenona Białoszewskich. Ojciec poety był pracownikiem Poczty, w pewnym momencie rodzina przeprowadziła się więc z Woli na ulicę Warecką, gdzie Zenon dostał służbowe mieszkanie. Być może Miron zostałby architektem czy innym inżynierem, jednak II wojna światowa obudziła w nim talent literacki. Z całą pewnością wydarzenie, jakim był atak niemiecki, a później sowieckiego okupanta, było przeżyciem, które ukształtowało całe pokolenie. Jednak w przypadku Białoszewskiego wojna oddziaływała zdecydowanie inaczej niż w przypadku „pokolenia Kolumbów”. Anna Sobolewska, autorka poświęconej Białoszewskiemu książki „Maksymalnie udana egzystencja”, podaje, że pierwszy, pracowicie rymowany poemat, jaki popisał Białoszewski, dotyczył właśnie września 1939 r. Jednak równie istotne jest to, jaki sposób patrzenia na świat wyrobiła w Białoszewskim wojna. A ten widać w poświęconym jej utworze pt. „Rajza”, napisanym już po wojnie, bez

rymów, typowym dla Białoszewskiego stylem. Świadek wyróżnia się tym, że wojna oczami Białoszewskiego to karnawał, pełen scen groteskowych, wywróconej do góry nogami rzeczywistości. Białoszewski opisuje m.in. scenę, w której urzędnicy jednego z ministerstw palą w piecach dzikie ilości map, które sami niedawno w pocie czoła wyrysowywali. Nagle jednak znajdujące się wśród nich kobiety doszły do wniosku, że żal dobrego płótna, na którym były wyrysowywane mapy. Zamiast palić, zaczęły więc pracować. „Natychniały wyniosły balie do ogródka, wrzuciły do balii mapy i zaczęły pracować. Co wyprały, wieszały na sznurze między drzewami. Świeciło słońce. Tarki chrobotowały. Piece dymiły. Zrobiło się popołudnie i czołgi już przejeżdżały ulicą. Ulica była za siatką. Panowie urzędnicy przy piecach siedzieli dalej na krzeselczkach, tylko szybciej podkładali. Mama i pani Janka zawiesiły już dwa czy trzy rzędy wypranych map”.

Te i podobne sceny nie pokazują grozy, a jedynie wywrócenie świata do góry nogami. Czy oznacza to, że Białoszewski nie odczuwał wojennej grozy? Wręcz przeciwnie. Jak zaznacza Sobolewska, Białoszewski „oswaja wojnę, tak jak później będzie oswajał wszystkie inne nieszczęścia – zawał, przejścia szpitalne, śmierć. [...] upadkowi dawnego świata stale towarzyszy maskarada – jedna z najważniejszych instytucji karnawału. Od pierwszej sceny, prania map, do ostatniej – kiedy to w czasie spaceru po zrujnowanej Warszawie druty tramwajowe zdjęły bohaterowi czapkę z głowy – świat przedstawiony »Rajzy« jest antybohaterski i zwariowany, jest to karnawałowy »świat na opak«, w którym nastąpił kryzys i rozpad dawnych form. Wojna, wyzwalając ludzi z form życia społecznego, skazuje ich na prymusowe wakacje, życie improwizowane. Czas wyzwolony z monotonii życia powszechnego staje się, mimo wszystko, czasem święta”.

► Kluski z gipsu

Białoszewskiemu wielokrotnie wyrzucano, że nie poszedł do powstania. Czy jednak jego bierność wynikała z oportunizmu? Chyba nie. Choć Lesław M. Bartelski na łamach „Widnokręgów” pisał o nim w 1977 r., że to „raczej Anty-Kolumb, wyjątek potwierdzający regułę, związany z generacją przeżyciami, choć tak odrębny i nawet się jej przeciwstawiający. Równieżnik Borowskiego i Gajcego, student tajnego wydziału polonistycznego UW w okresie okupacji, nie podzielił losu i ambicji swych kolegów. Był jak liść, miotany wichrem dziejów, poddawał się im bezwolnie, nie próbował jak oni brać się z przeznaczeniem za bary”, to można odnieść wrażenie, że zadziałał tu inny czynnik,

tak typowy dla Białoszewskiego. On prawdopodobnie o powstaniu nie miał zielonego pojęcia! Poetę cechowała bowiem wrażliwość tak odwrócona do wewnątrz, skupiona na własnych przeżyciach, że światem zwyczajnie się nie interesował. Jednak nazywanie Białoszewskiego tchórzem czy biernym świadkiem, jest wysoce niewłaściwe. Warto przytoczyć dwa wspomnienia, oba z cytowanej już książki: „Miron. Wspomnienia o poecie”. Sabina Jurgielewiczowa, ciotka poety, opowiada mianowicie, że kiedy z początkiem powstania Miron z matką znalazł się w schronie na Chłodnej, to przyszedł jakiś facet i prosił, żeby ktoś mu pomógł nieść rannego. „Naturalnie zgłosił się Miron. Poszedł pod bomby. Taki już był. Miron miał swoje dziwactwa jak wszyscy ludzie. Ale nie sprawił nikomu najmniejszej przykrości” – mówi.

Z kolei Stanisław Prószyński, opowiadając o intelektualno-teatralnych spotkaniach, jakie w czasie wojny odbywały się w zajmowanym przez Białoszewskiego i jego matkę mieszkaniu na Chłodnej 40, zaznacza, że kiedy przechodził „przez kuchnię, a może pierwszy pokój, zawsze siedziała tam, odwrócona tyłem do wchodzących gości, [...] »starsza« pani”. „Miron mówił, że to jest kuzynka Stefa, ale nigdy nikt się z nią nie witał i nie rozmawiał... Dopiero wiele lat po wojnie, w którymś z tomów prozy Mirona wyczytałem, że była to przechowywana przez jego matkę znajoma jeszcze sprzed wojny. Żydówka” – wspomina.

Przyjaciółka poety Irena Prudil relacjonuje we wspomnianej książce, że podczas powstania bynajmniej nie należał do tchórzliwych. Wspomina również pewien zabawny epizod. Otóż kiedy Miron i jego kolega wrócili do mieszkania z budowania barykad na Chłodnej, trzeba było przygotować coś do jedzenia. Znaleźli resztkę mąki. Postanowili zrobić kluski. Jednak po wlaniu wody domniemana potrawa stwardniała na kamień. Okazało się, że nie była to mąka, ale gips. „Znalazłam torebkę żytniej mąki, tym razem prawdziwej. Były z niej pyszne zacierki, chociaż bez tłuszczu” – wspominała Prudil na łamach książki „Miron. Wspomnienia o poecie”.

► Teatr na Tarczyńskiej, Teatr Osobny

Po wojnie Białoszewski mieszkał najpierw z matką, którą jednak – jak wspomina Stanisław Prószyński – najpierw rozwiódł (po wojnie odnalazł się ojciec, który powrócił z robót w Rzeszy), a następnie szczęśliwie wydał za mąż za niejakiego pana Piekutę. Matka za nowym mężem przeniosła się do Garwolina, a Miron miał spokój, do czasu, aż zaczęły się hece z nieszczęsnym sublokatozem, jego kapustą, skarpetkami i kuzynem, który był właściwie sublo-

katorem sublokatora. Jednak w tym okresie najważniejszy adres w życiu poety to Tarczyńska 11. Tam mieścił się legendarny teatr w mieszkaniu. Ojcami przedsięwzięcia byli Lech Emfazy Stefański, właściciel lokalu na Tarczyńskiej, a także Bogusław Choiński i Białoszewski właśnie. Jak pisze Izabela Tomczyk na łamach „Stolicy” w tekście „Życiopisanie, życiogram” (nr 6–7, 2013), poeta „wspominał, że na przełomie marca i kwietnia 1955 r. przyszedł do niego Bogusław Choiński i powiedział, że na Tarczyńskiej będzie teatr. Skrzynkowy teatr. Skrzynkowy, czyli jaki? Przede wszystkim niewielki; to teatr rąk i przedmiotów, którego premierowe przedstawienia odegrano w przyniesionej z piwnicy i polakierowanej na czarno skrzynce po owocach. Skrzynkę ustawiono we wnęce pokoju Stefańskiego, na wysokości oczu. Tak powstała miniaturowa scena”.

Oddajmy ponadto głos Zbigniewowi Herbertowi: „Pamiętam, jak przez znajomego krytyka zostałem wprowadzony w wielką beczkę czynszowej kamienicy na Tarczyńskiej i jak zaczęliśmy się pięć po schodach z sercem przepełnionym miłym uczuciem uczestniczenia w działalności artystyczno-wyrotowej. Wszystko tu miało styl kałkowsko-konspiracyjny. Przez wąski przedpokój, gdzie palono i gadano o sztuce, wchodziło się do pokoju przerebionego na widowieństwo. Tu stali, siedzieli i leżeli widzowie. Cóż za ponętny widok dla socjologa kultury. Był tu redaktor postępowego pisma dla młodzieży, wróg formalizmu i sztuki zachodniej, który całym swoim zachowaniem dawał do zrozumienia, że jest przeciw, że nie popiera, że da tym zdrożnościom należytą odprawę w swoim organie. Był pisarz, który od pewnego czasu sprzyjał wszystkiemu, co nie było socrealizmem. Była spora grupa młodzieży artystycznej ze środowiska Akademii Sztuk Pięknych, trochę kulturalnych pań, które kibicują sztuce, i wreszcie parę osób zupełnie przypadkowych i zupełnie zdezorientowanych” („Zeszyty Literackie”, nr 2, 2009).

Później kontakty Białoszewskiego z Tarczyńską rozluźniły się. Wówczas, po 1958 r., wraz z Ludwikiem Heringiem oraz aktorką i malarką Ludmiłą Murawską stworzył Teatr Osobny. Rok 1958 ważny jest także z innych przyczyn. Wówczas Białoszewski dzięki pomocy Związku Literatów Polskich dostał mieszkanie przy placu Dąbrowskiego. Przez długie lata dzielił je z Leszkiem Solińskim, który od mniej więcej 1950 r. stał się najbliższym mu człowiekiem. Razem odbywali długie wędrówki po Rzeszowszczyźnie.

Skąd pomoc ZLP? Równocześnie z teatralną rozwijała się twórczość poetycka Mirona Białoszewskiego. „Odkrył” go Artur Sandauer. Podczas jedne-

go z wieczorów poetyckich zobaczył młodego, szczupłego chłopca o kartoflanym nosie i dużych, wrażliwych ustach. Chłopiec recytował wiersz „Karusela z Madonnami”:

*Wsiadajcie, madonny
madonny
Do bryk sześciokonnych
...ściokonnych!
Konie wiszą kopytami
nad ziemią.
One w brykach na postoju
już drzemią.
Każda bryka malowana
w trzy ogniste farbki
I trzy są końskie maści:
od sufitu
od dębu
od marchwi.*

„Autorowi wiersza, na którego wartości nie mogłem się nie poznać, postanowiłem – urządzając mu prywatne wieczory – utworzyć drogę w literackiej opinii. Właśnie nadarzała się okazja. Bywałem częstym gościem u Gałczyńskich; rewizytę można było połączyć z czytaniem wierszy. Wydawało mi się, że powinny się Gałczyńskiemu podobać. Drzwi w drzwi z nami mieszkał personalny „Czytelnika”. [...] Wysłuchawszy wierszy, Gałczyński zerwał się i odrzucając teatralnie włosy do tyłu, zawołał [...]: »a rrewolucja?«. Jak zwyczajnie, nie wiadomo było, czy kpi, czy o drogę pyta. Dość, że wieczór Białoszewskiemu nie wyszedł” – wspominał Sandauer w cytowanym już zbiorze „Miron...”.

To właśnie Sandauer wybrał wiersze do pierwszego tomiku Białoszewskiego, „Obroty rzeczy”. Później ukazywały się kolejne tomiki: „Rachunek zachciankowy” (1959), „Mylne wzruszenia” (1961) oraz „Było i było” (1965). Choć po debiucie uzyskał stypendium i jego warunki bytowe nieco się poprawiły, Białoszewski zapadł na gruźlicę. Rozmowy, jakie słyszał w szpitalu, leżąc na Sali ogólnej, stanowiły jedną z inspiracji dla tomu prozy „Szumy, zlepy, ciągi” (1976). Warto zresztą zacytować fragment tej poezjo-prozy, tak dla Białoszewskiego typowej:

„Labirynt pod ziemią to labirynt. Wieczne źródło radości. Takie źródło w kwadrat. Zalewane ludźmi. Za Alejami siedzą gdzie się da, przy PKO, pod knajpą, na tarasikach, na ławkach, na wazonach, ci w cieniu, ci w słońcu. Jedna z zielonymi powiekami, przechylona do opalania w tył, jak z tataraku, jak sadzawka, Mehoffer, tyle nastroju i hecy takie jedne powieki, oddane ciepłu”.

► Mistrz na tapczanie

Mieszkanie przy placu Dąbrowskiego było miejscem legendarnym, jeśli chodzi o mapę PRL-owskiej stolicy. Jak podaje Krzysztof Masłoń w „Rzeczpospolitej”, w 1959 r. nawiedzili je Jean-Paul Sartre i Simone de Beauvoir. Sześć lat później w to samo miejsce trafił Allen Ginsberg. „Ujrzeni to, co wszyscy – wolnego poetę leżącego w łóżku”.

Żaś Anna Sobolewska wspomina (w książce „Maksymalnie udana egzystencja...”), że „przychodząc do Mirona dawało się znaki – stukąło się w ścianę klatki schodowej umówionym sposobem, dokładnie w tym miejscu, gdzie stało «wyro» poety. Każdy z przyjaciół miał inny sygnał. Jedni stukali kluczkami, inni pukali delikatnie obrączką. Wielu czytelników może nie zrozumieć tych oto zdań: »A pukania szły. Dziobały. W ścianę. Bo Le.[czyli Leszek Soliński – przyp. M.Z.] nie grozi, nie ma go« [...] Czasem wynikały z tego systemu zabawne pomyłki – zamiast oczekiwanego gościa wchodziła pani z administracji lub świadkowie Jehowy”.

Sobolewska opisuje zresztą także inne dziwne zwyczaje poety. Otóż odwracał on pory dnia, żył głównie nocą, „nie lubił jaskrawego światła. Okna były szczelnie zasłonięte grubymi, ciemnymi zasłonami. Przy łóżku mała lampka do czytania. I sterta płyt pod ręką przygotowana specjalnie na wieczór. Białoszewski miał kilka skrzyń pełnych płyt, wszystko, co znaleźć można było wówczas w ośrodkach czeskim, węgierskim, NRD-owskim i u Rosjan. Zauważyłam, że dzisiejsi czytelnicy już nie rozumieją, co znaczy wstąpiłem „do Czechów” po płytę – epoka czarnej płyty ośrodków kultury się skończyła” – pisze.

► Polityka, apolityczność czy brak charakteru?

Pisząc o Białoszewskim, trudno przemilczeć jego epizod jako dziennikarza. Wróćmy więc do czasów powojennych. Tuż po zakończeniu niemieckiej okupacji poeta pracował na Poczcie Głównej, później zaś jako dziennikarz zaczął się kolejno w „Kurierze Codziennym”, „Wieczorze Warszawy” i „Świecie Młodych”. Krzysztof Masłoń w 2012 r. dość ostro pisze na łamach „Rzeczpospolitej” o tym okresie życia Białoszewskiego, przytaczając m.in. słowa redakcyjnej koleżanki Białoszewskiego Wandy Chotomskiej, która opowiadała o chodzeniu do prywatnych restauracji, gdzie podawano kuropaty, i rozbijaniu się takówkami, oraz zaznacza, że „urwało się, gdy Chotomskiej wypomniiano niewłaściwe pochodzenie społeczne, a Białoszewskiego przyjaciel wpłatał w aferę kryminalną, na owe czasy poważną, co

gorzej, z ewidentnie homoseksualnym podtekstem, co było już absolutnie nie do wybaczenia”.

Z kolei w wielokrotnie już wspomianej książce „Miron...”, Andrzej Oseka wspomina, że w dziale kulturalnym „Świata Młodych” było nieco inaczej niż w reszcie redakcji. Chociaż nie był to bunt przeciw stalinizmowi, to zdecydowanie więcej panowało tam luzu. Ponadto „przychodzili do Mirona jego przyjaciele, o całkiem nie ZMP-owskich upodobaniach [...] Mówili o pisarzach i poetach, zupełnie innych niż ci, o których się mówiło oficjalnie. I tak dowiedziałem się o istnieniu Kafki, Gombrowicza, Szulza, o powieściach Witkacego”. Czy jednak Białoszewski miał przeblyski co do tego, w jakiej rzeczywistości żyje? Chyba tak. „Po skończonej pracy, po czwartej, wyszliśmy na klatkę schodową. [...] Rozmawialiśmy, schodząc, o literaturze. Miron zatrzymał się nagle i po chwili milczenia powiedział: »Wiem, że mam talent poetki. I wiem, że już nigdy w życiu nie wydrukują mi żadnego wiersza«” – relacjonował słowa poety Oseka.

Inaczej na Białoszewskiego zapatruje się poeta Bohdan Urbankowski, który wypomina mu m.in., że w czasach, w których „Pamiętnik z Powstania Warszawskiego” cieszył się wielką sympatią władz reżimowych, Białoszewski przystawał na to, by być hołubiony przez PRL-owski establishment. – „Pamiętnik z Powstania Warszawskiego” był oficjalną czytanką dla młodzieży w PRL – wyrzucił dużo zła, tym bardziej, że był dobrze, przekonywająco napisany. Ale to wszystko, co tam napisał, streścił w wierszu „Trzy” – to był jego sposób na życie. Kolejne wcielenie „prześmiewców” – tyle że unowocześnionych, dowcipniejszych, pisali nie cepami, a strzykawkami, skalpelami – przy okazji krojąc słowa i niepotrzebnie kalecząc i podtruwając czytelników. Myślę, że zachowawcza postawa Białoszewskiego i jego koniunkturalizm (w czasach stalinizmu był po prostu reżimowym dziennikarzem) łączyły się jakoś z jego „orientacją”: miał konsumpcyjny stosunek do życia – mówi.

Być może Białoszewski wraz z upływem czasu jednak trochę złagodził swoją postawę. „W 1975 r. Miron zaskoczył mnie jak nigdy. Warto tu powiedzieć, że trudno znaleźć w kręgu mych przyjaciół i znajomych drugiego aż tak pozbawionego wszelkich zainteresowań politycznych człowieka” – opowiadał w „Miron. Wspomnienia o poecie” Jan Józef Lipski. Dodawał, że Białoszewski nie zajmował się tym zupełnie, ignorował tę sferę rzeczywistości w sposób aż absurdalny, i nie chciał nic na te tematy wiedzieć. „Ale w końcu roku, gdy po Warszawie krążyły listy w sprawie zmian w konstytucji, wpadłem i do niego, wiedząc z góry, że wzruszy ramionami i zmieni temat. Miron przeczytał uważnie i powiedział zdziwiony: »A czy takiego tekstu można nie podpisać?«” – i sięgnął po długopis, a może

flamaster. Była to któraś z list dodatkowych. Nie zauważyłem, by była gdzieś publikowana, ale może przeczytałem. Tym bardziej to świadectwo jest potrzebne” – relacjonował.

► Bóg, mężczyźni, śmierć i podróże

W połowie lat 70. Białoszewskiemu poważnie zaczęło szwankować zdrowie. Pierwszy zawał przeszedł w 1974 r. Ponadto jego w jego życiu osobistym doszło do poważnego tąpnięcia. Nie tylko po wielu latach zakończył się jego związek z Solińskim, lecz także musiał wyprowadzić się z mieszkania, w którym czuł się tak dobrze. Przeniósł się do świeżo wybudowanego blokowiska w okolicach Saskiej Kępy. „Musiał opuścić swoje oswojone już mieszkanie, balkon, ulubioną topolę, ulicę Marszałkowską i zgodzić się na to, co gorsze – na ciasne mieszkanie w »mrówkowcu«, na dziwnie piętrowe, hałaśliwych sąsiadów, na drugą, tę »gorszą« stronę Wisły. Tę nową katastrofę udało mu się – podobnie jak poprzednie – przemienić w poezję” – pisze Anna Sobolewska.

W ten właśnie sposób powstało „Chamowo”. Sobolewska określa je jako zarazem powieść analityczną i dziennik życia wewnętrznego. Jak pisze, „Białoszewski eksploatuje nie pokłady pamięci czy możliwości wyobraźni, ale sferę elementarnej percepcji. Narrator nieustannie problematyzuje swoje widzenie świata – zastanawiając się nad naturą relacji przestrzennych w mieście. Codziennie sprawdza i opisuje organizację przestrzeni swojego osiedla. Zwłaszcza »okoliczności okiennie-widokowe« dostarczają coraz to nowych problemów. Widok z okna wcale nie musi być oczywisty. »To, co widać« może być pomnożone przez zmanierzenie bądź nadzwyczajne wyostrenie wzroku, a czasem przez celowy eksperyment wyobraźni”.

Ostatnie lata życia poety to – poza problemami zdrowotnymi – także czas, w którym zszedł on ze swojego odwiecznego tapczanu i zaczął podróżować po świecie. Był w Paryżu, w którym to mieście największe wrażenie zrobiła na nim szafa, która runęła na niego w hotelowym pokoju (Sandauer wspomina, że Białoszewski napisał o tym wiersz!), a rok przed śmiercią odwiedził Amerykę. W której, jak się okazało, jest tak samo jak gdzie indziej.

Po jego twórczości widać, że próbował ośwoić śmierć. Wystarczy przypomnieć choćby znany wiersz, w którym rozmawia ze Śmiercią, początkowo wziętą za dziennikarkę. Utwór jest wzorowany na „Rozmowie Mistrza Polikarpa ze Śmiercią”, a Białoszewski pisze o sobie „Mistrz Miron”.

Ewa Berberysz w książce „Miron. Wspomnienia o poecie” stawia tezę, że Białoszewski pod ko-

niec życia szukał Boga. „Starzy znajomi stwierdzają, że w ostatnich latach życia stał się po prostu lepszym człowiekiem. Takim go znalazłem. Zintegrowany wewnętrznie, szukający serdeczniejszych kontaktów z ludźmi, szukający Boga. [...] On szukał Boga. Nie tylko ze względów kulturalnych, przynależenia do kręgu świata chrześcijańskiego, nie tylko ze względów psychologicznych, zaciekawiony pytaniem, dlaczego inni wierzą – ale dla samego siebie. Bo czymże innym jest owo napięcie metafizyczne, stałe w nim obecne, widoczne w twórczości, ale i idące głębiej, poza twórczość, jak nie szukaniem Boga?” – snuje refleksję.

Czy to prawda? Wspomniany już Krzysztof Małosiński powołuje się na „Tajny Dziennik” Białoszewskiego (sam poeta zaznaczył, że jego zapiski można wydrukować dopiero po 2010 r. „Tajny Dziennik” wstępem opatrzył Tadeusz Sobolewski), pisze, że Białoszewski był niechętny Kościołowi. „Swoją drogą przeczy samemu sobie, i to wielokrotnie. Z jednej strony nie może ukryć zniecierpliwienia, gdy jego żydowska przyjaciółka nie może opanować sztuki żegnania się krzyżem, z drugiej zaś strony, podczas rejsu wokół Europy dziwi go zachowanie rodaków w kaplicy urządzonej w dolnej kajucie: »sala pełna ludzi, a to ci sami i te same, co wczoraj balowały, co żrą, popijają, dowcipkują i handlują, teraz chórem odmawiają i odśpiewują mszę. Umieją wszystko. Wiedzą, kiedy wstać, sięść«. A co, lepiej, żeby nie wiedzieli?”.

Niezależnie od tego, Białoszewski z pewnością czuł upływ czasu i nadchodzący kres. „Czas idzie. Czas idzie mimo takich czy innych okresów, wydarzeń. Łatwo się nabrać na to, że coś się przyhamuje (w czasie), a to nie. On chytry” – pisał mniej więcej rok przed śmiercią do Józefa Barana.

Zmarł 17 czerwca 1983 r., po kolejnym zawale serca. Jak wspomina Artur Sandauer, na jego pogrzebie przemawiał Jan Błoński z ramienia Związku Literatów Polskich i ks. Jan Twardowski z ramienia Kościoła.

Awangardowy twórca, awangardowe życie. Ale z pewnością jedna z najistotniejszych sylwetek literackich XX wieku. I postać trudna do oceny. Z jednej strony, można powiedzieć, że albo był na pewne sprawy ślepy (w co nie wierzy np. Bohdan Urbanowski), albo zwyczajnie brakowało mu siły charakteru, by zaangażować się w walkę z systemem. Z drugiej strony, jego wiersze i sposób, w jaki traktował materię językową, stawiają go w czołówce europejskich poetów. Może zachodzi tu ten sam syndrom, co u Grochowiaka: niektórzy, by zająć się sztuką, chcą mieć spokój w życiu. A wówczas na walkę nie ma już miejsca. ■

Razem się urodzili i razem zginęli

Dariusz Jarosiński



Los żeglarzy z Węgorzewa, Piotra i Mieczysława Ejsmontów, braci bliźniaków, to wyjątkowy przykład wierności swoim dziecięcym marzeniom i wartościom, jakie wyznawali choćby ich przodkowie na Grodzieńszczyźnie. Za marzenia o wolności i swobodnym żeglowaniu zapłacili najwyższą cenę. Zginęli na jachcie „Polonia” pod banderą Wolnych Polskich Żeglarzy w czasie rejsu dookoła świata w 1969 r. O ich żeglarskich wyczynach w czasach Peerelu informowały jedynie Radio Wolna Europa i Głos Ameryki.

Bracia Ejsmontowie wypływają na jachcie „Polonia” w rejs dookoła świata. Przekazanie bandery Wolnych Polskich Żeglarzy. Port w Nowym Jorku, 12 lipca 1969 r.



Bracia przyszli na świat w listopadzie 1940 r. w Grodnie, pięć lat później urodziła się Wanda, ich siostra. Rodzice, Jadwiga i Józef Ejsmontowie, zdążyli jeszcze tuż przed wejściem Sowieców zakończyć budowę domu. Ojciec pracował na kolei, pochodził ze starego szlacheckiego rodu, mającego jeszcze jaćwieskie korzenie. Ejsmontowie od ponad 500 lat sprawowali ważne funkcje polityczne, kulturalne na ziemi grodzieńskiej.

– Kiedy okazało się, że Grodno nie będzie należało do Polski – wspomina Wanda Ejsmont-Śmiechowicz – ojciec zdecydował się na opuszczenie ukochanej ziemi. Do 1952 r. mieszkaliśmy w Kętrzynie, tutaj urodził się nasz brat Janek. W tym roku tata otrzymał pracę kasjera towarowego PKP w Węgorzowie, zamieszkaliśmy w niedużym domku z ogródkiem obok dworca kolejowego. Wokół nas były Wielkie Jeziora Mazurskie. Piotrek i Mietek pokochali wodę od pierwszego wejrzenia. Zamiast wracać do domu po lekcjach, szlifowali stare poniemieckie dezety w powstałym akurat Klubie Morskim Ligi Przyjaciół Żołnierza. Razem z niewiele od siebie starszymi instruktorami, Jurkiem Tyszeko i Mietkiem Piskorzem, odbywali swoje pierwsze rejsy po Mamrach. Kiedyś przyciągnęli do ogrodu łódkę, też im dzielnie pomagałam w szlifowaniu. Ich pokój na poddaszu wypełniał się książkami podróżniczymi, o żeglarsztwie, mapami. Tam też długo paliło się światło wieczne.



Ojciec franciszkanin błogosławi przed rejsem dzielnych żeglarzy. Buenos Aires, 4 grudnia 1969 r.

rem. Już wtedy snuli plany o dalekich wyprawach. Oni mieli w sobie jakiś gen podróżników. Nieraz tata otrzymywał telefony ze szkoły: „Panie Ejsmont, czy pana synowie poszli do szkoły, bo w szkole ich nie ma?”. Wiadomo, gdzie należało ich szukać – nad jeziorem. Mnie też zabierali ze sobą na wodę, na szkolne zabawy. Mieli jednak też tylko swoje tajemnice. Jeden drugiego nigdy nie wydał. W szkole nauczyciele ich nie odróżniali, więc często jeden odpowiadał za drugiego.

Po roku nauki w Technikum Rybackim w Giżycku Mietek i Piotrek stwierdzili, że to nie jest szkoła dla nich – nie daje im możliwości pływania po morzu, a prze-

cież to jest ich marzenie. Próbowali dostać się do szkół morskich na Wybrzeżu – w Darłowie i Gdyni, ale próby te spaliły na panewce. Zabrakło im też szczęścia, by wziąć udział w kursie marynarki w Gdyni. Nie poddali się jednak – udało im się odbyć rejsy po morzu jachtami szkoleniowymi „Zawisza Czarny”, „Generał Zaruski”, „Henryk Rutkowski”. Zdobyli uprawnienia sterników morskich. Rejsy te jeszcze tylko bardziej rozpalily ich wyobraźnię. Wrócili do Węgorzewa. Ojciec załatwił im pracę w kasie PKP. Można sobie wyobrazić, jak trudno było im tam wysiedzieć.

► Jedno jest tylko dla nas miejsce

Pod koniec sierpnia 1959 r. bracia bliźniacy wzięli urlop z pracy i pojechali na Wybrzeże. Wypożyczyli z klubu żeglarskiego Ligi Przyjaciół Żołnierza w Trzebieży bezbalastowy niewielki jacht o nazwie „Powiew”. Łódka ta to łupina, przystosowana jedynie do pływania po Zalewie Szczecińskim. Szybko zapadła decyzja: „Płyniemy! Płyniemy na dalekomorską wyprawę!”. Zdobyli stare mapy nawigacyjne, kompas, zakupili sześć puszek konserw rybnych, dwa bochenki chleba, kilogram cukru, osiem jajek, butelkę soku wiśniowego. O swojej decyzji naturalnie nikomu nie powiedzieli. Na sfalszowanym dokumencie napisali: „Rejs próbny przed wyprawą przez Atlantyk. Zezwala się na dwóch ludzi załogi. Uprasza się o nierobienie żadnych trudności”.

Funkcjonariusze Straży Granicznej w Świnoujściu nie zezwolili braciom na wyjście w morze, nakazali powrót do portu. Nie znaleźli nazwiska bliźniaków w spisie kapitanów upoważnionych do samodzielnego prowadzenia jachtów. Jednak to nie załamało chłopców. Nie poddali się – popłynęli do Dziwnowa. Tam oficerowie Straży Granicznej byli mniej dociekliwi. Wieczorem, 11 września, Piotr i Mietek na jachcie „Powiew” wyszli w morze. Niestraszne im były ostrzeżenia o zbliżającym się sztormie na Bałtyku. I rzeczywiście, Neptun nie był dla nich łaskawy – dmuchnął silnym wiatrem. Po nocnej bitwie toczony z żywiołem dotarli do wybrzeży Bornholmu, duńskiej wyspy nazwanej wyspą wolności, bo uciekinierzy z krajów okupowanych przez Sowietów, piloci, marynarze, tam otrzymywali azyl, znajdowali wolność.

O swoich przeżyciach związanych z nocnym rejsiem Mieczysław i Piotr opowiedzieli latem 1960 r. redaktorowi Tadeuszowi Ostaszewskiemu, dziennikarzowi „Panoramy Północy”: „Był rok 1959, przemijał sierpień. Światło w naszym pokoju gasło późnymi wieczorami. Po raz dziesiąty czytaliśmy te same książki: »Samotny żeglarz«, »Przez głębie i mielizny«, »Wyprawa jachtu Dal«, a serca były coraz niespokojniej. Trzy rejsy morskie nie zdołały zaspokoić naszych pragnień. Musimy płynąć i to jeszcze tej jesieni. Zawsze

jak przychodzi jesień, to dzieje się z nami coś dziwnego. Coś gdzieś nas ciągnie, każe marzyć, na pływanie przychodzi taka ochota, że trudno wytrzymać. Na jeziorach nie mogliśmy usiedzieć. Były już widocznie zbyt nam znane. Rejsy na statkach Szkoły Rybołówstwa Morskiego, najpierw w charakterze załogantów, a później na flagowym jachcie Ligi Przyjaciół Żołnierza [późniejsza, po 1962 r., Liga Obrony Kraju – przyp. D.J.] »Mariusz Zaruski«, gdzie byliśmy bosmanami, przekonały nas, że jedno jest dla nas tylko miejsce, a jest nim morze. O samodzielne rejsy staraliśmy się od trzech lat: trawą przez Bałtyk – wcześniej niż Urbańczyk; [...] szalupą dookoła Europy. Nic jednak z tego nie wyszło. [...] W końcu sierpnia wypożyczamy jacht do pływania po Zalewie Szczecińskim. Pierwszego września wkładamy żeglarskie bluzy, chwytamy bosmańskie worki, żegnamy się z rodzicami i kolegami, mówiąc im, że my tylko do Szczecina. [...] Ponieważ było nas tylko dwóch, w Szczecinie nie otrzymaliśmy kiler, tylko bezbalastową jolkę. Był to jacht, na którym marzyło nam się przepłynięcie mórz i oceanów. Z listą załogi nie było kłopotu. Wzięliśmy ją, korzystając z nieobecności kierownika klubu żeglarskiego LPŻ. [...] Tuż za »głównymi« portu spotkała nas duża fala. Jacht, nieprzystosowany do pływania na morzu, zaczął ryc i brać wodę na pokład. Zrefowaliśmy żagle. Pomogło. Zrobiło się ciemno, a wkrótce zapadła noc. Po kilku godzinach zgubiliśmy ład. A tymczasem wiatr przybierał na sile. Płynęliśmy pod wiatr na mocno zrefowanym fok i grocie. Płynęliśmy jak upiór, bez świateł. Niewiele brakowało, a wpadlibyśmy pod statek nieznaney bandery. Przeszliśmy około 50 metrów przed jego dziobem. Bałtyk się srożył. Dmuchało z siłą 6–7 stopni. Co pół godziny wylewaliśmy z jachtu około 30 wiader wody. Trzymaliśmy kurs na North, planując dotarcie do Kopenhagi. Piekielny szkwiał chciał koniecznie wyrzucić naszą jolkę. [...] Żeby nie myśleć o głębieniu i szkwale, przez całą noc śpiewaliśmy piosenki. Kiedy zaświtało i pokazało się słońce, minęło dziesięć godzin naszej walki z Bałtykiem. Ale w dzień stało się różnie, weselej. [...] Mieliśmy dwie mile zboczenia. Po naradzie postanowiliśmy zawinąć do portu w Ronnem. [...] Do portu weszliśmy pod pełnymi żaglami i zacumowaliśmy obok dużego duńskiego

szkunera. Był 12 września, godzina 12 w południe. Szybko zbiegli się ludzie, pokazując sobie ze zdziwieniem naszą niewielką łódkę i dwójkę żeglarzy, podobnych do siebie jak dwie krople wody. Taką łupinką nikt jeszcze Bałtyku nie przepłynął, zwłaszcza podczas burzliwej nocy”.

Przedstawiciele duńskich władz, którzy wkrótce skontaktowali się z braćmi, byli ogromnie zdziwieni, że ci nie chcą azylu, a jedynie proszą o pomoc w uzupełnieniu prowiantu na dalszą drogę, bo ich im zamókł w czasie sztormowej nawałnicy. Dotychczas wszyscy, którzy docierali na Bornholm z Polski, prosili o azyl. Władzom duńskim nie pozostało zatem nic innego, jak przekazanie Mieczysława i Piotra do konsulatu PRL w Kopenhadze.

Do Polski wrócili jak groźni przestępcy – w kajdanach, konwojowani przez ubeków. Zostali osadzeni w więzieniu w Goleniowie. Za kratami spędzili pięć miesięcy do rozprawy.



Jadwiga i Józef Ejsmontowie z dziećmi – Piotrem, Mietkiem i Wandą. Około 1948 r.

► A jeżeli Polska was nie puści? Popłyniemy

Ojciec bliźniaków, Józef Ejsmont, zaniepokoił się, że chłopcy po dwóch tygodniach nie wrócili do domu w Węgorzewie, do pracy w kasie PKP. Nie dawali znaku życia. Pojechał szukać ich do Szczecina, a kiedy okazało się, że synowie są w więzieniu, wynajął adwokata. Obrony chłopców podjął się mecenas Roman Łuczywek.

Zarzuty prokuratorskie były poważne: kradzież łodzi, fałszowanie dokumentów, nielegalne przekroczenie granicy. Na rozprawę przyszło dużo młodzieży, niestety, została ona wyproszona z sali – tylko rodzice mogli zostać. Prokurator domagał się pięciu lat więzienia dla żeglarzy z Węgorzewa. Chłopcy nie prosili o łagodny wymiar kary, a o zwrócenie uprawnień żeglarskich, by mogli nadal pływać. W mowie końcowej mecenas Łuczywek mówił o „szlachetnych pobudkach, którymi się kierowali w swej chęci poznania świata i zyskania sławy żeglarskiej”, mówił też o dużym wyczynie sportowym. Bardzo ważne okazało się pismo sekretarza Ambasady PRL w Kopenhadze skierowane do sądu. Musiał obdarzyć chłopców dużą sympatią, bo pisał m.in.: „Co do Ejsmontów, to podzielam pogląd, że tym chłopcom trzeba pomóc. To są fanatycy morza”. Pisał też, że ich zamiarem nie była ucieczka z Polski, nie popłynęli po to, by



Węgorzewscy żeglarze. W środku bracia Mietek i Piotrek Ejsmontowie

uzyskać azyl. Ostatecznie postępowanie karne przeciwko węgorzewskiemu żeglarzom zostało umorzone. Jak wiadać i w Peerelu można było trafić czasami na w miarę normalnego sędziego. Na zakończenie ów zapytał chłopców: „Czy popłyniecie jeszcze na dalekomorską wyprawę?”. „Popłyniemy” – odpowiedzieli zgodnie. „A jeżeli Polska was nie puści?” – dopytywał sędzia. „Popłyniemy” – znowu brzmiała odpowiedź.

Rodzina bardzo przeżywała pobyt Mietka i Piotra w więzieniu. Wszyscy obawiali się szczególnie rozłączenia chłopców, co byłoby dla nich najbardziej dotkliwą karą obok zakazu pływania, i z czym trudno by im było żyć. Siostra Wanda, którą bliźniacy bardzo kochali, którą nazywali królowną, uczyła się wówczas w Technikum Kolejowym w Olsztynie. Opuściła się w nauce, na semestr otrzymała trzy oceny niedostateczne, grożono jej wyrzuceniem z internatu. Mietek i Piotr po wyjściu z więzienia najpierw odwiedzili siostrę w internacie.

► Pod banderą Wolnych Polskich Żeglarzy

Pobyt w więzieniu nie tylko nie załamał bliźniaków, lecz jeszcze bardziej zdeterminował do przygotowywania morskich wypraw.

W niedługim czasie po wyjściu z więzienia otrzymali wezwanie na komisję do Wojskowej Komendy Uzupełnień w Kętrzynie. Oznajmili wojskowemu, że chcą pójść do marynarki wojennej. Kiedy w Kętrzynie im odmówiono, pojechali do Warszawy. Zachowało się zdjęcie z tego wyjazdu – stoją w płaszczach z teczkami obok Pałacu Kultury i Nauki. Opowiedzieli szczerze o swojej przygodzie na Bałtyku, o pobycie w więzieniu, o miłości do morza. Jako że chętnych do trzyletniej służby w marynarce nie było zbyt wielu, dostali upragniony przydział. Służyli na Helu w 9 Flotylli Obrony Wybrzeża. Wśród kolegów marynarzy wyróżniali się wiedzą, doświadczeniem.

Po zakończonej służbie pozostali już na Wybrzeżu – zdobyli szlify kapitanów żegluga bałtyckiego, otrzy-

mali pracę bosmanów. Piotrek pływał na warszawskim jachcie „Polonia”, a Mietek na poznańskim „Wielkopolska”. Peerelowska bezpieka nie spuszczała żeglarzy z oka. Nie wolno im było wychodzić razem w morze. Odmawiano im udziału w dalekomorskich rejsach, na przykład do Ameryki Południowej. Choć było wiadomo, że są znakomitymi żeglarzami, świetnie wyszkolonymi, to byli cały czas dyskryminowani. Polski Związek Żeglarski, opanywany przez ubeków, utrudniał im życie, jak mógł. Solą w oku na pewno był też fakt, że Piotr i Mieczysław byli chłopcami głęboko wierzącymi, z czym

się nie kryli, z rodzinnego domu wynieśli też negatywny stosunek do systemu komunistycznego. W domu często rodzice wspominali ukochane Grodno, ziemię grodzieńską zabraną przez Sowieci. Ojciec nie mógł przeżyć, że w peerelowskim dowodzie osobistym komuniści wpisali mu miejsce urodzenia Wielkie Ejsmonty ZSRR. A przecież on nie urodził się w Sowietach, tylko w Polsce.

Chłopcy ciągle marzyli o tym, by popłynąć w daleki rejs, najlepiej dookoła świata. Czekali cierpliwie na odpowiednią porę. Wreszcie pojawiła się ona 23 lipca 1965 r. W wywiadzie dla „Głosu Ameryki” Mieczysław tak później o tym opowiadał: „To była już druga próba, pierwsza skończyła się więzieniem. Wypłynęliśmy na dwóch różnych jachtach. Piotruś płynął legalnie z turystami do Kopenhagi, natomiast ja prowadziłem jacht na regaty w pobliżu Bornholmu. W pewnym momencie udałem chorego, a ponieważ byłem kapitanem i miałem decydujący głos na jachcie, więc zawnąłem do Kopenhagi. Tam pożegnałem się z kolegami, zszedłem z jachtu i razem z oczekującym już bratem udaliśmy się na policję, prosząc o azyl polityczny. Przedstawiliśmy powód naszej ucieczki, pobyt w więzieniu, chęć swobodnego żeglowania, czego w kraju, niestety, nie można było robić. Pierwsza próba pokazała nam, że z kraju, razem we dwójkę, legalnie nie możemy wypłynąć. W Danii dostaliśmy azyl polityczny, pomocy udzielił nam Duński Czerwony Krzyż. Przyplłynęliśmy bowiem do Kopenhagi bez pieniędzy, w dziurawych butach”.

W Kopenhadze bracia otrzymali pracę w fabryce. Pracowali ciężko, po kilkanaście godzin dziennie, żyli bardzo skromnie, a zarobione pieniądze odkładali na zakup łódki. Jesienią 1966 r. kupili kadłub niewielkiego jachtu. Prace wykończeniowe wykonywali sami, ewentualnie pomagali im znajomi szkutnicy. Po pracy w fabryce każdą wolną chwilę spędzali w hangarze przy budowie jachtu.

– W tym czasie – wspomina Wanda Ejsmont-Śmiechowicz – esbecy nachodzili tatę i nękali go opowieściami, że jeden z braci szoruje pokłady duńskie, a drugi siedzi w więzieniu. Dobrze wiedzieli, że mogą tą wiadomością – o ich rozdzieleniu – zalać tatę. Tata nie reagował na ich zaczepki. Dostałam list od Mietka i Piotra. Pisali, że chcą płynąć dookoła świata, że nie chcą uciekać z Polski, a tym bardziej jej zdradzać. Pisali tak, żeby tata nie miał kłopotów.

W maju 1967 r. Piotr i Mieczysław Ejsmontowie wypłynęli na rejs z Kopenhagi do Ameryki. Jacht nazwali „John” na cześć Johna Fitzgeralda Kennedy’ego, zamordowanego prezydenta USA, który według nich uosabiał wolny świat. Bracia cenili go za zabiegi o wolność dla krajów będących, tak jak Polska, pod sowiecką okupacją. Na rufie zawiesili banderę Wolnych Polskich Żeglarzy, będącą ich własnym projektem. Banderą to była białoczerwona flaga z wcięciem, błękitną obwódką i orłem w koronie. Niestety, żeglarze nie mieli szczęścia – na Morzu Północnym, po 10 dniach rejsu uderzył w ich jacht duński statek. Nie zatrzymał się nawet, by udzielić pomocy. Musieli wracać do portu w Kopenhadze. Nie poddali się. Powrócili do fabryki – zaczęła się ponownie harówka, zarabianie pieniędzy na nowy jacht. Dzięki Bogu otrzymali odszkodowanie od izby morskiej za rozbity jacht, z pomocą ruszyła też duńska Polonia.

► Dawali coś, co nie jest łatwo spotkać w życiu

W maju 1968 r. na jachcie „John II” wypłynęli do Ameryki. Po drodze zawijali do portów w Hadze, Cherbourgu, Plymouth, do portów hiszpańskich, portugalskich. Wszędzie byli życzliwie przyjmowani. Ludzie reagowali pozytywnie na widok wesółych żeglarzy bliźniaków. Bracia z dumą prezentowali banderę Wolnych Polskich Żeglarzy. Ludzie chętnie się z nimi fotografowali. W Las Palmas na Wyspach Kanaryjskich spędzili więcej czasu w oczekiwaniu na lepszą pogodę.

Rejs cały czas relacjonowało Radio Wolna Europa. To za pośrednictwem tego medium żeglarz z Łodzi, Jerzy Śmiechowicz, zafascynowany rejsem dwóch polskich śmiałków, dotarł do rodziców braci w Węgorzewie. Otrzymał od bliźniaków życzenia przesłane w eterze: „Bardzo dziękujemy za życzenia pomyślnych wiatrów na Atlantyku i mamy nadzieję, że Bóg i Neptun będą nam łaskawi”. Przy okazji poznał ich córkę Wandę, siostrę żeglarzy. Od kilkudziesięciu lat są małżeństwem, połączyła ich nie tylko miłość, lecz także pasja żeglarska – oboje są sternikami morskimi. Na początku lat 90. wyjechali do Kanady i tam mieszkają.

20 października Mietek i Piotr ruszyli małym jachtem bez silnika na wody Atlantyku. Nie obyło się bez groźnych przygód. Trzy doby walczyli z potwornym sztormem w pobliżu Kuby. Wreszcie w Wigilię świąt

Bożego Narodzenia 1968 r. dotarli szczęśliwie do portu w Miami na Florydzie. Radio Wolna Europa ogłosiło sukces – po półrocznych zmaganiach jacht „John II” pod banderą Wolnych Polskich Żeglarzy przypłynął do wybrzeży USA. „John II” był najmniejszym polskim jachtem, który przepłynął Atlantyk.

W Stanach od razu zaopiekowała się braćmi Polonia. Chłopcy mieli na początku kłopot z chodzeniem w butach, bo w czasie półrocznego rejsu nie mieli ich ani razu na nogach, chodzili boso. Jeździli z konferencji prasowej na konferencję. Zostali zaproszeni na posiedzenie Kongresu, w czasie którego odbyło się spotkanie z astronautami „Apollo 8” i z senatorem Edwardem Kennedym. Węgorzewscy żeglarze wręczyli bratu zamordowanego prezydenta banderę Wolnych Polskich Żeglarzy z jachtu nazwanego imieniem jego brata. W asyście wojskowej złożyli wiązanek białoczerwonych kwiatów na grobie zamordowanego prezydenta Johna Kennedy’ego.

Długo by można było wymieniać wszystkie spotkania, uroczystości. Jak pisał z podziwem o braciach Andrzej Urbańczyk, legendarny żeglarz: „W Stanach przyjęto ich jako herosów, a tamtejsza Polonia obwołała obu braci z prelekcjami, jak osobliwe stworzenia zamorskie”. Ówczesny dyrektor Polsko-Amerykańskiego Komitetu Emigracyjnego, Henryk Wyszyński, był pod wielkim wrażeniem osobowości, niezłomnych charakterów braci Piotra i Mieczysława: „Ejsmontowie reprezentują duży kapitał nadający się do spożytkowania przez młode pokolenie na obczyźnie. Działają bowiem na wyobraźnię. Mogliśmy to widzieć podczas wieczorów, gdy najwięcej było młodzieży. Stawali się bohaterami. Młodzież była w nich rozkochana. Oni dawali coś, co nie jest tak łatwo spotkać w dzisiejszym życiu”.

– W Ameryce Piotr i Mieczysław mieli zamożną ciocię Emilię Markiewicz-Marks mieszkającą w Detroit – opowiada Wanda Ejsmont-Śmiechowicz. Chłopcy szybko ją oczarowali. Ciocia była gotowa wszystko dla nich zrobić – ruszyła też pieniądze z konta na zakup jachtu. Później biedna obwiniała się, że gdyby nie dała im pieniędzy, nie zginęliby.

12 lipca 1969 r. wyruszyli z portu w Nowym Jorku w podróż dookoła świata. Jacht ochrzczili „Polonia”. Znowu powiewała bandera Wolnych Polskich Żeglarzy z orłem w koronie. Oni mieli ciągle Polskę w głowie. Byli bardzo patriotyczni. Mieli płynąć najpierw do Afryki, ale na środku Atlantyku spotkali się z nieprzyjemną falą i skierowali się w stronę Brazylii. Zmienili kierunek – byli wolnymi żeglarzami, wolnymi ludźmi. Sami decydowali o tym, dokąd chcą płynąć. Popłynęli na dół do Buenos Aires. Tam zainteresowała się nimi Polonia. Zaprzyjaźnili się szybko z Wojtkiem Dąbrowskim, synem polskich emigrantów, który należał do klubu morskiego. Wojtek był wyższy, siedem lat młodszy, ale wyglądał

jak brat Mietka i Piotrk – „trzeci bliźniak”. Wszyscy trzech mieli brody, jak prawdziwe wilki morskie. Bracia mieszkali w domu państwa Dąbrowskich. Wojtek był studentem II roku geologii na Uniwersytecie w Buenos Aires, ojciec obiecał mu, że po zdaniu egzaminów będzie mógł popłynąć razem z Piotrkim i Mietkiem część rejsu – do chilijskiego portu. Na nieszczęście zdał egzaminy i popłynął. Chłopcy zakładali, że wejdą do Cieśniny Magellana i opłyną Horn. 4 grudnia, po dwumiesięcznym remoncie „Polonii”, wypłynęli z Buenos Aires w dół do Mare del Plata. W ostatnim liście do rodziców dzielnii żeglarze pisali m.in. „Buenos Aires, 24 listopada 1969 r. Kochani Rodzice, już za tydzień opuszczamy Buenos Aires. Nazwa ta oznacza dobre powietrze. Akurat w Święta Bożego Narodzenia będziemy wśród lodów Południa i na Cup Nordis. Jest to najlepszy czas na takie przejście. Przygotowujemy się do tego bardzo solidnie i poważnie. [...] Tak więc na razie Kochani i do następnego listu. Pa, całujemy Was wszystkich mocno i pozdrawiamy. Mietek i Piotr”. W Buenos Aires byli żegnani przez tłum mieszkańców, żeglarzy. Polscy ojcowie franciszkanie udzieliли trzem naszym żeglarzom Bożego błogosławieństwa na drogę. W porcie Mare del Plata zostali przyjęci owacyjnie. O ich rejsie informowała szeroko argentyńska prasa, telewizja, wiadomości też przekazywały Radio Wolna Europa i Głos Ameryki. Z Puerto Deseado, kolejnego portu, wyszli 18 grudnia. Do następnego portu, do Rio Gallegos, już nie dopłynęli. Został podniesiony alarm. Poszukiwania krążowników argentyńskich, chilijskiego lotnictwa nie przyniosły żadnego efektu.

– Ojciec Wojtki Dąbrowskiej poruszył niebo i ziemię – wspomina Wanda Ejsmont-Smiecchowicz. W poszukiwaniach przez wiele dni brali udział też polscy żeglarze, którzy penetrowali brzegi. Nic nie znaleziono, na nic nie natrafiono. W Polsce o zginieciu jachtu „Polonia” media komunistyczne milczały. Mówiły o tym tylko Radio Wolna Europa, Głos Ameryki, Radio Waszyngton. Słuchaliśmy tego w skupieniu. Mówię, że Mietek i Piotrek zaginęli. Jest mi wtedy łatwiej. Nigdy nie pogodzę się z ich śmiercią, choć wiem, że trzeba się pogodzić. Wydaje mi się, że oni płyną, że ich rejs dalej trwa. Ciężkie to było przeżycie dla rodziców, tym bardziej, że otrzymywali jedynie szczątkowe wiadomości z Radia Wolna Europa. Mama kiedyś powiedziała: „Razem się urodzili i razem zginęli”.

► Znaki pamięci

Bardzo wymowne są wspomnienia Henryka Jaskuły, wybitnego żeglarza, zamieszczone na łamach miesięcznika „Wiatr” o braciach bliźniakach. Jest on pierwszym polskim żeglarzem i trzecim na świecie, który samotnie, bez zawijania do portów opłynął Ziemię. Płynął bez nowoczesnych systemów nawigacyjnych, telefonu. Henryk Jaskuła był starszy od Piotra i Mieczysława o 17 lat. Obecnie ma 93 lata i mieszka w Przemyślu: „Znałem ich obu. Po raz pierwszy zobaczyłem Ejsmontów w jadalni ośrodka LOK w Jastarni latem 1962 roku. Byłem tam na pierwszym kursie żeglarskim na stopień sternika jachtowego. Dla rokującej młodzieży kursy były wtedy bezpłatne, a dla takich jak ja (wiek: 39 lat, zawód: inżynier) – pełnopłatne. Skierowanie na szkolenie miałem z rzeszowskiego LOK. Bracia Ejsmont, podobni do siebie jak dwie krople wody, pojawili się w mundurach »marwoju«, z jedną belką na ramieniu. Wyglądali na bardzo zadowolonych z życia. Już wtedy otoczeni byli legendą. [...] Rok później byłem w Jastarni na takim samym trzytygodniowym kursie – dopiero po nim ośmieliłem się przystąpić do egzaminu. Piotr Ejsmont był wtedy instruktorem w stopniu sternika morskiego. Poznaliśmy się, ale nic razem nie wypiliśmy, gdyż w tamtych czasach dostęp kursanta do instruktora był trudniejszy niż chłopca do szlachcica w XVI wieku. Ku mojemu zdziwieniu Piotruś nie nadużywał tej wyższości klasowej, tak jak czynili to inni instruktorzy.

W 1964 roku, już ze stopniem sternika jachtowego i po pierwszym bałtyckim rejsie na »Syriusie«, dostałem skierowanie z rzeszowskiego LOK na rejs z Jastarni. Czekają tam dwa jachty: »Generał Żaruski« i »Wielkopolska«. Na »Żaruskiego« nikt wtedy nie chciał iść. Każdy wiedział, że na tej jednostce posadzą go na cały rejs do obsługi szota kłiwra i tyle z żeglarstwa. Za stołem w holu ośrodka siedział Piotrek i zapisywał przybyszów. Zrozumiałem, że mam szansę, by otrzymać miejsce na »Wielkopolsce«. Po zakończeniu urzędowania podszedłem do Piotra jak swój do swego i mówię: »Piotrek, zapraszam cię do »Zdrojowej«. Idziemy rozmawiać w kierunku restauracji, chwilę rozmawiamy jak starzy znajomi, a on nagle oznajmia: »Ja nie jestem Piotrek, tylko Mietek, ale to nie ma znaczenia. Z bratem się umówiliśmy, że przy-



Przystań Klubu Morskiego LOK w Węgorzewie. Lata 50. XX wieku

jaciele jednego są przyjaciółmi drugiego». Te słowa mnie ośmieliły...

Po wizycie w «Zdrojowej» zaprzyjaźniłem się z Mietkiem okrutnie, na zabój. Opowiedział mi o planach rejsu dookoła świata, a ponieważ w mojej głowie też swały podobne marzenia, czuliśmy się jak bracia. I wiem, że mógłbym się stać trzecim bratem Ejsmontem, gdyż Mietek gorąco mnie zapraszał na ten ich wymarzony rejs. Stanoło na tym, że na razie popłyniemy razem »Wielkopolską« na Bałtyk.

Mietek w stopniu sternika morskiego był zastępcą kapitana. Mnie powierzono funkcję drugiego oficera. Kapitan dał mi do ręki ponad 4 tysiące złotych na prowiant. Tak to wtedy było: nie robiliśmy zaprowiantowania w ośrodku, tylko dostawało się pieniądze – kilka złotych na głowę na dzień rejsu. A szliśmy do Świnoujścia. [...]

Rejs nie był ciężki, ale jakoś zawsze wszystko było mokre. Dwóch załogantów wysiadło po drodze – jeden mówił, że ma wrzód żołądka, a drugi miał po prostu dość. Natychmiast poczułem ulgę finansową w kasie, więc w Uście mogłem spokojnie zaprosić do restauracji kapitana i Mietka. Prawdopodobnie był to pierwszy przypadek w polskim żeglarskim, kiedy przy jednym stoliku obok kapitana siedział sternik jachtowy. Niebiosa nie waliły się z tego powodu tylko dlatego, że sternik trzymał kasę i płacił. Pamiętam, że Mietek doradził mi wtedy halibuta. Do dzisiaj cenię sobie tę rybę ponad każdą inną. W tym miejscu młodemu czytelnikom warto przypomnieć, jak w narzuconym reżimie sowieckim rozwijało się w Polsce żeglarsstwo, sport elitarny. W gumiakach proletariackich wkraczaliśmy na pokłady jachtów, gdzie szybko narodziło się twierdzenie, że po kapitanie najpierw jest duża przerwa, potem buty kapitana, potem kupa gnoju, a gdzieś na końcu kursant, żeglarz czy sternik jachtowy.

W 1973 roku spotkałem w Buenos Aires ludzi, którzy znali braci Ejsmontów. Znali również rodzinę Wojtka Dąbrowskiego, urodzonego w Anglii, który z nimi wypłynął w ostatni rejs z zamiarem dotarcia do Punta Arenas na zachodzie Cieśniny Magellana. Rodzice Wojtka zaopatrzyli jacht »Polonia« w radiostację. Odradzano mi odwiedzin u rodziny Wojtka. Jego matka była na granicy obłędu, nie wierząc, że jej syn mógł zginąć.

Przed moim rejsem dookoła świata siostra Mietka i Piotra była u mnie w Gdyni na »Darze Przemysła«. Przyniosła małe pudełko z wieńcem i poprosiła, bym wrzucił go do oceanu gdzieś tam, gdzie bliźniacy mogli zginąć. Była wtedy dziesiąta rocznica zaginięcia jachtu »Polonia«. Będąc na południowym Atlantyku, wrzuciłem wieńiec do morza i opuściłem banderę do połowy masztu. Całe popołudnie tego dnia było smutne, pełne wspomnień i zadumy. Tak bardzo było ich żal...



Ostatnie zdjęcie niezłomnych żeglarzy. Obok braci Ejsmontów z lewej Wojtek Dąbrowski, student geologii

Także dziś, po tylu latach, ciągle ich widzę, wciąż ich wspominam i myślę, że byli to najlepsi polscy żeglarze, z rodzaju tych, którym nie chodzi o sławę, ale o radość i szczęście związane z życiem na morzu”.

Już w latach 70. węgorzewscy przyjaciele Mieczysława i Piotra Ejsmontów, żeglarze, m.in. Jerzy Tyszek, komandor Klubu Morskiego LOK, Mieczysław Piskorz, Wenacjusz Sowa, zaczęli organizować regaty poświęcone pamięci braci Ejsmontów. Oficjalnie, dla zmylenia bezpieki, nazwano je Regatami Babięgo Lata. Od 21 lat, zawsze w pierwszą sobotę września, rozgrywany jest na Mamrach Memoriał Braci Ejsmontów. W tym roku, 3 września, startowało 45 załóg, nie zabrakło legendarnych dezet i omeg. Jak co roku na regaty przyjeżdżają też z Kanady Wanda Ejsmont-Śmiechowicz z mężem. Oboje niezłomowanie dbają o pamięć braci, odbyli podróż ich śladami – byli w USA, w Argentynie, w tym roku zaraz po Memoriale popłynęli na Bornholm, by dostarczyć tamtejszemu muzeum nowe pamiątki po niegdysiejszych gościach tej wyspy. Węgorzewska ulica prowadząca do portu nosi imię Braci Ejsmontów.

W 2007 r., z okazji 55. rocznicy Klubu Morskiego LOK w Węgorzewie, po raz pierwszy w Muzeum Kultury Ludowej prezentowano wystawę poświęconą braciom żeglarzom. Wystawa była w sposób oryginalny eksponowana, bo na ogrodzeniu od strony Węgorapy, by mogli ją oglądać przepływający żeglarze. Jedyną instytucją, która wspomogła finansowo organizację wystawy, i to dość znaczną kwotą, była Kancelaria Prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Być może historia niezłomnych braci bliźniaków poruszyła śp. Lecha Kaczyńskiego, brata bliźniaka Jarosława. Wystawa, którą przygotowała kustosz Krystyna Jarosz, gościła w wielu miastach w Polsce. Zawędrowała też do Grodna, gdzie są korzenie rodu Ejsmontów. ■

Radio dla Ciebie

ANNA MATUSIAK

„Kobiety Wieczór”

piątek godz. 20.00

101 FM



*Polecam
Anna
Matusiak*

POLSKIE RADIO



www.rdc.pl/rdcplayer

*...z Polską w sobie,
z jej wrogami naprzeciw siebie,
ale zawsze z Polską tylko...*

Agnieszka Kowalczyk

Narcyza Żmichowska – niezłomna Entuzjastka



Artur Grottger, Pożegnanie powstańca

„Nikt nie potrafił tyle prawdziwie słonecznych promieni nieść z sobą do przyjaciół, co ona. [...] sama obecność jej odmładzała starszych, krzepiła smutnych, ulgę przynosiła chorym; dla młodych zaś była ona prawdziwie cudownym zjawiskiem – objawieniem dobra na ziemi” – taki portret Narcyzy Żmichowskiej (1819–1876), uznanej pisarki, gorącej patriotki i niezależnej kobiety, skreśliła jej wierna uczennica i przyjaciółka Wanda Grabowska, matka Tadeusza Boya-Żeleńskiego.

Narcyza przyszła na świat w Warszawie jako ostatnie z dziesięciorga dzieci Wiktorii z Kiedrzyńskich i Jana Żmichowskiego, ale jak z rozpaczą wspomina, matka zmarła trzy dni po jej urodzeniu. „Nikt się mną zająć nie chciał, ani ojciec, ani babka, tylko stryjostwo wzięli mnie na opiekę i byli najlepszymi rodzicami dla mnie” – pisała w zeznaniach składanych podczas śledztwa w 1849 r. Brak matki zaważył na całym jej życiu. Zrodził poczucie osamotnienia i głębokiej refleksyjności, a także wzmożone pragnienie doświadczania miłości, przyjaźni i akceptacji. Brak macierzyńskiej opieki sprawił, że musiała szybko dorosnąć. Stała się kobietą silną, która potrafiła walczyć o swój los i sama go kształtować. Od najmłodszych lat wzbudzała uwagę i podziw dorosłych. Była bowiem niezwykle wrażliwa, inteligentna i ciekawa świata. Gdy wraz z ciotką Józefową Kiedrzyńską zatrzymały się w Puławach, by zwiedzić Świątynię Sybilli – pierwsze nasze muzeum narodowe, Narcyza z wielkim przejęciem oglądała każdą pamiątkę z przeszłości. Domagała się, by pokazano jej płaszcz Koziatuluskiego podziurawiony od kul w bitwie pod Somosierrą oraz łańcuch królowej Jadwigi – dar dla rektora Akademii Krakowskiej. Wieść o niezwykle młodym dziecku doszła do samej pani na Puławach, księżnej Czartoryskiej, która zapragnęła poznać tę siedmioletnią dziewczynkę „tak dokładnie obznajmioną z przeszłością dziejów ojczystych i tak zadziwiającą niepospolitym rozwinięciem umysłowym”. Toteż zaprosiła rodzinę Kiedrzyńskich do siebie na obiad.

► Być jak Emilia Plater

Uzdolniona i żądna wiedzy Narcyza cztery lata uczyła się na słynnej warszawskiej pensji Zuzanny Wilczyńskiej, a potem trzy i pół roku w Instytucie Guwernantek, najlepszej wówczas polskiej uczelni dla kobiet. W tym czasie wybuchło powstanie listopadowe. Narcyza, wychowana w rodzinie o tradycjach patriotycznych, rwała się do walki. Niegdyś jej ojciec brał udział w insurekcji kościuszkowskiej, a wujowie Kiedrzyńscy służyli w wojsku napoleońskim. Teraz, w 1830 r., z kolei bracia chwycili za broń. Hiacynt bił się pod Ostrołęką. Erazm służył pod dowództwem Dwernickiego, a najmłodszy Jan zaciągnął się do ułanów. Jedenastoletnia Narcyza zapragnęła pójść ich śladem, walczyć o wolną Polskę, być drugą Emilią Plater. Obmyśliła nawet misterny plan, by uciec z pensji i dołączyć do powstańców szeregów: „Powstanie Polski znalazło mi silną, pełną zapалу – pisała w liście do Erazma – [...] chciałam [...] stanąć przy boku któregoś z mych braci, śpiewać zwycięstwa jak nowy Tyrteusz, trudne zlecenia na siebie

przyjmować – i żeby doświadczyć samej siebie, przez dnie żadnego nie przyjmowałam pokarmu, w nocy opuszczałam moje łóżko, żeby na twardej zasnąć podłodze, znosiłam przykre zimno bez skargi i narzekania; a że w ogrodzie była duża lawka z kamienia, niepostrzeżona tam chodziłam mej siły próbować – i trudno by mi było opisać radość moją, gdy widziałam, że się kamień według mej woli, siłą moją porusza!”.

Narcyza była za młoda, by walczyć, jednak powstanie listopadowe stało się dla niej wydarzeniem przełomowym, kształtującym jej duchową biografię i poczucie solidarności z narodem. Bolesnie przeżyła klęskę zrywu niepodległościowego, na zawsze zapadły w jej serce i pamięć śledztwa, prześladowania, zsyłki na Sybir, a zwłaszcza wszechogarniający społeczeństwo marazm.

Punktem zwrotnym w jej życiu okazał się wyjazd do Francji. Otrzymała bowiem posadę domowej nauczycielki u hrabiostwa Zamoyskich udających się do Paryża. Dzięki temu mogła wreszcie spotkać się z ukochanym bratem, Erazmem, który po upadku powstania zmuszony był wieść tułaczny żywot na obczyźnie. Osiedlł w Reims, utrzymując się ze skromnej pensji buchaltera. Nie zrezygnował jednak ze swoich młodzieńczych ideałów, działając w Towarzystwie Demokratycznym Polskim. I to on stał się duchowym przewodnikiem Narcyzy, gdy ta pełna zwątpienia w sens aktywności politycznej i społecznej przyjechała do stolicy Francji. To Erazm odbudował wiarę siostry w sens działania i wyrwał ją ze stanu apatii.

Pobyt za granicą to dla Narcyzy równocześnie intensywny proces samokształcenia. Chłonęła zakazane w kraju książki polskich romantyków, a zwłaszcza Mickiewiczowskie arcydzieła – III część „Dziadów” i „Pana Tadeusza”, w których żyje duch polskości oraz wiara w sens cierpienia i ofiary dla ojczyzny. Rozczytywała się też w pracach Maurycego Mochnackiego, w „Słowach wieszczych” i „Księgach ludu” księdza Huguesa F. Lamennais. Jako jedna z pierwszych kobiet przekroczyła próg paryskiej Bibliothèque Nationale. Ogarnięta pasją poznawczą wnikliwie studiowała tam dzieła największych filozofów – Leibniza, Kanta, Fichtego, Schlegla i Schellinga. Z nieukrywana radością całymi godzinami prowadziła z bratem ekscytujące dyskusje intelektualne na tematy społeczne, polityczne, filozoficzne i literackie.

We wrześniu 1839 r. Narcyza powróciła do ojczyzny, w którą wstępował już nowy duch. Oto na początku lat 40. do głosu dochodziły idee demokratyczne i niepodległościowe, następowało ożywienie w sferze życia umysłowego i kulturalnego.

Na scenie literackiej pojawili się nowi twórcy z pokolenia Żmichowskiej, którzy później zyskali miano warszawskich „cyganów” – Józef Bohdan Dziekoński, Roman Żmorski, Włodzimierz Wolski, Seweryn Filleborn, Aleksander Niewiarowski, Seweryn Zenon Sierpiński. Ci romantyczni zapaleńcy mieli tworzyć poezję przesyoną duchem patriotyzmu, a swoim prowokacyjnym zachowaniem godzić w konsumpcyjny styl życia mieszczaństwa i egocentryzm warstw wyższych.

► „Byłe przed cierpieniem się nie cofnąć, to się Polskę odzyska”

Do odradzającej się duchowo Warszawy przybyła Żmichowska, by rzucić się w wir pracy literackiej, pedagogicznej i konspiracyjnej. Jej prawdziwym debiutem stał się, porównywany z Mickiewiczowską „Odą do młodości”, głośny wiersz „Szczęście poety” – swoisty manifest radości płynącej z twórczej mocy. Wkrótce powstały jej kolejne dzieła – m.in. „Maina i Kościej”, „Fantazja”, „Trzy pieśni gęślarza”, „Przekleństwo”, „Na nagrobku w Bakowej”, a wśród nich najlepsza powieść – „Poganka” (1847). W swej twórczości Narcyza poruszała nurtujący jej epokę konflikt między potrzebą artystycznego spełnienia a nakazem służby narodowi. Tak na przykład w osnutym na mitologii słowiańskiej poemacie „Maina i Kościej” tytułowa bohaterka, urzeczona pieśnią boga śmierci Kościeja, zamiast życia we wspólnocie wybiera życie we śnie, który stanowi symbol jej świata wewnętrznego. Z tego letargu próbują wyrwać ją najbliższe osoby, śpiewając pieśni o urokach świata – o sławie, szczęściu, miłości i radości macierzyństwa. Zupełnie inną zgola pieśń usłyszy od Boguty, która odkryje przed nią powołanie do cierpienia, poświęcenia i ofiary. W tej wizji przedstawiającej ziemię obumarłą i wykrwawioną, zamieszkałą przez zniewolony lud dostrzec można wyraźną aluzję do sytuacji polistopadowej Polski. Gdy wróg zagarnął ziemię ojców, należy opuścić świat poetyckich marzeń i wkroczyć w rzeczywistość historyczną. Tego od Mainy domaga się Boguta. Tak brzmi jej wezwanie do czynu:

*Wstań siostró, wstań! Tutaj rąk braknie,
Tutaj trzeba drew na stopy zbierać,
Z rannych piersi krew ocierać.
Karmić tego, co łaknie,
Poić tego, co spragniony,
Cieszyć tego, co strapiiony,
Nieść wsparcie chętnej ręki
I serca współczucie.*

Słowa te można by uznać za motto patronujące życiu samej Żmichowskiej, która posłuchała pieśni Boguty i poszła za jej nakazem, wierząc, że „historię w najpiękniejszy poemat da się ułożyć. Byle przed cierpieniem się nie cofnąć, to się życie zdobędzie; byle le wszystkiego się wyrzec, to się Polskę odzyska”.

► Narcyza na czele Entuzjastek

Żmichowskiej udało się zgromadzić wokół siebie kobiety, które tak jak ona chciały współtworzyć historię. W kręgu tych polskich Amazonek znalazły się m.in.: Anna Dzwonkowska, Teresa Kossowska z Karskich, Bibianna Moraczewska, Faustyna Morzycka, Sybilla Rzewuska, Anna Skimborowiczowa, Paulina Zbyszewska i Kazimiera Ziemięcka. Podejmując się działalności patriotycznej, prowadziły akcje oświatowe i charytatywne, współpracowały z organizacjami konspiracyjnymi, niosły pomoc więźniom politycznym. Ich duchową przewodniczką i organizatorką ruchu była Narcyza. O swoich towarzyszkach mówiła „entuzjastki”, bo działały z wielkim zapałem i całkowitym oddaniem sprawie. Stanowiły nieformalną grupę niezależnych intelektualistek i niezłomnych patriotek, o których Tadeusz Boy-Żeleński napisał z uznaniem, że „walczyły nie tyle o swoje prawo do szczęścia, ile o prawo do poświęcenia się, do cierpienia”. Narcyza zaś wspominała w liście do Izabeli Zbiegniewskiej, że „wichry, fale, losy spędziły w gromadkę kilkanaście może kobiet [...] rozkochanych [...] w jednym... ideale”. Tym ideałem, jak można się domyślać, była wolna Polska.

Rok 1843 okazał się szczególnie tragiczny dla Polaków. Odkryto wówczas spiszek ks. Ściegiennego. Fala represji wzmożła się gwałtownie. O dramatycznej sytuacji w kraju Narcyza donosiła w liście bratu: „Znowu dziesiątkujące oko policji po kraju spojrzeń cisnęło i co było głów lepszych, serc pocziwszych, to wszystko dziś za murami Cytadeli jęczy albo śpieszną ocalone ucieczką – poza krajem [...] pędzić musi życie”. W tych trudnych dla Polaków chwilach kobiety z kręgu Entuzjastek zobaczyć można było na punktach etapowych, zwłaszcza na placu Saskim lub na pierwszej stacji pocztowej za Warszawą, w Miłosnej. Wśród nich zwykle była Żmichowska. Entuzjastki dodawały otuchy skazańcom, wyprawiały ich na drogę, przynosiły odzież i książki, wspierały finansowo. Podchodziły najczęściej do tych zupełnie opuszczonych. Ale nawet tu, wśród męczenników sprawy narodowej, których czekała katorga na dalekiej Północy, mógł się czaić szpieg. I któregoś dnia na takiego właśnie człowieka trafiła Narcyza. Podawał się za Kicińskiego, mówił, że nie ma tu nikogo zaufanego. Miał być odesłany do Poznania i prosił, by polecieć go czy-

jejs opiece. Żmichowska wskazała mu siostrę księgarza Moraczewskiego. Później dowiedziała się, że „ten człowiek, ze spleśniałymi od wilgoci włosami, z narzędką od głodu twarzą, był to szpieg, który najpierw w Cytadeli na stukanie wywabiał zwierzenia, a potem siedział na placu, żeby się przekonać, kto będzie odwiedzał nieco później przywiezionych i czy nie przyjdą do nich ci znajomi, których się oni w czasie badań wyparli”. Ale nawet takie sytuacje nie zrażały Entuzjastek. Stawały się one, jak określiła to Barbara Zwolińska, „metaforycznym pomostem w ciągłości pokoleń miłujących swobodę bardziej niż własne życie, ogniwem w łańcuchu kolejnych uczestników zrywów niepodległościowych 1831 i 1863”.

Żmichowska była kobietą bardzo odważną, gotową sprostać najtrudniejszym nawet zadaniom podejmowanym w konspiracji. Toteż włączyła się do tzw. spisku rzemieślników zawiązanego w kraju z inicjatywy Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Jako emisariuszka tajnej organizacji patriotycznej wielokrotnie narażała się na niebezpieczeństwo podczas przekraczania pilnie strzeżonych granic. W 1847 r. zmierzała do Krakowa, by poznać panujące tam nastroje polityczne i nawiązać kontakty z przedstawicielami różnych stronnictw emigracyjnych. Z kolei do Wielkiego Księstwa Poznańskiego dotarła, żeby porozumieć się z Karolem Libeltem w sprawie dostawy broni dla spiskowców z Królestwa Polskiego. Z powrotem zaś wiozła ze sobą odezwę nawołującą do zbierania pieniędzy na broń. Każda rewizja, jaka mogła mieć miejsce po drodze, groziła jej poważnymi konsekwencjami. Narcyza nie była jedyną kobietą zaangażowaną w działalność konspiracyjną. Do patriotycznego podziemia należały niektóre z Entuzjastek. Były łączniczkami i kurierkami. Umożliwiały komunikację ze spiskowcami z poszczególnych zaborów, przechowywały dokumenty i broń. Tak na przykład Bibianna Moraczewska zajmowała się kolportażem zakazanych książek i broszur politycznych, Kazimiera Ziemięcka ukrywała emisariusza z Poznańskiego, a Tekla Dobrzyńska przemyciała tajną korespondencję do Francji.

► Ci niech w Łódź Chrystusa nie wstępują

Narcyza Żmichowska została aresztowana 24 października 1849 r. W ręce policji carskiej dostała się bowiem jej korespondencja z Pauliną Zbyszewską zawierająca kompromitujące treści w związku ze spiskiem ks. Ściegiennego oraz współpracą z Karolem Libeltem. Na krótko przed aresztowaniem, w niedzielę, usłyszała w kościele słowa, które wywarły na niej olbrzymie wrażenie: „Kto słaby i kto się lęka, niechaj w Łódź Chrystusa nie wstępuje”. Wtedy postanowi-

wiła sobie w duchu, że od tego dnia będzie lepszą i odważniejszą. W środę z samego rana zastukali do jej drzwi „goście w czerwonych kołnierzach”. Wywieziono ją z Warszawy do więzienia w Lublinie, a jej przesłuchiwaniami zajęła się specjalna komisja śledcza złożona z generała Jolszyna, pułkownika Powalło-Szwejkowskiego i majora Leichtego. W tym czasie aresztowano wielu członków konspiracyjnej organizacji, do której należała pisarka. Poddawany torturom na śledztwie Narcyz Tchórzewski załamał się i zdradził informacje na temat działalności Żmichowskiej w podziemiu. Ujawnił swoje domysły, że szefem organizacji jest Henryk Krajewski, a jego pomocnikiem Romuald Świerżbiński. Ten ostatni, katowany na przesłuchaniach, wyznał, że Żmichowska i Skimborowiczowa były aktywnymi członkiniami konspiracji. Ujętym Krajewski natomiast próbował dwukrotnie popełnić samobójstwo. Ostatecznie zesłano go na Syberię. Przesłuchiwana Paulina Zbyszewska pokajała się przed władzą i wkrótce dzięki swoim wpływom i wysokiej pozycji została wypuszczona na wolność.

► Żmichowska oskarża

Narcyza jako jedyna nie załamała się podczas śledztwa. Nie przyznała się do niczego i nikogo nie wydała. W formie pisemnej skreśliła jedynie bieg swego życia. Przesłuchiwana ponownie w lutym 1851 r., zgodziła się jedynie uzupełnić pisemnie zeznania. Są one świadectwem jej wielkiego heroizmu, gdyż stanowią akt oskarżenia caratu o prowadzenie antypolskiej polityki wyniszczającej naród! Paradoksalnie, właśnie z za więziennych krat wypowiedziała Żmichowska otwarcie całą prawdę o carskiej Rosji. Stała się oko w oko z przedstawicielami władz zaborczych, by jawnie zmanifestować swą postawę sprzeciwu wobec rosyjskiego despotyzmu, by wypowiedzieć się w imieniu więzionych i skazanych na katorgę.

Demaskowała mechanizmy uciemiężania narodu podbitego, tworząc listę rosyjskich zbrodni przeciw polskości. Jednym z grzechów głównych caratu był w jej przekonaniu pobór rekruta, czyli wysyłanie młodych Polaków w głąb Rosji dla odbycia służby wojskowej trwającej 25 lat! „Słyszałam całe wioski i miasta rozbrzmiewające płaczem żon i matek – pisała w oskarżycielskim tonie – patrzyłam jak z wolna rozrywały się i deptały wszystkie związki rodzinne [...]”. Od czasu tych nieszczęśliwych spisów wojskowych więcej najżywniejszej krwi nam z serca narodu wytoczono, niżby w trzech morderczych wojnach wytoczyć zdołano [...]. Widziałam potworne śluby osiemnastoletnich chłopaków ze starymi babami,

a z tych ślubów nikt zażartować i zgorszyć się nawet nie śmiał, [...] bo je zawierają dlatego, aby przed poborem ochronić”. Niekiedy ubodzy rodzice, jak pisała, sami oddawali swe dzieci do carskiej armii, otrzymując za to pieniądze. Proceder ten nazywano „sprzedawaniem dzieci cesarzowi”. Żmichowska oskarżała władze zaborcze o demoralizację polskiej młodzieży w szkołach, gdzie nagradzani są zamiast przymusów donosiciele. Napiętnowała rozwinęty przez zaborcę system szpiegostwa, widząc w nim plagę dotykającą młode pokolenie Polaków. Szpiegostwo zatruwało ich dusze, było rodzajem pokusy, gdyż umożliwiało łatwiejsze i szybsze zdobycie wyższej pozycji społecznej. Pisała o rozpacz polskich matek, których synów czekał albo Sybir, albo biuro tajnej policji, a więc los patriotów-męczenników bądź haniebnych zdrajców.

Narcyza w swoim więziennym manifestie broniąc polskości potraktowała walkę z carską Rosją nie w kategoriach wielkiej polityki czy historii, lecz w kategoriach aksjologicznych – jako starcie dobra ze złem. Jej zeznania stały się wykładnią narodowych uczuć. W twierdzy lubelskiej wykrzyczała w twarz ciemieżcom słowa zakazane, których w zniewolonym Królestwie Polskim nie wolno było głośno wyrażać – słowa „Ojczyzna” i „Narodowość”:

„Och! Gdyby jednak rząd mógł i chciał nas zrozumieć, [...] ci Polacy, buntownicy [...], te duchy niespokojności i rewolucji, ukazałyby mu się duchami żalu i tęsknoty za Ojczyzną, za Narodowością. Ojczyzna, Narodowość – wielkie to i święte słowa – [...] one żyłami przerastają ciała, wrodzonymi skłonnościami i myślami przenikają dusze [...]. Ojczyzna to jest powietrze płucom moim najzdrowsze. Ojczyzna to są głosy i dźwięki najwłaściwsze dla ucha mojego. Ojczyzna to jest zwyczaj [...], pamiętka, nadzieja, to jest natura człowieka”.

Narcyza spędziła w więzieniu ponad dwa lata. Potem czekał ją jeszcze trzyletni przymusowy pobyt w Lublinie pod nadzorem carskiej policji. „Dwa lata i cztery miesiące – pisała o swoich przeżyciach – spędziłam sam na sam [...] z Polską w sobie, z jej wrogami naprzeciw siebie, ale zawsze z Polską tylko, z Polską dokoła: w miłości koncentrycznie, w nienawiści ekscentrycznie, a tu i tam z nią. Wysłałam na świat. [...]”. W więzieniu czułam Polskę przez uciskających; tutaj dokoła przez nikogo uczuć jej nie mogę. Tam jej nienawidzili czynnie [...], tutaj wcale o niej nie myślą”.

► U Narcyzy na „Miodogórze”

Narcyza znów przeżywała to samo rozgoryczenie, co niegdyś przed laty, po powstaniu listopado-

wym. Z przerażeniem obserwowała martwość, w jakiej pograżyło się polskie społeczeństwo po stłumieniu Wiosny Ludów w Europie i wykryciu polskich organizacji spiskowych. Ten trudny czas po 1850 r. porównała do siedmiu lat egipskiego głodu, gdy „cała gleba owej wewnętrznej rodzinnej historii” pokryła się popiołem i gdy zostało tylko „chude bydło i same puste kłosa”. Znekana psychicznie i wycieńczona fizycznie, okazała hart ducha i niewzruszony charakter. Nie załamała się. Powróciła do Warszawy, by włączyć się w wir pracy twórczej i pedagogicznej. Swą przystań odnalazła na pensji Julii Bąkowskiej, gdzie z pasją oddawała się wypełnianiu misji nauczycielskiej. Miała świadomość, że tylko swobodny dostęp do edukacji otworzyć może kobiecie drogę do samodzielności i niezależności. Domagała się, aby do programu nauczania dla panien wprowadzić przyrodę i nauki ścisłe, aby dla kobiet otworzyć szkoły zawodowe na wzór Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego. Sama pisała podręczniki z myślą o uczących się dziewczętach, tworzyła autorskie programy nauczania, a jej cykle wykładów i pogadań pedagogicznych cieszyły się ogromnym zainteresowaniem kandydatek do zawodu nauczycielskiego.

W małym pokoiku Narcyzy, zwanym „Miodogórzem”, zbierały się elity intelektualne stolicy, godzinami rozprawiano o polityce i literaturze. Przychodzili tu jej dawni przyjaciele i znajomi sprzed aresztowania – Anna i Hipolit Skimborowiczowie, Henryk Krajewski z żoną, Gustaw Ehrenberg, Karol Ruprecht. Odwiedzali ją dawni Sybiry i Kaukaszczycy, którzy właśnie powrócili z zesłania, oraz młodzi inteligenci, a wśród nich prawnicy, architekci, lekarze, artyści, literaci. Bywali tu Edward Jurgens, Wanda Grabowska, Henryk Wohl, Rafał Krajewski, Wojciech Gerson, Ignacy Baranowski i Julia Bąkowska. Żmichowska uważała, że nie nadszedł jeszcze czas na podjęcie walki narodowowyzwoleńczej. Pragnęła najpierw wykształcenia młodego pokolenia Polaków, które zrozumiałoby najboleśniejsze problemy swojej ojczyzny i potrzebę pracy dla kraju. Ale oto zbliżała się trzydziesta rocznica wybuchu powstania listopadowego, Polacy pragnęli dać upust swoim patriotycznym uczuciom i pragnieniu wolności. Tłumy wychodziły na ulicę. W grudniu 1860 r. podczas jednej z manifestacji patriotycznych Żmichowska usłyszała głos odradzającego się narodu: „Jeszcze Polska nie zginęła!”. W 1864 r. natomiast boleśnie przeżyła upadek powstania styczniowego, falę represji, które po nim nastąpiły, a w szczególności dramat ostatnich powstańców. Towarzyszyła bowiem w drodze na śmierć trzem skazańcom – Romualdowi Trau-

guttowi, Janowi Jeziorańskiemu i Rafałowi Krajewskiemu. W noc poprzedzającą egzekucję (5 sierpnia 1864 r.) czuwała wraz z nimi w celi X Pawilonu, by potem odprowadzić ich do stóp szubienicy. Przeżyła też głęboko śmierć przyjaciela Edwarda Jurgensa, który po półrocznym uwięzieniu skonał w warszawskiej Cytadeli.

► „Ludziom służyła, prawdy szukała, miłością żyła”

Wszystkie te traumatyczne doświadczenia skłoniły ją do opuszczenia Warszawy i rozpoczęcia tułaczego życia rezydentki w majątkach swych siostr i krewnych. Trawiona jednak tęsknotą za przyjaciółmi i pragnąca na nowo oddać się pracy literackiej i działalności społecznej, powróciła do stolicy, w której przyszło jej spędzić ostatnie lata życia. Nie tracąc cennego czasu, przygotowała do druku ostatnie tomy jubileuszowego wydania „Pism” Klementyny z Tańskich Hoffmanowej i opracowała antologię poezji polskiej XIX wieku. Swe ostatnie dzieło literackie „Czy to powieść?” pisała doświadczona już ciężką chorobą. Nie była jednak w stanie utrzymać pióra w rękę, więc pomagały jej siostrzenice i dawne wychowanki. Narcyza dyktowała im pierwsze rozdziały powieści, które ukazywały się następnie na łamach „Wieku”. „Ciotka – jak wspominała Stefania Paprocka – mówiła wolno, ale nader płynnie, i zatrzymywała się tylko, gdy bóle rąk stawały się silniejsze. Wtedy rozpaczliwym ruchem załamywała ręce i zarzucała je na głowę, jednakże ani jeden jęk, ani jedna skarga nie wychodziły z jej ust. Gdy atak minął, wracała do dalszego dyktowania”. W takich to cierpieniach rozdziła się wysoko oceniana przez krytyków ostatnia powieść, której nie dane było Narcyzie ukończyć. Zmarła 24 grudnia 1876 r. Odchodziła szczęśliwa, może najszczęśliwsza w swym życiu, kochana, otoczona życzliwymi ludźmi. Doktor Ignacy Baranowski, świadek ostatnich jej chwil, pisał: „W [przedzień] Wigilii [...] podała przyjacielską dłoń 60 osobom zbliżającym się do niej ze czcią, i obdzieliła każdego słowem podnoszącym. Byli tam i przedstawiciele młodzieży, i ci, co już ciężkie koleje życia przeszli, i ufający, i wątpiący, była [...] reprezentowana cała Polska”. Na pomniku zaś tej niezłomnej Entuzjastki wyryto słowa, które najlepiej chyba mówią, jaka była za życia:

*Ludziom służyła. Prawdy szukała.
Miłością żyła.
Umarła modłać się za szczęście braci.
Niech jej wspomnienie będzie
przyszłości zapomogą.*



Piotr Lisiewicz

Czy Polska i Ukraina mogą być sojusznikami? Czy i w jakich warunkach możliwe jest przezwyciężenie działań rosyjskiej agentury w tej kwestii? Czy można było uniknąć wołyńskiego ludobójstwa? Jakie jest głębsze, sięgające tysiąclecia podłoże polsko-ukraińskich waśni? Na te pytania próbował odpowiedzieć w artykule z 1952 r. jeden z najwybitniejszych specjalistów od polityki wschodniej w XX w. Włodzimierz Bączkowski. Szczególnie ważne wydają się dziś te fragmenty artykułu, w których Bączkowski opisuje, jak rosyjska i po części niemiecka agentura działały na rzecz skłócenia Polski i Ukrainy w latach 1918–1939. Moskwa uruchomiła w tej kwestii cały swój arsenał, od zbrodni i prowokacji po podburzanie skrajnych nacjonalizmów. Dziś również ów repertuar jest w użyciu. Bardzo aktualna lektura.

Włodzimierz Bączkowski

Sprawa ukraińska

W naszej przedwojennej pracy publicystycznej łączyliśmy ideały mocarstwowej Polski z romantycznym hasłem wolności ludów.

Symbol trójjedynej, unowocześniony na wzór szwajcarski lub brytyjsko-dominialny, obejmujący Polskę, Ukrainę, Białoruś i Litwę, wydawał się najwłaściwszym ratunkiem przed naporem dwóch młyńskich kamieni – niemieckiego i rosyjskiego – nieustannie grożących zgnieleniem małej etnograficznej Polski.

Wierzyliśmy, iż w warunkach rosnącej potęgi sąsiadów, przy rusofilizmie Francji i oddaleniu Anglosasów, tylko wielki „szaleńczy” w swym rozmachu aktywizm polityczny mógłby uchronić państwo przed pochłonięciem przez sąsiadów. Narastający, jak się nam wówczas zdawało, konflikt światowy, nadawał naszym tezom proukraińskim piętno aktualności i praktyczności.

► „Nie mamy czasu na zdobycze polonizacyjne”

Jeszcze w atmosferze urzędowego optymizmu i wiary we własną potęgę, w połowie 1936 r. pisaliśmy: „Fakt gorączkowego zbrojenia się całego świata, wspólnie z faktem istnienia szeregu spornych kwestii... zwiastują zbliżanie się konfliktu zbrojnego, w którym Polska... nie będzie mogła nie wziąć udziału... Nie mamy czasu na zdobycze

polonizacyjne. Minimalne sukcesy w tym kierunku, jakie mogą nam rokować krótkie lata niepewnego pokoju, nie zmieniają na Kresach układu sił na naszą korzyść, zmobilizują zaś element rusko-ukraiński przeciwko nam... Polityka pojednawcza jest jedyną polityką, jaką dyktują nam dzieje jagiellońskie, aktualne przesłanki naszej idei mocarstwowej, oraz perspektywy najbliższych przemian na horyzoncie politycznym. Albo staniemy się wielkim mocarstwem w środkowo-wschodniej Europie... albo podminowani od wewnątrz i niezdolni do zwycięskiego reprezentowania odwiecznej polskiej »wolności dżumy« – rozpoczniemy ponownie wiek XVIII w Polsce”.

Polityka pojednania zakładała uznanie Ukraińców jako narodu odrębnego. Dyskusje prowadzone przez szereg lat na ten temat nie dawały pełnych wyników. Toteż chwytałyśmy się taktycznej formułki, mającej zbliżyć rozbieżne opinie. Pisaliśmy, iż: „Na pytanie, czy naród ukraiń-

ski istnieje, odpowiadamy: gdyby nie istniał naród, lecz ukraińska masa etnograficzna, to należałoby jej pomóc w osiągnięciu świadomości narodowej. Dlaczego i po co? Po to, by na Wschodzie nie mieć do czynienia z 90 mln Wielkorusów i 40 mln »Małorusów«...»

Na wiążący się z tym problem niepowodzenia wyprawy kijowskiej odpowiadaliśmy, iż z jednej strony wpłynęła tu geografia Ukrainy i jej gospodarcze znaczenie, zmuszające Moskwę do najwyższego wysiłku reokupacji tych terenów, z drugiej strony fatalna polityka i wpływ Polaków, głównie właścicieli ziemskich na Ukrainie. Tłumaczyliśmy, iż: „Wielka własność polska na Ukrainie prawobrzeżnej stanowiła około 30–40% całej prywatnej własności ziemi. Ta własność widziała rację Polski na Wschodzie w restytucji za wszelką cenę polskiego stanu posiadania. Armii polskiej i jej reprezentantom w owym czasie, gdy warunkiem zwycięstwa polskiego była »polityka wolności«, narzucano nieustannie i w opinii masy ukraińskiej przyklejano żółtą łatę kondotierów właścicieli majątków ziemskich”. [...]

Sumując nasze wywody stwierdzaliśmy: „Świat na propaganda rosyjsko-bolszewicka wykorzystywała refleksje chłopu ukraińskiego i rzucała je na wspaniały plakat o »awanturniczej wyprawie potomka magnatów J. Piłsudskiego na Ukrainę dla przywrócenia władzy panów«. [...]

► Morderstwa i propaganda przeciw prometeizmowi

Na samym początku obóz piłsudczyków był dla nas tym piecem, od którego nauczyliśmy się stawiać pierwsze kroki. Wśród piłsudczyków było kilku doskonałych znawców zagadnień narodowościowych i wschodnich i z ich inicjatywy powstały po 1926 roku trzy instytuty, zajmujące się badaniami narodowościowymi Polski i Europy Wschodniej. [...]

Nie tylko w kołach obozu piłsudczyków i wśród specjalistów zgrupowanych wokół tych instytucji znajdowaliśmy przyjaciół lub bardzo rozumnych krytyków. Mieliśmy ich i po drugiej stronie barykady ideologicznej, wśród młodych przedstawicieli narodowej demokracji. K.S. Frycz z „Myśli Narodowej” oraz W. Wasiutyński zdradzali duże zrozumienie dla naszego podejścia do sprawy ukraińskiej i wschodniej. [...] Właściwie bardzo niekierne grono spośród wybitniejszych publicystów i działaczy polskich odnosiło się do nas całkowicie negatywnie. Do zupełnie głuchych na nasze idee zawsze należał Jędrzej Giertych [...]

Opinie nasze powoli zdobywały młodszą inteligencję, a zwłaszcza jej elitę intelektualną, lecz coraz niechętniej traktował nas aparat państwowy, inspirowany głównie przez żywoży kresowe – przede wszystkim z Ziemi Czerwieńskiej. Fatalne zmiany na stanowiskach państwowych przyspieszały ten proces. [...] z Wołynia wyszczuto H. Józewskiego, tolerowano jedynie dyspozycyjnych wojewodów, nadsluchujących pilnie nastrojów miejscowych polskich nacionalistów i pilnujących telefonu z Warszawy. [...]

Przerazając kurczyły się wpływy obrońców naszej pracy. „Bunt Młodych” potem „Polityka” stają się jednym z najczęściej konfiskowanych periodyków. Trawił ich paraliż woli, pacyfizm polityczny, anemiczna uczciwość. Gwałtowna śmierć od samego początku zabierała najlepszych.

W 1931 roku sowiecka agentura w organizacji nacionalistów ukraińskich wykonała wyrok na Tadeuszu Hołowce. W niejasnych okolicznościach, w pełni zdrowia, w grudniu 1935 roku, zmarł Leon Wasilewski. [...] Wkrótce po próbach zbliżenia z Ukraińcami zamordowany został minister spraw wewnętrznych, Bolesław Pieracki [...]

► Litwini pod Grunwaldem

W gmachu państwa polskiego, poczynając od XIV, XV stulecia, zagadnienie Litwy, Rusi i Ukrainy było zawsze zwornikiem głównego najwyższego sklepienia. Jedna jego ściana wyrastała z podglebia polityki ruskiej Kazimierza Wielkiego i szła w górę, ku szczytom unii horodelskiej i lubelskiej. Druga ściana, od początku XVI wieku schodziła powoli w dół i w linii nieomal prostopadłej spadała gwałtownie od Chmielnickiego i pierwszej próby podziału Polski za potopu szwedzkiego.

Zwycięska walka z niemczyzną opierała się o to sklepienie. Grunwald, który w swych skutkach stabilizował od połowy XV stulecia na trzy i pół wieki naszą granicę zachodnią i stwarzał mocny punkt oparcia dla naszego państwa na Zachodzie, tylko w części był dziełem Polaków. Walkę z niebezpieczeństwem Zakonu podjęło nie jedynie małe i odosobnione państwo polskie, lecz połączone państwa, Polska i Litwa. Pod nazwą Litwy krył się w tym czasie czynnik o wielkich możliwościach potencjalnych. Imperium Jagielly i Witolda obejmowało olbrzymie terytoria i leżało w najważniejszym strategicznie obszarze Europy Wschodniej. Połączenie wysiłków polsko-litewskich dało nam nie tylko niezbędną dla zwycięstwa jazdę litewską, tatarską i twardych smoleńszczan, lecz może przede

wszystkim najnowocześniejszą w owym czasie azjatycką szkołę sztuki wojennej. [...]

► „Cud nad Wisłą” był przygotowany pod Kijowem

Skutki wyprawy [kijowskiej z 1920 r. – przyp. P.L.] zadecydowały o przeszłości państwa. Wypad aż pod Kijów zdeorganizował bazę sowiecką i skurczył sowieckie możliwości ataku na Polskę. Historyk wyprawy, generał T. Kutrzeba, precyzuje, iż: „Wojska polskie, zaangażowane na czas pewien na ukraińskim terenie operacyjnym, potrafiły na czas, w odpowiedniej sile i w dużej wartości stanąć do rozprawy rozstrzygającej się nad Wisłą. A zwycięskie dotąd na Ukrainie i Wołyniu armie sowieckie? Czy one wzięły i nie mogły wziąć udziału w tej bitwie? Nie wzięły i nie mogły wziąć udziału we właściwym czasie”. [...]

„Cud nad Wisłą” był przygotowany pod Kijowem. [...] Plany federacyjne nie powiodły się, lecz niepodległość została utrwalona z nadstatkiem – przyczółkiem Ziemi Wschodnich. W granicach państwa znalazło się około 4 mln Ukraińców i ponad milion Białorusinów. [...]

Celem i zadaniem inspiracji sowieckiej było więc skierowanie jego [ukraińskich dążeń narodowych – przyp. P.L.] ostrza przeciwko Polsce i zniweczenie tym samym zarówno możliwości współpracy polsko-ukraińskiej, jak i uniemożliwienie przeniknięcia jego działalności na własny teren. [...]

► Skrajni nacjonaści i agentura

Nawet przy tego rodzaju układzie stosunków skrajni nacjonaści mogli przegrać kampanię i zaniechać metod terroru, gdyby nie pomogła im bezradność polskiej polityki narodowościowej. Warszawa bardzo rzadko próbowała reagować na nielegalne akcje ukraińskie w sposób pozytywny i rozumny. [...]

Przeważnie jednak walczone metodami represji, stwarzając błędne koło bez wyjścia. Najjaskrawszym przykładem takiego zamkniętego koła była pacyfikacja 1930 roku, gdy w odpowiedzi na masowe przeciwpolskie wystąpienia sabotażowe w trzech województwach południowo-wschodnich – rząd odpowiedział represjami, używając do tego celu oddziałów wojskowych. Stosowano zasady zbiorowej odpowiedzialności, niszczone dobytek chłopski i instytucji ukraińskich, bito masowo mężczyzn. Pacyfikacja zahamowała wystąpienia przeciwpolskie, lecz potencjał wrogości do państwa u ludności ukraińskiej wzrósł wybitnie, moż-

liwości konstruktywnej ugody zredukowały się w tym czasie praktycznie do zera, nadzieje na wspólne akcje przeciwkomunistyczne załamały się w dużym stopniu, petlurowcy skryli się pod ziemię lub potajemnie wyrażali współczucie pod adresem nacjonalistów.

Propaganda sowiecka i niemiecka rozwinęły niebywałą aktywność. Odwoływała się do opinii światowej za pośrednictwem bardzo silnych i emocjonalnych chwytów, wyzyskując w tym celu ukraińskie organizacje, rozrzucone po całym świecie. „Prowod ukraińskich nacjonalistów” wydał grubą książkę w czarnej okładce pt. „Na wiczu hańbu Polssczy, twerdyni warwarstwa u Ewropi” (Praga, 1931). Zawierała setki fotografii pobitych chłopów, poniszczonego dobytku, reprodukcje świadectw lekarskich, adresy itd. Jej skrócona wersja ukazała się w języku francuskim „La plus sombre Pologne” (publie par le Comite des organisations ukrainiennes des Etats-Unis et du Canada, Lausanne, 1931), angielskim „Polish Atrocities in Ukraine” (New York, 1931), nieco później w niemieckim i... hiszpańskim. [...]

► Dlaczego Ukraina nie poszła z Zachodem

W stosunkach polsko-ukraińskich zastanawia pewna powtarzalność tych samych sytuacji. Nie sposób wytłumaczyć tego zjawiska zewnętrznymi przyczynami, takimi jak błędy administracji czy agitacje grup partyjnych. Wyczuwa się działanie czynników głębszych, silniejszych od naszych politycznych intencji – złych czy dobrych. Co to jest i jak to podglebie wykryć i zbadać? [...]

Sytuację na Ukrainie pogarszało sąsiedztwo z Moskwą, w której cywilizacja wschodnio-chrześcijańska uległa zwyrodnieniu wskutek bardzo płytkiego rozlania się na olbrzymich przestrzeniach, zamieszkałych przez ludy eurazyjskie, posiadające własne kultury i żyjące w zasięgu sąsiednich cywilizacji azjatyckich. [...]

Ukraina znalazła się w ten sposób między oba ogniami: rosyjsko-eurazyjskim i polsko-zachodnim. Napór od strony Zachodu łączył się z niwelującym rozkładem, płynącym od Północy i Wschodu.

Unia polsko-litewska w pierwszym okresie stwarzała w swych granicach możliwości uchronienia południowo-ruskiej gałęzi wschodniego chrześcijaństwa. Liberalna polityka Kazimierza Wielkiego wobec prawosławia i zasady polityczne Horodla były doskonałym punktem wyjścia. [...]

Gdyby w tym czasie Zachód sunął na Wschód w formie międzynarodowego katolicyzmu, Ukraina byłaby dziś czysto zachodnim i możliwe kato-

lickim krajem. Łącząca się jednak z wpływami Zachodu polityczna i kulturalna polonizacja wywoływała walkę o zachowanie własnych form tradycyjnych, zasłaniając podstawową prawdę życia duchowego Ukrainy, iż uzachodnienie stanowi najwyższą konieczność. Tylko na tej drodze mogła Ukraina uniknąć degradacji cywilizacyjnej i nie zamienić się w etniczny nawóz rosyjskiej Eurazji. [...]

Wróćmy na chwilę do sprawy cywilizacyjnej roli Polski na Wschodzie. Skłonni jesteśmy przyznać się do faktu, iż nie spełniliśmy należycie funkcji reprezentantów Zachodu w świecie wschodnio-chrześcijańskim. Ekspansja religijno-cywilizacyjna prowadzona przez nas w większym stopniu jednoczyła przeciwko nam świat wschodniosłowiański niżeli go pozyskiwała. [...]

Nie sposób tego wytłumaczyć błędami politycznymi, anarchią szlachty, nadużyciami władzy. Odpowiedzi musimy szukać w głębokich pokładach upadku polskiej myśli politycznej – w kryzysie cywilizacji. Analizując pod tym względem nasze dzieje ujrzymy, iż Polska wskutek bliskiego współżycia ze Wschodem i relatywnej słabości swej cywilizacji zachodniej – w poważnym stopniu uległa rozkładowym wpływom społeczeństw wschodnio-słowiańskich. [...]

► Upadek Polski to upadek Ukrainy

Rozpatrywaliśmy dotychczas sprawę polsko-ukraińską z perspektywy wydarzeń zachodzących wewnątrz granic Polski przedrozbiorowej i odrodzonej. Spójrzmy jednak na nie i od strony problemów polsko-ukraińsko-rosyjskich, rzutowanych na tło sytuacji światowej. W tej nowej płaszczyźnie, pomimo fatalnego doświadczenia, mimo krzywd i wzajemnych zbrodni, zabłyśnie nam światło szczerzej nadziei. Oto ujrzymy niezrozumiałą w pierwszej chwili ograniczoną tendencję do wzajemnego wspierania się, dyktowaną przez ukryty zmysł historyczny i instynkt samozachowawczy.

Te właśnie czynniki podyktowały J. Piłsudskiemu i jego otoczeniu, iż po dziesiątkach lat walki za czasów austriackich i po wojnie polsko-ukraińskiej 1918–19 roku – doszło do umowy polsko-ukraińskiej i wyprawy kijowskiej. O mały włos nie osiągnięto wówczas zasadniczego celu odbudowy niepodległej Ukrainy, przekreślającej na zawsze fatalny kompleks nierówności partnerów. [...]

Instynkt samozachowawczy, zmuszający do podświadomego spoglądania ku sobie w momentach kryzysów, ujawnił się tuż przed wybuchem wojny 1939 roku. W dniu zawarcia paktu sowiecko-niemieckiego z 23 sierpnia 1939 roku piszący te słowa

był w jednej z uczęszczanych przez Ukraińców kawiarni we Lwowie i na własne oczy widział pierwszą niekłamana reakcję poważnych ukraińskich polityków. [...] Nie mieli najmniejszych złudzeń, iż Ziemia Czerwieńska, Wołyń itd. przypadły w tym podziale Sowieciom. Uczuciowo i instynktownie stanęli po stronie państwa polskiego. Znalazło to wyraz w konkretnych decyzjach. Ukraińskie organizacje sportowe, za zgodą najpoważniejszych stronnictw politycznych, zwróciły się do rządu polskiego z propozycją stworzenia rodzaju milicji ukraińskiej, uzbrojonej w broń zimną dla zwalczania ewentualnych odrodów antypolskich [...] Wypadki potoczyły się jednak szybko i do porozumienia nie doszło [...]

I jeśli tak było po pacyfikacji, po wielu błędach i nieporozumieniach, po wybuchu wojny na Zachodzie, to łatwo sobie wyobrazić jak potężnie ujawniłby się instynkt wzajemnego wspierania się, gdyby wojna wybuchła na granicy sowieckiej i była wielką rozprawą Zachodu i Wschodu. [...] Cały potencjał ukraiński w Polsce stanąłby do wojny po stronie Polski i Zachodu.

Tak oto dwoma torami rozwijały się nasze stosunki. Z jednej strony otwarta i głośna walka polsko-ukraińska, z drugiej strony współpraca w podglebiu, zmierzająca ku przyszłym rozstrzygnięciom historycznym. I jeśli ten drugi czynnik skurczył się zbiegiem czasu – wina w tym leży przede wszystkim w rozwoju sytuacji międzynarodowej. Od 1923 roku polityka mocarstw coraz wyraźniej zmierzała do zbliżenia z Sowietami, wstępującymi do Ligi Narodów. Polska polityka prometejska nabrała cech donkiszoterii, prowadząc państwo do izolacji politycznej w świecie. Pierwszy wrzesień 1939 r. zadał tej polityce decydujący cios. Wojna wybuchła na Zachodzie i Niemcy wystąpiły do działań jako sojusznik Moskwy, o której względy nie przestał zabiegać obóz antyniemiecki.

Reszta wydarzeń potoczyła się znanym torem. Niemcy nie przejęły w spadku polityki wolnościowej po Polsce. Nie mogli go odziedziczyć alianci – z początku potencjalni, a po 1941 r. aktywni sojusznicy Moskwy. Razem z Polską upadła WIELKA IDEA WOLNOŚCI I JEJ UPADEK STAŁ SIĘ WIELKIM SUKCESEM Moskwy. Historia wykaże, że była to zarazem największa, w latach 1939–45, klęska polityczna Ukraińców i innych narodów uciśnionych Rosji. ■

Przedruk za: Włodzimierz Bączkowski, „O wschodnich problemach Polski”, Wrocław 2005. Pierwotny druk: „Kultura”, 7/1952, Paryż.

Śródtytuły pochodzą od redakcji „Nowego Państwa”.

Pokonywanie granic, pokonywanie siebie



Małgorzata Matuszak


Wielu z nich
mówi, że to
nie medale są
najważniejsze,
choć oczywiście
z myślą
o nich jadą na
igrzyska. Dla
paraolimpijczy-
ków sport to
jednak rów-
nież zdrowie,
przełamywanie
kolejnych
barier i wła-
snych słabości.

W dniach 7–18 września odbyły się w Rio de Janeiro XV Letnie Igrzyska Paraolimpijskie. Wzięło w nich udział ponad 4300 sportowców ze 175 krajów, w tym 90 Polaków. Nasza paraolimpijska ekipa może zaliczyć te igrzyska do udanych – polscy reprezentanci zdobyli łącznie 39 medali: 9 złotych, 18 srebrnych i 12 brązowych, co dało Polsce 10. miejsce w ogólnej klasyfikacji medalowej. Choć zdobyliśmy o pięć złotych medali mniej niż w Londynie, to w sumie osiągnęliśmy o trzy medale więcej. Medalowe apetyty były jeszcze większe, ale osiągnięty wynik z pewnością zasługuje na szacunek, tym bardziej, że udało się polskiemu sportowcom pobić rekordy z 2008 i 2012 r. Paraolimpijczycy powracający z Rio zostali tłumnie przywitani na lotnisku. Ale sport osób niepełnosprawnych to na co dzień sport bez pieniędzy i fanów, który nie jest traktowany poważnie. Nie tak, jak na to zasługuje.

► Po co paraolimpiada?

Sens rozgrywania zawodów sportowych osób niepełnosprawnych był i jest podawany w wątpliwość wielokrotnie. W komentarzach do relacji z tegorocznych igrzysk można było często przeczytać tego typu komentarze: „Paraolimpiady – to jest chore. Zrozumiały jest sport rekreacyjny dla niepełnosprawnych, ale paraolimpiada to patologia. Co ma ten niepełnosprawny udowodniać?”, „paraolimpiady to nie jest najlepszy pomysł”, „powinni zrezygnować z tych paraolimpiad... po co tak męczyć kalekich ludzi...”. Były jeszcze ostrzejsze: „Kto mi wytłumaczy sens tej paraolimpiady. Najsprawniejsi wśród niesprawnych?”, „Co to za zawody? Startują o różnym stopniu niepełnosprawności, wygrywa najmniej upośledzony”, „Sukces [niepełnosprawnego sportowca] jest w tym, że wyszedł z domu i się rusza, a nie załamał, to nie ma nic wspólnego z prawdziwym sportem”, „Zawsze byliśmy dobrzy w dziadostwie”, „Nikogo to nie obchodzi. Korwin miał rację”.

Ten ostatni komentarz to nawiązanie do słów, które cztery lata temu, przy okazji paraigrzysk w Londynie, wypowiedział Janusz Korwin-Mikke. Stwierdził wtedy, że paraolimpiada nie ma za wiele wspólnego ze sportem lub „równie dobrze można by organizować zawody w szachy dla debili lub tur-

nieje brydżowe dla ludzi z zespołem Downa". Uznał też, że paraolimpiada jest promocją inwalidztwa, inwalidów zaś nie powinno się pokazywać, bo ludzie zdrowi nie są w stanie w żaden sposób skorzystać na oglądaniu niepełnosprawnych. Dołączają się do tego jeszcze kwestie estetyczne. Można przytoczyć w tym miejscu „anegdotę”, którą „Rzeczpospolitej” opowiedział kilka lat temu Robert Szaj, ówczesny wiceprezes Komitetu Paraolimpijskiego: „Kiedyś podczas jednego ze spotkań z przedstawicielami TVP dotyczącego w ogóle pokazywania niepełnosprawnych w telewizji, usłyszałem prywatnie takie zdanie: »Wiesz, niepełnosprawni są mało estetyczni, trudno ich ciekawie pokazać«. W tym roku, przy okazji paraigrzysk w Rio, już coś w tej kwestii na szczęście się zmieniło.

ciał zaś mu obie nogi, powiedział kiedyś w wywiadzie: „Stałem się osobą niepełnosprawną. Była to wielka tragedia, ale i szczęście Boże, że nie straciłem również rąk, dostając drugą szansę”. Dziś jest m.in. trzykrotnym wicemistrzem paraolimpijskim. Podobnie Rafał Wilk. Kiedyś był żużlowcem, jednak podczas jednego z meczów ligowych w 2006 r. uległ wypadkowi, w wyniku którego stracił władzę w nogach. Po zdobyciu w Londynie drugiego złota w handbike’u powiedział dziennikarzom: „Nie traktuję wypadku jako kary, która mnie spotkała. To dla mnie raczej dar od Boga. Jeden etap w moim życiu się zakończył, inny się rozpoczął. Gdyby nie wypadek, nigdy by mnie nie było w Londynie”. W Rio był chorążym naszej reprezentacji i dorzucił do swej bogatej kolekcji

SPORT OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH TO NA CO DZIEN SPORT BEZ PIENIĘDZY I FANÓW, KTÓRY NIE JEST TRAKTOWANY POWAŻNIE. NIE TAK, JAK NA TO ZASŁUGUJE.

Tak więc jednym trudno na paraolimpijczyków patrzeć, ale drudzy ich podziwiają. I tych „drugich” zdaje się być dużo więcej. Trzeba bowiem przyznać, że pod artykułami relacjonującymi wydarzenia z paraolimpiady w Rio przeżywały jednak komentarze, w których dominował podziw i szacunek dla niepełnosprawnych sportowców, dla ich siły, odwagi, mocy, życiowego uporu i determinacji w dążeniu do wyznaczonego celu, gratulacje dla nich i życzenia dalszych sukcesów. Również ubolewanie nad tym, że tak mało się o nich pisze i mówi oraz, iż tak rzadko zawody z ich udziałem są pokazywane w telewizji.

► Oni wiedzą, po co...

Wiele osób mówi, że to nie medale są na parolimpiadzie najważniejsze. Choć oczywiście z myślą o nich na nią jadą. Sport to dla nich jednak również zdrowie, przełamywanie kolejnych barier i własnych słabości. To często sens ich życia. Tak właśnie napisał Robert Jachimowicz po zdobyciu w Rio srebra w rzucie dyskiem: „Ten medal daje mi siłę. Widzę sens życia”. Janusz Rokicki, który jako 18-latek został napadnięty i porzucony na torach, przejeżdżający pociąg ob-

kolejne dwa medale, złoty i srebrny. Wszystko to dzięki temu, że – jak sam mówi – „upada, wstaje i idzie dalej”.

Oni traktują to, co robią, bardzo poważnie. By osiągnąć poziom, jaki prezentują, trenowali codziennie, często dwa, trzy razy w ciągu dnia. Tylko oni tak naprawdę wiedzą, ile osiągnięte przez nich rezultaty kosztowały ich wyrzeczeń, sił, treningu, ile... zdrowia. Wszyscy jednak zgodnie mówią, że było warto. I zachęcają inne osoby niepełnosprawne, by również podjęły walkę, przede wszystkim o samych siebie. Anna Harkowska, dwukrotna wicemistrzyni paraolimpijska z Rio, w Londynie srebrna trzykrotnie, zapelowała: „Mam takie przesłanie do wszystkich osób, które albo się urodziły niepełnosprawne, albo też nimi zostały, tak jak w moim przypadku. Nie poddawajcie się, realizujcie swoje marzenia w jakiegokolwiek dziedzinie. Nie musi to być sport”. Ona sama w młodości uprawiała maraton, triathlon i kolarstwo. Po wypadku z 2002 r., kiedy została potrącona przez samochód, jej noga nie odzyskała pełnej sprawności. Wróciła jednak do sportu i zaczęła trenować kolarstwo. Jest także wielokrotną medalistką mistrzostw Polski w rywalizacji z zawodnikami pełnosprawnymi.

► Na przykładzie pływania

Dużą trudność w rozumieniu sportu paraolimpijskiego stanowi niewiedza na temat klasyfikacji sportowców ze względu na ich niepełnosprawność. Jest ona skomplikowana, pozwala jednak podważyć argumenty tych osób, które mówią, że paraolimpiada nie ma sensu, bo nie sposób obiektywnie ocenić osób dotkniętych różnym stopniem niepełnosprawności. Pływacy na przykład podzieleni są na klasy startowe, których nazwa składa się z dwóch elementów: kodu literowego S, SB lub SM, określającego styl pływacki, którego klasa dotyczy, i liczby od 1 do 14, mówiącej o rodzaju i stopniu niepełnosprawności. Liczby od 1 do 10 wskazują na niepełnosprawność narządu ruchu (im większa liczba, tym mniejsza niepełnosprawność), od 11 do 13 – na niepełnosprawność narządu wzroku (tutaj też większa liczba towarzyszy mniejszemu stopniowi niepełnosprawności) liczba 14 zaś – na niepełnosprawność intelektualną.

Dopiero biorąc pod uwagę tę klasyfikację można zacząć porównywać wyniki. Także z tymi, które osiągają zawodnicy pełnosprawni. Obecnym rekordzistą na 100 metrów w stylu dowolnym wśród sportowców niepełnosprawnych jest Brazylijczyk Andre Brasil, startujący w klasie S10. Ustanowił go w 2010 r., pokonując dystans w czasie 50,87 s. Dla porównania rekord Polski wśród pływaków pełnosprawnych należy od 2009 r. do Konrada Czerniaka i wynosi 48,22 s. Wśród kobiet rekordzistką Polski jest Katarzyna Wilk, która w 2016 r. popłynęła z czasem 54,38 s. Rekord pływaczki niepełnosprawnej na tym dystansie należy do Oxany Savchenko (S12), która ustanowiła go podczas paraolimpiady w Londynie czasem 58,41 s. W klasie S10 rekord ten wynosi 59,17 s i został ustanowiony w ubiegłym roku przez Aurelie Rivard. Niewidomi i niedowidzący zawodnicy nie pływają dużo wolniej od widzących kolegów. Najlepszy rezultat należy obecnie do niedowidzącego Ihara Boki (S13) z Bułgarii i wynosi 50,85 s. Natomiast najszybszą osobą całkowicie niewidomą jest Amerykanin Snyder Bradley (S11), którego rekord, ustanowiony w Rio, wynosi 56,15 s. W grupie zawodników z największymi uszkodzeniami organizmu (grupa S1) najlepszy czas na tym dystansie wynosi 2:32,70, w grupie S4 rekord ten wynosi 1:22,43. Różnice pomiędzy rezultatami osiąganymi przez niepełnosprawnych sportowców z różnych grup są zatem bardzo duże. I taki jest właśnie sens gry.

Weźmy jednak pod uwagę jeszcze jeden fakt, który przeczy kolejnej tezie, że sport niepełnosprawnych nie ma tak naprawdę nic ze sportem wspólnego. Jako pierwszy na świecie dystans 100 metrów w czasie krótszym niż 1 minuta przeplął w 1922 r. Johnny Weissmuller. Zawodnikowi niepełnosprawnemu udało się osiągnąć ten wynik dopiero po prawie 60 latach. Dzisiaj barierę tę udało się pokonać pływakom z grup od 13 do 8, w siódmej brakuje do tego tylko 0,34 s. To pokazuje, jak bardzo sport niepełnosprawnych na świecie się rozwija i ulega profesjonalizacji. Kto, jeśli choć trochę zaznajomi się ze sportem osób niepełnosprawnych, może z całym przekonaniem powiedzieć, że paraolimpiada jako współzawodnictwo nie ma sensu?

► Chcą normalności

Paraolimpijczycy pragną zaś jednego: chcą być traktowani normalnie. Niestety, jak sami mówią, zauważyć u nas można tendencję taką, by osoby niepełnosprawne traktować albo z politowaniem, jako biedne i nieszczęśliwe, potrzebujące pomocy, albo jako superbohaterów, jeśli coś im się uda w życiu osiągnąć. Ale tutaj ważne jest wypośrodkowanie. Natalia Partyka, nasza złota multimedalistka paraolimpijska w tenisie, zapytana, jak traktować paraolimpijczyków, odpowiada: „Z jednej strony nie użalajmy się, ale z drugiej – nie róbmy z zawodników aż takich superbohaterów. Oczywiście, każdy wiele przeszedł, pokonał wiele przeszkód, ale my nie jesteśmy jakimiś nadludźmi, jak to w mediach jest często pokazywane. Mamy sportowca, który ostro trenował i zapracował sobie na to, żeby pojechać na igrzyska, więc traktujmy go przede wszystkim jako sportowca właśnie. Niepełnosprawność niech będzie na drugim planie, a nie odwrotnie. Nie piszmy wyłącznie przez pryzmat niepełnosprawności”. Maciej Lepiato, mistrz paraolimpijski z Londynu w skoku wzwyż, w Rio de Janeiro zdobywca złotego medalu i rekordu świata, na pytanie, jak pisać o niepełnosprawnych sportowcach, mówi wprost: „Myślę, że trzeba przede wszystkim pisać normalnie, tak jak jest. Nie koloryzować pewnych spraw, nie robić z nas nadludzi. Jest sukces, piszmy o tym sukcesie. Ale nie popadajmy też w skrajności w drugą stronę. Myślę, że normalność i zdrowy rozsądek są w tym przypadku najlepsze”. Przede wszystkim jednak pisać i mówić, pokazywać. Nie tylko przy okazji odbywającej się paraolimpiady. Oni na to zasługują. ■



Konrad Wysocki

Kompleksowy rozwój polskiej zbrojeniówki

Czołgi, transportery opancerzone, armatohaubice, broń ręczna, innowacyjne rozwiązania w sferze łączności i nawigacji wojskowej oraz w cyberprzestrzeni – polski przemysł zbrojeniowy wreszcie stawia na nowoczesność i stabilny rozwój. To dzięki Polskiej Grupie Zbrojeniowej S.A. system bezpieczeństwa narodowego RP z każdym dniem staje się coraz silniejszy i powoli dościga światową czołówkę.

Dobrze funkcjonująca obronność jest jednym z fundamentów sprawnego i bezpiecznego państwa. W sferze tej niezbędne są doświadczenie i ogromna wiedza oraz racjonalizm i umiejętność współpracy na polu naukowym i badawczym. Polska Grupa Zbrojeniowa S.A., założona w listopadzie 2013 r., łączy w sobie wszystkie wymienione cechy. Dzięki nim PGZ S.A. można z powodzeniem uznać za jeden z największych i najbardziej liczących się koncernów zbrojeniowych w Europie Środkowej. 64 spółki, wchodzące w skład PGZ, są w stanie w kompleksowy sposób wyposażać wszystkie rodzaje sił zbrojnych RP w zaawansowany technologicznie sprzęt wojskowy. Warto również podkreślić, że Polska Grupa Zbrojeniowa S.A. nie działa wyłącznie na polskim rynku. Oferuje również swoje rozwiązania na płaszczyźnie całej Europy, zgodnie z powiedzeniem, że innowacyjność zawsze ma charakter globalny. Polska coraz częściej postrzegana jest na arenie międzynarodowej jako kraj zdolny do wytworzenia sprzętu najwyższej jakości. Projekty realizowane przez PGZ S.A. są także idealną platformą do komunikacji i wymiany doświadczeń z przedstawicielami państw wchodzących w skład ścisłej czołówki pod względem zbrojeń i obronności, np. ze Stanami Zjednoczonymi. Jeszcze kilka lat temu nie do pomyślenia był scenariusz, w którym potentaci zbrojeniowi czerpaliby garściami z polskich rozwiązań w tej sferze. Dziś jest to jak najbardziej możliwe, właśnie dzięki spółkom tworzącym największy i najbardziej prestiżowy koncern zbrojeniowy w tej części Europy oraz pracy ponad 17,5 tys. zrzeszonych w nim pracowników, którzy każdego dnia udowadniają, że sformułowanie „polski przemysł obronny” to nie tylko dobry slogan.

► **Nowy czołg dla wojsk pancernych**

Ogółem przyszłość wojsk pancernych to jeden z kluczowych tematów w sferze obronności RP. W grudniu ubiegłego roku w Radomiu (nazywanym stolicą polskiej zbrojeniówki) między PGZ S.A., Inspektorem Uzbrojenia a Zakładami Mechanicznymi Bumar „Łabędy” podpisano umowę na unowocześnienie 128 czołgów Leopard 2A4 (otrzymanych od Bundeswehry w 2002 r.) do wersji 2PL. Oznacza to m.in. zwiększenie odporności balistycznej i wymianę stabilizacji armaty oraz powiększenie możliwości ogniowych jednostki. Kontrakt, wart blisko 2,3 mld złotych, ma być zrealizowany do 2020 r.

Mówiąc o wojskach pancernych, nie sposób nie wspomnieć o kołowych transporterach opancerzonych „Rosomak”, jednym z najbardziej rozpoznawalnych produktów Spółki Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. O możliwościach tego transportera wielokrotnie przekonali się pol-

scy żołnierze biorący udział w misjach zagranicznych – w Czadzie, a zwłaszcza w Afganistanie. W czerwcu tego roku wchodząca w skład PGZ S.A. spółka Rosomak S.A. z Siemianowic Śląskich zrealizowała pierwszy kontrakt eksportowy dla fińskiego partnera, firmy Patria. Po tym pierwszym kroku pora na kolejne. Spółka prowadzi rozmowy handlowe z kilkoma państwami z Europy i poza naszym kontynentem. Najważniejszym odbiorcą Rosomaków pozostają Siły Zbrojne RP, dla których przygotowano kolejne warianty specjalne pojazdów – KTO R1, KTO R2 i Wóz Rozpoznania Technicznego, które wzbudziły duże zainteresowanie podczas tegorocznego Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach. Dwa pierwsze wozy dysponują zautomatyzowanym systemem rozpoznania pola walki i przeznaczone są do wykonywania zadań przez pododdziały rozpoznawcze, a trzeci prezentowany pojazd – po zakończeniu z powodzeniem badań – jest gotowy do przekazania w ręce naszych żołnierzy jeszcze w tym roku.



► **„Krab” najlepsze haubice na świecie**

Kolejnym sztandarowym produktem, którym może poszczycić się Polska Grupa Zbrojeniowa S.A., jest armatohaubica AHS „Krab” kal. 155 mm, zdolna precyzyjnie razić cele na 40 kilometrów, uznawana za jeden z najlepszych tego typu systemów broni na świecie. PGZ S.A. zrobiła bardzo wiele, by przyspieszyć pełne wdrożenie „Krabów” do polskiej armii. Już w 2014 r., czyli zaledwie kilka miesięcy po sformowaniu Polskiej Grupy Zbrojeniowej, przystąpiono do unowocześnienia armatohaubic, podpisując umowę z południowokoreańską spółką Hanwha Techwin na dostawę 24 podwozi i technologii dla „Krabów”. Wiosną tego roku nowa wersja popularnych AHS-ów przeszła wszelkie badania, wymagane przez wojsko, po których Huta Stalowa Wola (HSW) rozpoczęła dostawę dywizjonu armatohaubic (24 sztuki) dla polskiej armii. Już w kwietniu tego roku dwa „Krab” trafiły do pułku artylerzystów z Węgorzewa.



Czołg PT-16 przed MSPD 2016, fot. PGZ

► Jeszcze mocniejsi w powietrzu

Liderem branży lotniczej w Polsce są Wojskowe Zakłady Lotnicze Nr 2 S.A. z siedzibą w Bydgoszczy. Należąca do PGZ S.A. spółka zajmuje się m.in. obsługą i remontami takich samolotów wojskowych, jak Su-22, MiG-29 czy flagowego produktu sił powietrznych RP – myśliwców F-16. WZŁ Nr 2 są także liderem na płaszczyźnie projektowania i budowania części lotniczych oraz tworzenia bezzałogowych systemów statków powietrznych (dronów). Wojskowe Zakłady Lotnicze Nr 2 posiadają również bogate doświadczenie w remontach i obsłudze bojowych samolotów myśliwsko-bombowych oraz myśliwskich o znacznym stopniu skomplikowania.

W kontekście WZŁ Nr 2 bardzo często pojawia się pytanie o jeszcze większe wykorzystanie ich potencjału. Przy okazji obchodzonej w tym roku 10. rocznicy wdrożenia do Sił Zbrojnych RP myśliwców F-16, eksperci przekonywali o realnych możliwościach przeobrażenia Wojskowych Zakładów Lotniczych Nr 2 w najważniejsze centrum remontowe myśliwców F-16 w Europie. Co prawda w amerykańskich siłach powietrznych (USAF) oraz niektórych krajach Europy powoli odchodzi się od tego typu myśliwców, jednak część państw (w tym właśnie Polska) wciąż korzysta z popularnych „efów”. Przewidywany czas ich eksploatacji w siłach powietrznych RP oscyluje wokół 2030 r. Jest jednak spora grupa krajów, takich jak np. Chorwacja czy Rumunia, która dopiero wkracza w popularne „szesnastki”. WZŁ Nr 2, wykorzystując swój potencjał, mogłyby wybić się do roli potentata w zapewnieniu odpowiedniego wsparcia technicznego dla myśliwców F-16 z całej Europy. Ogromne doświadczenie inżynierów, pracujących w bydgoskich zakładach, w połączeniu z profesjonalizmem i wysoką kulturą techniczną każą śmiało sądzić,

że polski lider branży lotniczej już niedługo stanie się liderem rangi europejskiej.

► Nowoczesność w łączności wojskowej

Nawet najlepsze czołgi, transportery opancerzone, myśliwce czy okręty nie spełniłyby w stu procentach swoich misji, gdyby nie nadzór ogromnej grupy logistyków wojskowych, wykorzystujących systemy nawigacji i łączności. Wojskowi specjaliści często wykonują tytaniczną pracę, choć czasami nie jest ona tak bardzo zauważalna, jak np. działania bojowe. Trzeba jednak pamiętać, że bez odpowiedniego zaplecza logistycznego nie udałoby się przeprowadzić żadnych ćwiczeń i manewrów, współpraca jednostek sprzętu i żołnierzy by się nie udała, a zadania, nakreślone przez dowódców, nie byłyby zrealizowane. Na straży realizacji tychże założeń stoją m.in. przedstawiciele Wojskowych Zakładów Łączności Nr 2 S.A. z Czernicy: kluczowy dostawca systemów łączności wraz z akcesoriami i urządzeniami towarzyszącymi na potrzeby Sił Zbrojnych RP. WZŁ Nr 2 posiadają wszystkie niezbędne certyfikacje i uprawnienia do działania na krajowym i zagranicznym rynku obronnym oraz cywilnym. Zakłady specjalizują się w projektowaniu, modernizacji oraz serwisowaniu wojskowych węzłów radiokomunikacyjnych oraz teleinformatycznych, wozów dowodzenia, aparatów łączności i urządzeń rozgłoszeniowych. Zakłady z Czernicy są również jedynym w kraju autoryzowanym i zaaprobowanym zakładem serwisowym i szkoleniowym w zakresie systemów radiowych amerykańskiego giganta telekomunikacyjnego Harris Corporation. Spod skrzydeł WZŁ Nr 2 wyszedł m.in. Mobilny Moduł Stanowiska Dowodzenia (MMSD), przeznaczony do zabezpieczenia miejsc pracy dowódczo-sztabowej w warunkach polowych. Ponadto

Wojskowe Zakłady Łączności Nr 2 S.A. dostarczają innym spółkom, zrzeszonym w Polskiej Grupie Zbrojeniowej S.A., specjalistyczne urządzenia elektroniczne, zasilacze pokładowe, tablice rozdziału zasilania czy zespoły prądotwórcze o napięciu znamionowym 230V, sprawne działające w temperaturze od -30°C do nawet +40°C.

► „Łucznik” strzeże zbrojników

Przedstawiając potencjał polskiego przemysłu obronno pod skrzydłami PGZ S.A., nie sposób zapomnieć również o radomskiej Fabryce Broni „Łucznik” – jednym z tych przedsiębiorstw, które najbardziej kojarzy się z polską obronnością. To właśnie z mazowieckiej fabryki pochodzi broń, przeznaczona dla polskiej armii oraz funkcjonariuszy służb mundurowych, podległych Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Administracji. Obecnie flagowym produktem radomskiego „Łucznika” jest rodzina karabinków Beryl (szturmowy Beryl wz. 96 kal. 5,56x45, subkarabinek Mini-Beryl kal. 5,56x45 oraz karabinek Beryl M762 kal. 7,62x39, przeznaczony na eksport). W ostatnich latach Beryle zakupiły m.in. siły zbrojne Nigerii. Z kolei w maju tego roku Fabryka Broni i Inspektorat Uzbrojenia MON podpisały umowę na dostawę 17 621 sztuk 5,56 mm karabinków szturmowych wz. 96 Beryl oraz 8400 sztuk 5,56 mm karabinków wz. 96 Mini-Beryl dla polskich żołnierzy. Umowa z Inspektorem jest największym, pod względem wartości, kontraktem Fabryki od 2000 r., który opiewa na kwotę ponad 156 mln złotych.

Należy też wspomnieć o produkowanej w „Łuczniku” rodzinie karabinków MSBS-5,56. Karabinek ten jest indywidualną bronią samoczynno-samopowtarzalną. Zasada działania oparta jest na wykorzystaniu energii gazów prochowych odprowadzanych przez boczny otwór lufy, wykorzystuje krótki ruch tłoka gazowego. Broń wyposażona jest w regulator gazowy o dwóch nastawach, umożliwiając regulowanie ilości gazów prochowych, które po odprowadzeniu zasilają jej automatykę.

Konstrukcja broni jest oparta na idei modułowości, dzięki której możliwe jest budowanie broni w wersji kolbowej oraz w wersji bezkolbowej (tzw. bull-pup), umożliwiającej w sumie wykonanie 10 różnych wersji bojowych karabinków Modułowego Systemu Broni Strzeleckiej oraz 11. wersji służącej celom reprezentacyjnym. Do karabinków zostało opracowane również specjalne wyposażenie w postaci 40 mm granatnika podwieszanego oraz noża-bagnetu. Karabinki charakteryzują się dużą ergonomią, są w pełni dostosowane do używania przez strzelców prawo i leworęcznych, umożliwiają użytkownikowi dowolną konfigurację broni w zależności od posiadanych przez niego cech fizycznych oraz specyfiki pola walki. Użytkownik uzyskuje dzięki temu możliwość dosto-



Wóz Dowódczo-Rozpoznawczy - Rosomak R1, fot. PGZ

sowania ergonomii karabinka do bieżących wymagań wynikających z posiadanego wyposażenia osobistego w kamizelki ochronne i charakteru wykonywanego zadania.

23 marca 2016 r. została podpisana umowa na dostawę 150 egz. karabinków MSBS-5,56 (w odmianie MSBS-R) dla jednostek reprezentacyjnych Wojska Polskiego. 3 maja 2016 r. podczas uroczystości 225-lecia podpisania konstytucji majowej w Warszawie karabinki te zostały po raz pierwszy użyte przez żołnierzy Kompanii Reprezentacyjnej WP.

► Współpraca gwarantem sukcesu

Choć w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. wchodzi aż 64 spółki, reprezentujące różne gałęzie przemysłu obronnego, dla każdej z nich podstawowym celem jest zapewnienie pełnej funkcjonalności sił zbrojnych RP na najwyższym poziomie. Tylko efektywna współpraca na tej płaszczyźnie pozwoli zachować stabilne fundamenty bezpieczeństwa Polski. Coś, co jeszcze kilka lat temu nie było tak oczywiste, dziś, dzięki wysiłkom Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A. oraz tworzących ją podmiotach, pozwala z optymizmem patrzeć w przyszłość. Już teraz Polska postrzegana jest jako równy partner dla światowych mocarstw w dyskusji nad wdrażaniem i użytkowaniem nowoczesnych i innowacyjnych technologii w siłach zbrojnych. Potwierdzeniem tej tezy są m.in. wysokie oceny na arenie międzynarodowej dwóch strategicznych tegorocznych wydarzeń, których Polska była gospodarzem: lipcowego szczytu NATO w Warszawie oraz zakończonego 9 września br. Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego w Kielcach, które skupiło przedstawicieli wszystkich krajów, zajmujących kluczowe miejsca na zbrojeniowej mapie świata. ■

Artykuł przygotowany przez redakcję „NP” we współpracy z Polską Grupą Zbrojeniową S.A.

리 당 따라서 영원히 한길을 가리라

Niestosowne porównanie

Krzysztof Karnkowski



**Nie ma na świecie
drugiego takiego kraju.
Skrajna nędza, kult
przywódców, pełna
kontrola i organizacja
czasu czynią Koreę
Północną wyjętą wręcz
z wizji Orwella.**



fot. PAP/Newscom

Użytkownikom wszelkich platform służących do dyskusji dobrze znane jest tzw. prawo Godwina, głoszące, iż „wraz z trwaniem dyskusji w Internecie prawdopodobieństwo użycia porównania, w którym występuje nazizm bądź Hitler, dąży do 1”. W praktyce często idzie za tym przekonanie, że osoba, która użyła owego porównania, jest automatycznie stroną przegraną w dyskusji. Rzeczywistość politycznej debaty i poziomu pogardy wobec przeciwników każe zwyryfikować ten osąd, w niektórych przypadkach bowiem partyjna propaganda, powtarzana przez wynajętych trolli i bezinteresownych hejterów, od wypracowanego przez Niemców w latach 30. wzorca różni się głównie kwestiami technicznymi. W rozmowach o polityce bieżącej oponenta próbuje się częściej zmieszać z błotem porównywaniem go do współczesnych, autorytarnych przywódców, takich jak Władimir Putin czy Aleksander Łukaszenko. Zwłaszcza ci dopatrujący się w dzisiejszej władzy ciągów dyktatorskich lubią pisać o „drugiej Białorusi” czy „Putinowskich” rysach rządów bądź charakterze Jarosława Kaczyńskiego. Wobec rządów Platformy Obywatelskiej porównania te pojawiały się równie często, w dużej mierze zresztą ich uczestnicy sami na to sumiennie zapracowali. Niektórym jednak nie starczą satrapowie z bliskiej zagranicy. Aby ostatecznie namalować grozę rządów nielubianej partii lub służalczość i zaangażowanie mediów w jej działania propagandowe, pozostaje jeszcze jeden, największy straszak.

► Jak u Kima?

Korea Północna. Na tyle egzotyczna, by nikt nie zastanawiał się, czy porównanie jest uprawnione, i na tyle, by nie było jeszcze ograne i na nikim nierobiące wrażenia. Nie doczekała się jeszcze swojego prawa Godwina. Tymczasem warto włączyć się trochę w realia tego kraju, a następnie zrozumieć, że pisząc, iż rzekomo coś wygląda u nas „jak w Korei Północnej”, posuwamy się o krok za daleko. Nawet jeśli przytaczamy tak jaskrawe przykłady naruszania standardów obiektywnego dziennikarstwa, jak w telewizji publicznej w ostatnich miesiącach rządów Platformy Obywatelskiej. Minimalnym poziomem wiedzy na temat Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej dysponuje prawie każdy, inaczej porównanie to nie byłoby tak nośne. Dla chcących wiedzieć więcej dostępnych jest sporo filmów pokazujących dość często przez telewizję i książki wydawanych również przez polskie wydawnictwa. Są wreszcie, prezentujące jednak mocno

wyglądzony obraz, materiały wideo udostępniane przez podróżników, szukających przygód na koncesjonowanych wycieczkach. Temat jest niewątpliwie intrygujący i opisany dość obszernie, choć na pewno w sposób niepełny – często zwyczajnie nie wiemy, co dzieje się w Phenianie, nie mówiąc już nawet o północnokoreańskiej prowincji. Przypomnijmy sobie, jaki informacyjny szum panował kilka lat temu wokół egzekucji jednego z głównych tamtejszych rozgrywających, wuja Kim Dzong Una, Jang Song Thaeka. Portale gubiły się w domysłach, zwłaszcza na temat przyczyn egzekucji, lecz nawet jej sposób i dokładna data nie były do końca pewne. Sprawa rozgrzewała zaś opinię publiczną całego świata – rzucenie na pożarcie stada wygłodzonych psów drugiej osoby w państwie rozpała wyobraźnię, nie tylko tych szczególnie goniących za sensacją. I tu dochodzimy do pierwszej wątpliwości natury etycznej. Usunięcie z partii, zawieszenie członkostwa, pozbawienie stanowiska – to przykrości spotykające polityków, których drogi rozchodzą się u nas z macierzystymi partiami. Nieprzekazywalne, czasem niesprawiedliwe, ale czy porównywalne?

Ostatnio ukazały się u nas dwie pozycje, w których zderzają się dwie Koree Północne: ta, której nie chcą, i ta, którą chcą pokazać nam funkcjonariusze miejscowego reżimu. „Światu nie mamy czego zazdrościć” Barbary Demick to świadectwo osób, które miały tyle odwagi i szczęścia, by uciec na Południe. Christian Eisert w „Tygodniu w Korei Północnej” opisuje oficjalną wycieczkę, odbyta pod częściowo fałszywą tożsamością (Eisert i jego towarzyszy, ubiegając się o zgodę na przyjazd do KRLD, musieli zataić fakt, iż są dziennikarzami) i czujnym okiem sympatycznych przewodników, uważnie słuchających wszystkich rozmów pary gości i śledzących ich każdy krok. Obraz oficjalny łuszczy się na każdym kroku: uderza sztuczność inscenizacji pokazów „zwykłego życia”, odwiedzanego supermarket ma jedno piętro zapchane przypadkowymi towarami na użytek turystów, często wyłączany jest prąd, a zdjęcia można robić tylko w miejscach wskazanych przez przewodnika. Ten zatroszczyć się nawet o ustawienie się z aparatem pod odpowiednim („najlepszym”) kątem. Trzymany pod kłosem turysta zauważył brak ruchu drogowego i ogólną pustkę przestrzeni miejskiej, urozmaicaną jedynie hasłami propagandowymi. Przybyśz z Europy Wschodniej będzie wiedział, że jeżdżące po ulicach stolicy tramwaje spowodowały z niedysiejszych demoludów, by tu dożywały swoich dni, rozpozna bowiem wagony produkcji czeskiej kupione w dawnym NRD. Wagony 13N,

skopiowane z tego modelu przez polskich projektantów, z ulic Warszawy zniknęły ostatecznie raptem trzy lata temu. W Korei Północnej turysta poczuje kult jednostki podczas obowiązkowego przeganiania po miejscach mocno nadętej pamięci i wymuszono oddawania hołdu wszechobecnym portretom wielkich wodzów. Wreszcie ujrzy... wszechobecną ciemność.

► Witajcie w czwartym kręgu piekła

Widzowie w Polsce mieli ostatnio okazję zobaczyć film dokumentalny „Pod opieką Wiecznego Słońca” w reżyserii Witalija Manskiego. Obraz ów powstał w wyniku podstępu. Reżyser, który zdobył zaufanie Koreańczyków, nakręcić miał dokument zgodny z oficjalnym wizerunkiem kraju. Na jego potrzeby wykreowano całkowicie sztuczny świat – rodzinę, co do której nie jesteśmy pewni, że jest prawdziwą rodziną, rozmawiającą ze sobą dialogami napisanymi przez pilnujących całości bezpieczeństwa, z rodzicami, którym w trakcie prac zupełnie bez skrupowania zmieniono legendę, kierując ich na nowe stanowiska w nowych miejscach pracy, i córeczkę, zdolną i niezbyt szczęśliwą dziewczynkę, która jest w przeddzień przyjęcia do Socjalistycznej Ligi Młodzieży Kim Il Sunga (Kim Ir Sena). Przypomina się czwarty krąg piekła z „Epitafium dla Włodzimierza Wysockiego” Jacka Kaczmarskiego: „To moja droga z piekła do piekła./Miasto, a w mieście przy bloku blok./Wciągam powietrze i chwiejny z lekka/Już w czwarty krąg kieruję krok!/Do cyrku! Do cyrku! Do kina!/Telewizor włączyć – bajka się zaczyna!/Mama w sklepie, tata w domu./Syn z pepesy tnie aż gra!/Na pionierskiej chuście marzeń/Gwiazdę ma!”. Program dla dzieci telewizja centralna nadaje codziennie o 17:30 czasu lokalnego. Składają się na niego „Aktywności Kochanego Wodza Kim Dzong Ila, filmy dokumentalne, magazyny...”, o czym dowiemy się z zakładki na stronie ambasady KRLD w Warszawie zawierającej ramowy program TV. Po bloku dla najmłodszych, coś dla rodziców – „Dziennik telewizyjny, pogoda, Myśli Towarzysza Kim Dzong Ila; Aktywności Kochanego Wodza Kim Dzong Ila, magazyn sportowy, filmy fabularne”. Fraza „propaganda jak w Korei Północnej” prawie zawsze będzie więc mocno na wyrost.

Wspominałem o ciemności. Pilnujący słusznej wymowy filmu Manskiego dbali o odpowiedni ton, słowa i zdania wypowiediane przez obserwowaną rodzinę, czy to w pracy, czy w domu. „Kimchi jest bardzo zdrowe. Zapobiega rakowi i starzeniu się” – córeczka chwali przy stole tradycyjną koreańską potrawę opartą na kiszzonej kapuście pekińskiej

i recytuje, ile należy jej spożyć dla uzyskania codziennej porcji witamin. Tata zachwyci się jej oczytaniem i mądrością. Scena powtarzać się będzie aż do osiągnięcia zadowalającego ukrytych w pokoju funkcjonariuszy efektu. Po skończeniu zdjęć, stół pełen tradycyjnych koreańskich potraw zostanie wyniesiony z pokoju. Mieszkanie, rzekomo należące do rodziny, będzie jej w widoczny sposób kompletnie obce, podobnie jak zakłady pracy. Najnormalniejsza, na pozór, szkoła szybko okaże się auditorium rozciągniętych na prawie cały dzień dwóch minut nienawiści, z Japończykami w roli potworów (przy czym, tak samo jak w przypadku Niemców w propagandzie PRL, obsadzeni są w tej roli całkowicie zasłużenie) i bohaterskim Kim Ir Senem jako tym, który odwrócił losy wojen i zbudował kraj. W szkole, co uderza autora filmu, dzieci zdają się spędzać cały czas, to jednak specyfika regionu, nie-

ze swoich domów, by spacerować po wyludnionej okolicy w absolutnej ciemności. „Racjonalne zużycie energii” – głosi jeden z nowszych, lecz wciąż wiernych socrealistycznej estetyce plakatów propagandowych. Bohaterowie Demick przechodzą przez jedno z tragiczniejszych wydarzeń z dziejów mocno doświadczonego koreańskiego narodu – klęskę głodu pod koniec XX wieku. Wstrząsająca jest zwłaszcza relacja przedszkolanki, wspominającej śmierć kolejnych dzieci, które miała pod opieką. Umierały zresztą nie tylko dzieci, głód zabierał ludzi ze wszystkich grup wiekowych i społecznych, może poza najwyższą partyjną elitą. Statystyczny nastolatek z Korei Północnej jest dziś kilkanaście centymetrów niższy od rówieśnika z Południa. Skalę biedy pokazuje fakt, że jedna z bohaterek, by uciec z obozu, do którego trafiła po nieudanej przeprawie do Chin, wydosłała się, jako łapówkę oferując własne, używane,

OBRAZ OFICJALNY KRLD ŁUSZCZY SIĘ NA KAŻDYM KROKU: UDERZA SZTUCZNOŚĆ INSCENIZACJI POKAZÓW „ZWYKŁEGO ŻYCIA”, ODWIEDZANY SUPERMARKET MA JEDNO PIĘTRO ZAPCHANE PRZYPADKOWYMI TOWARAMI NA UŻYTEK TURYSTÓW, CZĘSTO WYŁĄCZANY JEST PRĄD, A ZDJĘCIA MOŻNA ROBIĆ TYLKO W MIEJSCACH WSKAZANYCH PRZEZ PRZEWODNIKA.

obca choćby Południu, wzmocniona jednak przez komunistyczną rutynę i symbolikę. Klasa, podobnie jak pomieszczenia fabryczne i szkolne korytarze, jasna jest tylko tam, gdzie dociera światło słoneczne. W świecie totalnej inscenizacji nikt z kreatorów nie zauważa już, że półmrok i ciemność dla refleksyjnego widza z zewnątrz będą ważną informacją, dla nich to norma w kraju przerw w dostawach prądu. Nam mówić zaś tyle samo, co odgrywające swoje role dzieci i robotnice czy zrezygnowany tłum, zatrzymujący się przed monstrualnymi wizerunkami kolejnych Kimów.

► Dobrobyt wzrostem mierzony

O wszechobecnym mroku mówią też bohaterowie wspomnianej już książki Barbary Demick. Opisuja losy ludzi należących do różnych pokoleń i kast (wbrew deklarowanej równości społeczeństwo Korei Północnej podzielone jest na kasty według stopnia „pewności” rodzin według partii komunistycznej), przedstawia m.in. historię Mi-ran i Jun-sanga, którzy latami wieczorami wymykają się

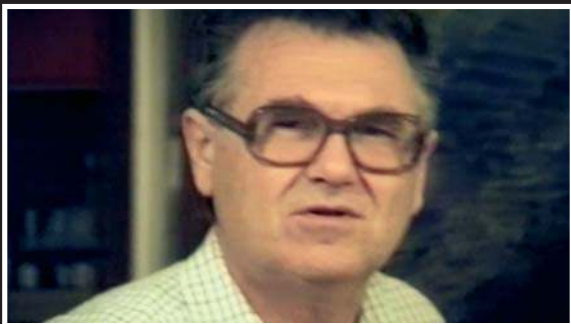
lecz jeszcze w miarę nowe majtki. Sytuacja poprawiała się nieznacznie, gdy władze zaczęły pozwalać na drobny handel i przymknęły częściowo oko na przemysł towarów z Chin.

Skrajna nędza, kult przywódców, pełna kontrola i organizacja czasu czynią Koreę Północną wyjętą wręcz z wizji Orwella. Oficjalny komunizm miesza się tu z nacjonalizmem, według niektórych badaczy przejętym od znienawidzonych Japończyków. Charakterystyczna jest odpowiedzialność zbiorowa. Agenci wysłani na Południe wiedzą, że pozostawione w kraju rodziny są zakładnikami reżimu. Dramat i konflikt sumienia przeżywają z tego powodu uciekinierzy, którzy mają świadomość, jaki los spotkał pozostałą na Północy część rodziny. Za „błędy” ojców płacą dzieci i wnuki. Miejskowa tradycja w dużym stopniu sprzyja uznaniu takiego losu za naturalny przez większość społeczeństwa, izolacjonizm zaś znajduje oparcie w historii półwyspu. Wszelkie porównania pozostają wielkim nadużyciem, ponieważ nie ma na świecie drugiego takiego kraju. ■



Beksiński non-fiction

W sumie mam 300 godzin nagrań z życia rodziny Beksińskich, z lat 1987–1998. Wszystkie te materiały są autorstwa Zdzisława Beksińskiego, jego żony Zosi oraz syna Tomasza. Proszę sobie wyobrazić, że Zdzisław Beksiński sfilmował swojego przyszłego zabójcę, gdy ten był jeszcze dzieckiem biegającym przy jego nogach – z **Cezarym Grzesiukiem**, reżyserem i montażystą, rozmawia **Sylwia Krasnodebska** (Polskie Radio).





► **Dyktafon, którym nagrywam naszą rozmowę, oparty jest na albumie fotografii „Foto Beksiński”. To nie bez znaczenia, bo Zdzisław Beksiński powiedział kiedyś, że fotografia zastępowała mu reżyserię filmową, o której marzył. Jakie byłoby kino Zdzisława Beksińskiego?**

To by zależało od czasów, w jakich by tworzył.

► **Studia skończył w latach 50.**

Lecz został architektem...

► **I tworzył projekty autobusów (śmiech).**

I to jakie! Futurystyczne i ponadczasowe. Oczywiście Komitet Centralny nigdy nie zaakceptował żadnego projektu. A były one na poziomie amerykańskich filmów science fiction!

► **A gdyby dziś na polskim rynku filmowym tworzył reżyser Zdzisław Beksiński?**

Gdyby miał takie narzędzie, które dziś ma Platige Image i Zbigniew Rybczyński, to robiłby kino, które „zamiotłoby” „Avatara”. Mając takiego reżysera, jak Zdzisław Beksiński, zagrilibyśmy na nosie wielkiej Ameryce!

► **Jednak nie było fabuł Beksińskiego. Były fotografia, próby literackie, a potem malarstwo i rejestracja wideo otaczającej rzeczywistości.**

Nie sposób było przejść obok Beksińskiego obojętnie. To, co robił, było tak inne od całej rzeczywistości wokół, że gdziekolwiek się pojawił, zatrzymywał świadomość i pociągał.

► **A Pana czym zatrzymał?**

Niesamowitością światów, które tworzył. Trudno wyrazić słowami, jak poruszył moją wyobraźnię. Chyba mało jest na świecie obrazów, które potrafią tak fascynować.

► **Fascynuje się Pan nie tylko malarstwem. Jest Pan w posiadaniu absolutnie unikatowych i niepublikowanych dotąd materiałów wideo autorstwa Zdzisława Beksińskiego.**

To prawda. Wraz z Tomaszem Szwanem, pomysłodawcą filmu z tych wideomateriałów, dotarłem do pięćdziesięciu godzin nagrań Zdzisława Beksińskiego i tak powstał czterdziestoczerminutowy film dokumentalny „Z wnętrza”.

► **Film powstał trzy lata temu. To bardzo poruszający obraz artysty, o którym tak wiele słyszeliśmy, a którego nie znamy... Nie rozumiem tylko, dlaczego nie było hucznej premiery filmu na czerwonych dywanach.**

Nie było, bo nikt nie był zainteresowany tym filmem. Ale to dopiero początek historii, bo zaraz po zakończeniu pracy nad filmem okazało się, że tych materiałów jest więcej. Wraz z Tomaszem Szwanem znaleźliśmy je na strychu Muzeum w Sanoku.

► **Pan żartuje?**

Nie. Te taśmy były w kartonach na strychu. Udościelił je nam dyrektor Muzeum Historycznego w Sanoku, wiedząc, że zarchiwizujemy je profesjonalnie.

► **W jakim stanie są te taśmy?**

Jakieś 10 proc. nie nadaje się do użytku, bo to analogowe nośniki sprzed 30 lat. W dużej części VHS-y.

► **Co Pan z nimi zrobił?**

Nabyłem prawa do tych materiałów. Zacząłem je digitalizować i archiwizować. W sumie to około 300 godzin nagrań. To rejestracja 11 lat życia rodziny Beksińskich, z lat 1987–1998. Wszystkie te materiały są autorstwa Zdzisława Beksińskiego, jego żony Zosi oraz syna Tomasza. Materiały w większości są rejestrowane w jego mieszkaniu, które było pracownią, malarnią, domem mieszkalnym całej rodziny, umieralnią (odeszły w nim dwie matki Beksińskie). Beksiński nie opuszczał Polski, nie mówił w żadnym obcym języku. A jednak mamy tu niesamowitą historię podróżniczą. Beksiński był pasjonatem motoryzacji i przez całe życie nie potrafił zdać egzaminu na prawo jazdy. Ale jak pojawiło się już w jego życiu wielkie ciśnienie na podróżowanie, to prawo jazdy kupił. Mam nagrania, na których mówi, gdzie, kiedy, u kogo to zrobił i za ile (śmiejch).

Ale są też ujęcia mordercy Beksińskiego. Proszę sobie wyobrazić, że Zdzisław sfilmował swojego przysłego zabójcę.

► **W jakich okolicznościach?**

Gdy ten był jeszcze dzieckiem biegającym przy nogach Zdzisława Beksińskiego.

► **Jest Pan, jak się domyślam, obok pana Tomasza Szwana jedną z dwóch osób na świecie, które przeglądają te materiały. I tu miejsce na uchylenie kolejnego rąbka tajemnicy...**

Bardzo proszę. Wszyscy się upierali, że nie ma nagrania wideo, jak Zdzisław Beksiński maluje obrazy.

► **Są takie nagrania, które pokazują etapy powstawania obrazów. Widzimy je w Pana filmie „Z wnętrza” i w produkcji „Ostatnia rodzina”.**

Istniała opinia, że Beksiński nie pozwolił rejestrować tego, jak maluje. Że nikt nie filmował procesu. W pierwszych pięćdziesięciu godzinach nagrań faktycznie nie było takich zdjęć. Ale w końcu je znalazłem.

To nieprawdopodobne, bo on tworzył obraz, po czym go zamalowywał i zaczynał tworzyć od samego początku. W pewnym momencie nie było wiadomo, dokąd ta praca twórcza zmierza. Aż nagle okazywało się, że to już finał.

► **PISF po wielu perturbacjach przyjął Pana projekt filmu i dostał Pan finansowanie na produkcję.**

Niestety, tylko 35 proc. budżetu filmu. Wiem, że powinienem widzieć szklanę do połowy pełną...

► **W jednej trzeciej pełną...**

Tak. Ale to za mało. Mając taki materiał, odbijam się od wszystkich drzwi. A w tych materiałach tkwi potencjał na serial dokumentalny! Są godzinne sceny, w których nie ma czego wyciąć, na przykład kłótnia rodzinna w trójkącie: Tomek Beksiński kontra rodzice. To się ogląda wspaniale. Zaczyna się od banalnej sprawy – choć Tomek ma swoje mieszkanie, to przychodzi i wyjada z lodówki zasmażkę ojcu. Rozpoczyna się lawina rodzinnych kłopotów. Przy prawdziwego obrazka wszystkie seriale świata „wysiadają”. Działu tu chyba jakaś ciemna strona mocy, że ten projekt nie chce wyjść na światło dzienne.

► **Może postaci z turpistycznych obrazów Beksińskiego? Pan też uważa, że oddzielanie twórczości od życia artysty jest irracjonalne?**

Trzeba by dać odpowiedź na pytanie, na ile wolnym twórcą był Zdzisław Beksiński.

► **A co go ograniczało?**

Nie wiem. Na jego stan świadomości miało wpływ wiele czynników. Przedstawię zabawną historię. Mam nagranie, na którym Zdzisław Beksiński mówi, że on by tych obrazów już nie malował, bo tak jest zafascynowany filmowaniem, ale maluje, by je sprzedać i mieć pieniądze na kolejną kamerę. A taka w Peweksie kosztowała nawet kilka tysięcy dolarów.

► **Jego fascynacje rozpoczynały się i kończyły. Tak było z fotografią. Pewnego dnia postanowił, że już nie będzie robił zdjęć.**

On po prostu umiał dostrzec moment, kiedy w danej dziedzinie osiągnął już wszystko, i szukał kolejnej, by się rozwijać. To cudowne! Jego fotografia do dziś zachwyca formą, kadrowaniem, treścią. Ona wtedy wyprzedzała epokę i wciąż to robi. Chyba nie ma dalszej granicy do przekroczenia. Zrobić sztukę, która się nie starzeje nawet dziś, kiedy tak ciężko zainteresować odbiorców czymkolwiek, w czasach, gdy wszystko jest przemijające... To dowód na wielkość artysty. Do dziś zdjęcia i obrazy Zdzisława Beksińskiego można wystawiać w galeriach sztuki na całym świecie. ■



Małgorzata Matuszak

Czym jest... hedonizm

Termin „hedonizm” pochodzi od greckiego słowa „hedone” oznaczającego „przyjemność, rozkosz”. Hedoniści uznawali przyjemność za dobro i źródło szczęścia, w dążeniu zaś do niej i unikaniu przykrości upatrywali cel życia człowieka i motyw jego działań.

W historii filozofii greckiej wyróżnić można dwie, odmienne bardzo, formy hedonizmu. Twórcą pierwszej z nich, którą nazwać można hedonizmem skrajnym, radykalnym, był Arystyp z Cyreny, uznawany za „czarną owcę w gronie sokratyków”. Arystyp i cyrenaicy głosili wyższość

wość. Hedonizm Epikura uznać można zatem za bardzo wysublimowany, pozostaje jednak hedonizmem, zawierającym swoiste dlań aporie.

Hedonizm rozwijał się także w czasach nowożytnych. Odnowił się dzięki racjonalistycznym, naturalistycznym i antyreligijnym hasłom epoki oświecenia, w skrajnej swej formie stając się areligijnym antyascetyzmem, w formie umiarkowanej zaś rozwijał się jako utilitaryzm, dostrzegający również ważność doznań duchowych i kwestii społecznych. Szczególnie podatny grunt dla swego rozwoju znalazł w Anglii.

NICZYM ZŁYM, A WRĘCZ POŻĄDANYM, JEST CZERPANIE PRZYJEMNOŚCI Z ŻYCIA, RADOWANIE SIĘ NIM, ISTNIEJE JEDNAK WYRAŻNA GRANICA MIĘDZY CIESZENIEM SIĘ ŻYCIEM A JEGO UŻYWANIEM. HEDONIZM SPRAWIA, IŻ ULEGA ONA ZATARCIU.

przyjemności cielesnych nad wszystkimi innymi, zachęcając innych, by „żyli chwilą”, taka jest bowiem natura najwyższej, fizycznej przyjemności – chwilowa, obecna tylko w „teraz”. Drugą z form hedonizmu, bardziej umiarkowaną i stonowaną, spotkać można przede wszystkim u Epikura, według którego szczęście osiąga się poprzez rozumowy rachunek przyjemności i korzyści, polega ono zaś na tym, by nie cierpieć cieleśnie i nie doznawać niepokojów duszy. Zaleca on, jako lek na pozbycie się strachu przed tym, co odwiecznie trapi człowieka, „tetrafarmakon”, „poczwórne lekarstwo”, którego składniki pozwolą pokonać ludziom lęk przed bogami, śmiercią i cierpieniem. Przed wejściem do szkoły Epikura widniało hasło: „Przyjemność jest najwyższym dobrem”, w odróżnieniu od Arystypa twierdził on jednak, że duchowe przyjemności są silniejsze od cielesnych, z racji tego, iż nie ograniczają się tylko do teraźniejszości, lecz obejmują też przeszłość i przyszłość. Epikur odrzucał cnoty „ascetyczne”, aczkolwiek trudno oprzeć się wrażeniu, że w swym hedonizmie był nieraz nad wyraz ascetyczny, a propagując sztukę życia przyjemnego, sławił przyjaźń i wzajemną życzli-

Dziś hedonizm również ma się dobrze, rzecz można – bardzo dobrze. W szczególności w kontekście wszechobecnego dziś konsumpcjonizmu, kultu cielesności i seksualności, dążeniu do przyjemności za wszelką cenę nietrudno wysnuć wniosek, że współczesne społeczeństwa mają nastawienie hedonistyczne.

Hedonizm, redukując życie człowieka do stanów przyjemnościowych, niezależnie od tego, jakiego są rodzaju, popełnia błąd. Nie da się, co podkreśla R. Spaemann, skonstruować obiektywnej całości, którą bez wątplenia jest nasze życie, z punktowych, subiektywnych stanów, jak również przezwyciężyć egoizmu inspirowanego hedonistyczną zasadą życia. Człowiek jest istotą, której chodzi o coś „więcej”, czego nie może zrozumieć jako stanów zadowolenia lub niezadowolenia. Tym bardziej nie można, jak chcą hedoniści, sprować szczęścia człowieka do braku cierpienia, a poczucia bezpieczeństwa budować tylko na wierze w ład Natury. Niczym złym, a wręcz pożądanym, jest czerpanie przyjemności z życia, radowanie się nim, istnieje jednak wyraźna granica między cieszeniem się życiem a jego używaniem. Hedonizm sprawia, iż ulega ona zatarciu. ■



Gdy science fiction wkracza do sypialni

fot. mat. pras.

Sylwia Krasnodębska

(Polskie Radio)

Początek filmu jest bardzo schematyczny. Podobni ludzie w porównywalnych korporacjach na identycznych piętrach wysokich biurowców głowią się nad tym, by stworzyć i wypromować produkt idealny. Ale już nie pieniądze i kariera są celem. W tej wizji niedalekiej przyszłości wszyscy pragną jednego – więcej doznań i życia w rozszerzonej rzeczywistości. Okazuje się, że świat to znów za mało.

► Między „Samotnością w sieci” a „Nią”

David (Benjamin Dickinson – reżyser, scenarzysta i odtwórca głównej roli) ma za zadanie wypromować produkt, który niebawem ma zaważać rynkiem. Mowa o inteligentnych okularach, które ubarwiają rzeczywistość. Mężczyzna, który postanawia przetestować sprzęt szybko, zauważa, że wypełni on pewne

luki w jego szarej rzeczywistości. Trudno się nie uzależnić. Ucieczka od rzeczywistości w tej historii wkracza daleko poza przyjęte zwyczaje tradycyjnego „resetu”. Urządzenie spełnia marzenia. Tworząc choćby hologram upragnionej osoby, która jest jak na wyciągnięcie ręki. Sytuacja ma jednak pewne zaczepienie w rzeczywistości, bo David pragnie Sophie – dziewczyny swojego przyjaciela – i to jej awatara postanawia za pomocą nowoczesnego urządzenia stworzyć. Czy taki „romans” z cyberpostaćą jest w stanie skłócić kolegów? Jakże mogą być rozmiary spustoszenia, które przyniesie taka zabawa?

Choć to poważne pytania, to jednak historia skręca w stronę banału. Szybko bowiem orientujemy się, że rola wirtualnej postaci stworzona dobrodziejstwem sprzętu sprowadzana jest przede wszystkim do realizacji zachcianek seksualnych. A może to popęd właśnie,

W grudniu do polskich kin trafi amerykański dramat „Creative Control”. Film niedalekiej przyszłości, której jedynie nowoczesne technologie mogą nadać barw. Ludzie bowiem nie pragną już sukcesów, chcą jedynie ultra-doznań, a te są tak wyrafinowane i odrealnione, że są do osiągnięcia tylko dzięki cybersztuczkom i... różowym okularom.

w ponurej wizji świata przyszłości Benjamina Dickinsona, jest jedynym przejawem człowieczeństwa głównego bohatera?

Gdyby wierzyć wizji reżysera, ludzkość czeka zatrącenie w nihilizmie. Funkcjonowanie bez celu. A nawet brak woli przetrwania. To z pewnością dramatyczniejszy scenariusz niż ten, który znamy z polskiej „Samotności w sieci” Witolda Adamka czy fascynującego filmu Spike’a Jonze’a „Ona”. Rozpaczyliwe poszukiwanie swojego miejsca na ziemi we wspomnianych fabułach było bezpośrednio związane z poszukiwaniem miłości. Dickinson jest dla swojego bohatera bardziej okrutny.

► Wyższe stadium nihilizmu

Bliskość nie daje Davidowi ukojenia. Nie jest nawet czymś, co warto rozpatrywać w kategoriach speł-

nienia czy szczęścia. To szczęście w sterylnych ścianach z pancernych szyb po prostu nie jest atrakcyjne. Zwyczajnie dlatego, że już przestało być celem. Takie warunki w filmowej rzeczywistości są żyznym gruntem dla filozofii New Age. A to prowadzi do wielu paradoksów. Wydawałoby się światli i wykształceni ludzie pozwalają sobą manipulować jak małe dzieci. Bohaterowie „Creative Control” są tak wypłukani z jakichkolwiek wartości, choć otoczenie zdaje się być spektakularnym efektem osiągnięć rozwiniętej cywilizacji. Choć w filmie padają słowa o tym, że „miasto powoli nas zabija”, to nie brzmią już one dla bohaterów jako ostrzeżenie. Na takie sygnały wydaje się być już za późno.

Reżyser nastawia swoim bohaterom wiele pułapek. Ich codzienność zdaje się być szatańskim labiryntem. Ci, którzy się w nim znajdują, nie szukają wyjścia. Z naiwnością dziecka i konsekwencją samobójcy idą w głąb labiryntu. Są jak ćmy czekające na spalenie. Twórca „Creative Control” w wiele pułapek wpadł przy okazji sam. Brak spójności fabuły i desperackie, przerysowane próby pokazania dramatu bohaterów pokazują, że i Dickinsonowi zabrakło celu. Że tak jak zostawił bohaterów na pastwę losu, tak zostawił widzów. Nie byłby to zły zabieg, gdyby był celowy. Oglądając amerykański obraz, trudno jednak nabrać takiego przekonania.

► Różowe okulary

Dość ryzykowne, że filmowiec postanowił wyposażyć bohaterów w elektroniczne okulary, przez które świat staje się ciekawszy. Tym jednym pomysłem zbanalizował opowieść na samym starcie. Specie od science fiction już dawno zaopatrzyli swoich bohaterów w chipy wszczepiane do mózgu czy inteligentne soczewki, które zamieniały ich w półroboty. Tu jednak posłużono się banalnym gadżetem, co w konsekwencji musiało doprowadzić do tego, że w filmie padają słowa: „nie wiedziałam, że nosisz okulary” ... Takich zbyt prostych zabiegów jest więcej. Sam pomysł, by świat rzeczywisty był przedstawiony w barwach czarno-białych, a wirtualny w barwach kolorowych, bardziej przypomina kreskówkę o różowych okularach niż zaćną produkcję filmową prezentowaną na festiwalach i okłaskiwaną przez krytyków. Dziecięcy zespół Pora na Telesfora w piosence „Różowe okulary” śpiewa: „Widzę wszystko na różowo / I wesoło mi ogromnie, / Więc nie szukaj okularów, / Tylko się uśmiechnij do mnie”. W tych słowach zawarty jest sens równie głębokim jak w fabule „Creative Control”. Lecz jedno reżyserowi trzeba oddać. Oglądając „Creative Control”, nie jesteśmy pewni, czy oglądamy jeszcze film science fiction, czy już film o nas samych. ■

Nagrody dla polskich przedsiębiorców od „Gazety Polskiej Codziennie”

Polski Przedsiębiorca
2015
Gazety Polskiej
Codziennie



Uroczystość wręczenia nagród konkursu „Polski Przedsiębiorca 2015 GPC” została poprzedzona debatą pod hasłem „Patriotyzm gospodarczy – ekonomia i bezpieczeństwo”. W opinii wicepremiera Mateusza Morawieckiego hasło „patriotyzmu gospodarczego” powinno promować polską gospodarkę tak, by zwiększać szansę polskich przedsiębiorców w promocji ich towarów za granicą. – Niestety, przez ostatnich 27 lat zamiast tego promowano najczęściej swowistą „pedagogikę wstydu”, brakowało wsparcia ze strony rządu dla międzynarodowej ekspansji naszych firm. Żyliśmy bardziej w oparciu o przyciąganie kapitału zagranicznego, starając się głównie o absorpcję know-how z Zachodu – zauważył wicepremier.

Zdaniem Morawieckiego nadszedł już jednak czas, by to zmienić. – W modelu rozwoju, który promuje

obecny rząd, chcemy mieć więcej w polskiej gospodarce innowacyjności i eksportu naszych usług i produktów – stwierdził.

Według wicepremiera, wręczającemu nagrodę dla najlepszej polskiej firmy w kategorii „Innowator”, u nas najwięcej firm innowacyjnych działa w branży farmaceutycznej, samochodowej i lotniczej. Spółka Adamed, której prezes Maciej Adamkiewicz odebrał nagrodę, należy do tej pierwszej.

– Oczekujemy na polskie firmy – „jednorożce”, które będą podbijały świat – stwierdził prezes Zbigniew Jagiełło, wręczając nagrodę w kategorii „Eksporter” Ryszardowi Florkowi, właścicielowi firmy Fakro, produkującej okna dachowe.

Nagroda w kategorii „Lider przemysłu” powędrowała do Zenona Michasia, prezesa SM Lazur. – Firmy z sektora małych i średnich przedsiębiorstw (MSP) ocaliły w czasach PRL i późniejszych polski kapitał. Te-

Podczas uroczystej gali pierwszej edycji konkursu „Polski Przedsiębiorca 2015 Gazety Polskiej Codziennie” zostali nagrodzeni szefowie czołowych polskich firm. Wyróżnienie „GPC” otrzymał prezes Ursusa SA Karol Zarajczyk. Nagrodzeni w poszczególnych kategoriach to: małe i średnie przedsiębiorstwa – Paweł Szopa i Jakub Iwański (Red is Bad), eksporter – Ryszard Florek (Fakro), innowator – Maciej Adamkiewicz (Adamed), filantrop – Władysław Grochowski (Arche) oraz lider przemysłu – Zenon Michaś (Spółdzielnia Mleczarska Lazur).



raz nie wstyd napisać na polskim produkcie „Made in Poland” – powiedział red. Tomasz Sakiewicz, przekazując Jakubowi Iwańskiemu, współkierującemu spółką Red is Bad, nagrodę w kategorii MSP.

Marszałek Senatu Stanisław Karczewski zaapelował do polskich przedsiębiorców: – Proszę o więcej na rzecz sfinansowania powrotu polskich repatriantów z Kazachstanu – wręczając nagrodę w kategorii „Filantrop” Władysławowi Grochowskiemu, szefowi spółki deweloperskiej Arche, którego fundacja Leny Grochowskiej zajmuje się sprowadzaniem do kraju naszych rodaków – potomków zesłańców.

Grzegorz Tomaszewski, prezes Forum SA, który wręczył wyróżnienie „Gazety Polskiej Codziennie” prezesowi spółki Ursus Karolowi Zarajczykowi, podkreślił, że to m.in. dzięki staraniom tego ostatniego reaktywowana została stara marka Ursus, z ponad 100-letnimi tradycjami. ■

Partner Strategiczny: PKO Bank Polski. Partner: Asseco Poland SA. Partnerzy wspierający: Agencja Rozwoju Przemysłu, KGHM Polska Miedź, PKN ORLEN. Patroni medialni: TVP 1, TVP Info, TVP3 Warszawa, Telewizja Republika, „Gazeta Polska”, „Gazeta Polska Codziennie”, Niezależna.pl, „Nowe Państwo”.

PARTNER STRATEGICZNY



Bank Polski

PARTNER

ASSECO

PARTNERZY WSPIERAJĄCY

KGHM
POLSKA MIEDŹ



SKŁADA SERDECZNE PODZIĘKOWANIA

PARTNER STRATEGICZNY



Bank Polski

PARTNER

assecO

PARTNERZY WSPIERAJĄCY



za pomoc i wsparcie przy organizacji Gali Konkursu
„Polski Przedsiębiorca 2015 Gazety Polskiej Codziennie”,
która odbyła się 21 września 2016 roku
w FORTECY w Warszawie.

Warszawa, 22 września 2016 r.



Ryszard Czarnecki

Ryba Angela, czyli o scenie politycznej RFN

Porażki Angeli Merkel cieszą z dwóch powodów. Po pierwsze, są sygnałem dla wszystkich rządzących (i nie tylko rządzących) polityków w Europie, iż liberalno-szaleńcza polityka migracyjna nie może być bezkarna i musi skończyć się klęską. I dobrze, bo taka przestroga wszystkim dobrze zrobi. Niech panie i panowie zejść z obłoków „politycznej poprawności” na twardy grunt rzeczywistości, w której ludzie w uzasadniony sposób boją się islamskiej inwazji. Po drugie, słabnie kanclerz Republiki Federalnej, o czym świadczą spektakularne porażki CDU w Meklemburgii-Pomorzu Przednim, a ostatnio w Berlinie, co powoduje wyraźną jej skłonność do rozmów z Polską i krajami naszego regionu już nie z pozycji arogancji i siły, jak dawniej. No właśnie. Porażki Frau Kanzlerin cieszą, ale jej ostateczna klęska, jakkolwiek zabrzmiałoby to paradoksalnie w kontekście ostatnich wywodów, będzie złą wiadomością dla Polski. Lepszy bowiem rydz z CDU niż „nic” reszty klasy politycznej RFN.

Alternatywa dla Niemiec (AfD), wygrywając z chadekami w Meklemburg Vorpommern, utarła nosa głównej rządzącej partii i systematycznie, wyborczo i medialnie rozdaje jej złote kartki. Można z tego powodu mieć, nie bezpodstawnie, „Schadenfreude”, ale AfD u władzy to wyraźne wzmocnienie bardzo prorosyjskiego nurtu i tak prorosyjskiej niemieckiej sceny politycznej. Frau Petry marzy o politycznym romansie z Herr Putinem, ale to nie są nasze marzenia.

Socjaldemokraci tradycyjnie wygrali w Meklemburgii, gdzie od lat ćwiczą miejscową ludność z „czerwono-czarną Grosse Koalition”, ale w skali Niemiec dołączyć i utrzymać władzę mogą bądź przez powtórkę z obecnej „Wielkiej Koalicji” w Bundestagu, bądź przez utworzenie „tęczowego” aliansu ze wszystkimi partiami (poza AfD) na zasadzie anty-CDU. Tyle że SPD, pomijając jeszcze bardziej lewicową Die Linke, jest najbardziej prorosyjską partią niemieckiego establishmentu. Dodajmy, że również najbardziej ideologicznie euroentuzjastyczną. Także dlatego, że nie ma

naturalnego hamulca w postaci CSU, który posiadają chrześcijańscy demokraci.

Po zapowiedzianej rezygnacji Gaucka, Frank-Walter Steinmeier z SPD myśli już tylko o jednym: prezydenturze, a jego ostatnie wypowiedzi jako kadencyjnego przewodniczącego OBWE i wcześniejsze o manewrach „Anakonda” w Polsce świadczą o tym, że jego wybór będzie najlepszym prezentem dla Włodzimierza, syna Włodzimierza, Putina. Wicekanclerz i przewodniczący SPD, Sigmar Gabriel, zmaga się z chorobą i kompletnym brakiem charyzmy, co, uwaga, może utorować drogę do fotela lidera SPD... Martinowi Schulzowi, gdy w styczniu 2017 r. europosłowie nie wybiorą go jednak po raz trzeci na szefa PE. A taki prestiżowy „wariant rezerwowy” ponoć poważnie bierze pod uwagę.

Stosunkowo komfortową pozycję mają Zieloni, którzy mogą współtworzyć zarówno koalicję „czerwono-zieloną”, jak i, pierwszy raz w historii NRF-RFN, „czarno-zieloną”. Ten drugi wariant jest całkiem prawdopodobny, choć zależeć będzie od tego, czy partia Merkel nie zjedzie za nisko w sondażach i czy w związku z tym nie będzie miała zbyt mało szabel. Niezależnie od sytuacji, zawsze możemy liczyć na posła Zielonych Volkera Becka, od lat zaawansowanego obrońcę uciśnionych mniejszości seksualnych w Polsce.

Liberałowie, czyli FDP, mają dziś sytuację identyczną jak polska... SLD: nie ma ich w parlamencie krajowym, są za to w Parlamencie Europejskim i poszczególnych landach. Mają szansę na krajowy powrót, tym bardziej, że niedługo przed wyborami do Bundestagu odbędą się wybory w największym niemieckim landzie Nadrenii-Północnej Westfalii, gdzie kandydatem na premiera w tym kraju związkowym ma być dość popularny Alexander Graf Lambsdorff, krytyczny wobec Polski, mniej krytyczny wobec Rosji. Jego dobry wynik w Nordrhein-Westfalen może wydzwignąć po kilku miesiącach FDP do Bundestagu, a nawet spowodować utworzenie koalicji „czarno-zielono-żółtej” (ten ostatni to kolor liberałów).

Cóż, na bezrybiu i Merkel ryba. ■

Hanna Shen



Panny młode na sprzedaż

W biedniejszych krajach Azji przeciętnie jedna na dwie nieletnie dziewczynki wydawana jest za męża. Wiele nastolatek i młodych kobiet staje się towarem na tzw. rynku panien młodych i jest sprzedawanych na przykład do Chin. A niektóre same gotują sobie ten tragiczny los skuszone wizją znalezienia pracy czy bogatszego męża – wizją roztaczaną przed nimi przez ludzi powiązanych z gangami handlującymi ludźmi.



W Bangladeszu 52 proc. dziewcząt, które nie ukończyły 18. roku życia, staje się żonami. Drugie na liście są Indie (47 proc.), a tuż za nimi jest Nepal (37 proc.). Jak podaje Girls Not Brides, organizacja sprzeciwiająca się ślubom małoletnich, w latach 2010–2030 około 130 mln dziewczynek w regionie Azji Płd. będzie pannami młodymi.

Głównym powodem tego, że Azja Płd. ma najwyższy stopień małżeństw nieletnich, jest bieda. Wiele rodzin w tym regionie nie widzi korzyści w wysyłaniu dziewcząt do szkoły – nie dostrzega zwłaszcza perspektyw ekonomicznych. Według wciąż obowiązujących w wielu państwach azjatyckich norm społecznych, to chłopcy mają większą wartość. Dlatego nie opłaca się inwestować w edukację i zdrowie dziewczynek. Stąd jedynym wyjściem dla nich staje się więc małżeństwo. W dodatku im szybciej, tym lepiej, bowiem im młodsza panna młoda, tym mniej jej posag dla rodziny pana młodego.

► Prawo sobie, a rzeczywistość sobie

Rachana Sunar prowadzi organizację Sambad Center (Centrum Dialogu), która w jej ojczystym kraju, Nepalu, pomaga młodym matkom, nastolatkom zmuszanym do małżeństw i walczy z handlem ludźmi. Sunar i założona przez nią w 2013 r. instytucja uratowały prawie 40 dziewcząt z Nepalu przed wymuszonymi małżeństwami i dla wielu nastolatek i młodych kobiet organizuje lekcje pisania i czytania. Ale Rachana na własnej skórze doświadczyła, co to znaczy być dziewczynką, kobietą w kraju, w którym płęć żeńska to nadal coś gorszego. Jako nastolatka często widziała, jak ojciec bił jej matkę tylko dlatego, że ta urodziła kolejną dziewczynkę (Rachana ma sześć siostr). Gdy Sunar miała 15 lat, jej ojciec postanowił wydać ją za starszego mężczyznę z wyższej kasty. Dziewczyna akurat otrzymała stypendium na dalszą edukację i poinformowała rodziców, że będą musieli zwrócić całą kwotę pokrywającą koszt jej trzyletniej edukacji, jeśli teraz opuści szkołę i zostanie żoną. Nie była to prawda, ale dzięki temu wybiegowi Rachana nie podzieliła losu wielu ze swoich rodaczek – nie zmuszono jej do małżeństwa.

Komunistyczne władze Nepalu twierdzą, że poczyniły znaczne postępy w powstrzymaniu małżeństw dzieci, na przykład poprzez zatwierdzenie ustawy, która stanowi, iż zarówno mężczyźni, jak i kobiety, muszą mieć przynajmniej 20 lat, aby zawrzeć związek małżeński. Jednak wiele organizacji zajmujących się prawami człowieka, m.in. Human Rights Watch, uważa, że działania rządzących są

niedostateczne, bo nadal ponad 10 proc. dziewcząt w Nepalu poniżej 15. roku życia, a prawie 40 proc. poniżej 18 lat, zmuszanych jest do małżeństw.

Sunmaya Tamang doświadczyła tego w wieku 14 lat. Rok później urodziła syna i rozpoczęła pracę w fabryce dywanów, aby utrzymać rodzinę. „Nie wiedziałam, że istnieje prawo, które nie zezwala na małżeństwo w młodym wieku. Nikt mi tego nie powiedział ani nikt nie próbował tego zatrzymać” – przyznała Sunmaya w wypowiedzi dla agencji Associated Press.

I nie widać szans na poprawę sytuacji w Nepalu. W zeszłorocznym trzęsieniu ziemi zginęło ponad 8 tys. osób, a prawie 4 mln straciło dach nad głowami. „Rodziny w regionach dotkniętych klęską są desperowane. Chcą jak najszybciej wydać córki za mąż, aby mieć jedną osobę mniej do wykarmienia” – mówiła AP Rashmila Shakya z Child Workers In Nepal, organizacji, która zajmuje się ochroną praw dziecka.

► Masowe ceremonie zaślubin dzieci

Także w Indiach prawo zakazuje małżeństw nieletnich. Dziewczęta mogą wstępować w związek małżeński w wieku 18 lat, a mężczyźni – 21 lat. Ale i tu przepisy sobie, a realia sobie. Według organizacji Girls Not Brides, 48 proc. kobiet w Indiach w wieku od 20 do 24 lat wyszło za mąż, zanim ukończyło 18 lat, a jedna na pięć przed 15. rokiem życia.

W kwietniu br. w mediach na Zachodzie ukazał się film z masowej ceremonii zaślubin w mieście Chittorgarh w północno-zachodnich Indiach, w stanie Radżastan. Przedstawione na wideo płaczące ze strachu panny młode były w wieku od 5 do 13 lat. Panowie młodzi mieli od 11 do 15 lat. Film trafił także do policji w Radżastan i ta zapowiedziała, że winni tego zdarzenia zostaną zatrzymani. Jednak przedstawiciel władz miasta Chittorgarh w wypowiedzi dla brytyjskiego dziennika „Daily Mail” mówi raczej o bezradności administracji lokalnej. Przyznaje, że „w przeszłości udało się powstrzymać kilka małżeństw nieletnich, ale często mieszkańcy, obawiając się policji, na miejsce ceremonii zaślubin wybierają lokalizacje oddalone od ich miejscowości. Wielu nie zgłasza podobnych incydentów na policję w obawie przed presją społeczną”.

Kriti Bharti od momentu założenia w 2011 r. organizacji Saarthi Trust, która niesie pomoc dzieciom zmuszanym do małżeństw, doprowadziła do unieważnienia prawie 30 związków i nie dopuściła do ponad 850 zaślubin nieletnich. Ale tragedia tych dzieci na tym się nie kończy. „Po niedopuszczeniu do małżeństwa nieletnich, dziewczynka jest traktowana jak wyrzutek społeczny. [...] Trzeba jej pomóc,

by na nowo stała się częścią społeczeństwa” – mówi Kriti.

Niełatwe jest też unieważnienie małżeństwa nieletnich. Kriti i członkowie jej organizacji najpierw rozmawiają z rodzicami dziewczynki. Gdy uda się ich przekonać, że związek powinien być anulowany, udają się do pana młodego i jego rodziny. Na koniec pozostaje najtrudniejsze zadanie – przekonanie starszyzny wioski, według której zgoda na unieważnienie małżeństwa grozi wspólnocie utratą dumy. Kriti raz udało się uzyskać zgodę wszystkich stron w ciągu trzech dni i to był ogromny sukces. Normalnie trwa to dużo dłużej.

Alle godziny spędzone na rozmowach z rodzicami nieletnich zmuszanych do ślubów to niejedyna przeszkoda, jaką napotykać ludzie prowadzący w Indiach tego typu działalność. Kriti nie raz atakowano na ulicy za to, co robi. Wielokrotnie grożono jej utratą zdrowia i życia. Jednak Hinduska przyznaje, że to wszystko jest bez znaczenia, dopóki uda się uratować choć jedną dziewczynkę.

► Panny młode i złoty interes

Na nieletnich pannach młodych można też zarobić, zwłaszcza że są „towarem” poszukiwanym w Chinach.

Wprowadzona w ChRL w 1979 r. przez Deng Xiaopinga polityka jednego dziecka miała, według komunistów, zapobiec eksplozji demograficznej i rozprzestrzenianiu się biedy. W rzeczywistości doprowadziła do tego, że w chińskim społeczeństwie zachwiana została równowaga demograficzna. Do 2020 r. 24 mln Chińczyków nie będzie w stanie znaleźć żony. Według socjologów, w niedalekiej przyszłości Państwo Środka będzie musiało stawić czoło przestępczości na tle seksualnym i handlowi żywym towarem. Już dziś wiele dziewcząt i młodych kobiet przemycanych jest z biedniejszych państw azjatyckich i sprzedawanych Chińczykom szukającym żon.

Ze względu na podobieństwa kulturowe obywateli ChRL szczególnie przychylnie patrzą na panny młode z Wietnamu, nawet tak młode jak 13-latk. Nieletnie Wietnamki są przemycane przez granicę wietnamsko-chińską i w Państwie Środka sprzedawane w cenie od 3 tys. do 20 tys. dolarów. Im bielsza skóra kandydatki na żonę, tym wyższa może być cena.

Nguyen opowiadała amerykańskiej stacji CNN, jak jako 16-latką została odurzona narkotykami przez przyjaciela jej chłopaka. Obudziła się już w Chinach, gdzie stała się panną młodą na sprzedaż. Przez członków gangu, który organizował jej przymet do Państwa

Środka, została brutalnie pobita, na wypadek gdyby przyszło jej do głowy nie zgodzić się na małżeństwo. „Moje pragnienie powrotu do domu było nie do opisania. Zgodziłam się na małżeństwo, ale nie mogłam zostać z nieznajomym, do którego nic nie czułam”. Ostatecznie Nguyen wróciła do Wietnamu. Zgodził się na to jej chiński mąż, ale musiała zostawić w Chinach dziecko. Czasem Chińczycy uwalniają dziewczyny i kobiety po tym, jak urodzą im dziecko, a czasem wówczas, gdy otrzymają pieniądze od rodziny żony.

Organizacja, która pomaga wietnamskim nastolatkom i młodym kobietom sprzedanym do Chin w powrocie do normalnego życia, jest The Pacific Links Foundation. Instytucja prowadzi schronisko w mieście Lao Cai na północy Wietnamu, niedaleko granicy z ChRL. Dziewczyny, które tu trafiają, poddawane są leczeniu, chodzą do szkoły, uczą się gotować i szyć. Mniej więcej po 2-3 latach pobytu w schronisku stają na własne nogi i mogą znaleźć pracę i się utrzymać.

To właśnie do schroniska The Pacific Links Foundation trafiła M (organizacja nie podaje jej pełnego imienia i nazwiska). Teraz uczy się ona m.in., jak szyć ubrania, a jej marzeniem jest otwarcie małej pracowni krawieckiej. Dziś M może snuć plany dotyczące przyszłości, ale jej wcześniejsze życie przypominało koszmar. Jako małe dziecko została sierotą i zamieszkała z krewnymi. Od siódmego roku życia musiała ciężko pracować w polu. Często była bita aż do krwi. W wieku 15 lat została przemyconą przez chińską granicę i sprzedana starszemu Chińczykowi. Po dwóch miesiącach małżeństwa udało jej się uciec. Zgłosiła się na policję i dzięki temu mogła wrócić do Wietnamu.

Zdarza się też, że to nie gangi handlujące żywym towarem dostarczają panny młode Chińczykom. Interes na tym procederze ubija najbliższa rodzina. 16-letnia Kiab została sprzedana Chińczykowi przez rodzzonego brata. Udało jej się uciec po miesiącu. „W moich oczach mój brat przestał być człowiekiem – sprzedał własną siostrę do Chin” – opowiadała Wietnamka dziennikarzowi agencji AP.

► Nie taki serialowy mąż

Jednak w związku z coraz częstszymi patrolami na granicy chińsko-wietnamskiej, mającymi wylapać gangi handlujące dziewczynami i kobietami, handlarze pannami młodymi szukają nowych rynków. Popularna staje się Kambodża. Jeszcze trzy lata temu nie było oficjalnie zarejestrowanych przypadków przemycania młodych kobiet z Kambodży do Chin. Dziś jest zgłoszonych ponad 200 takich spraw. Pod

koniec marca tego roku policja w Phnom Penh aresztowała dwóch handlarzy żywym towarem dostarczających nastoletnie żony do ChRL. Z kolei w lipcu zatrzymano 28-letnią obywatelkę Kambodży, która zajmowała się sprzedażą do Chin kobiet w wieku od 17 do 20 lat.

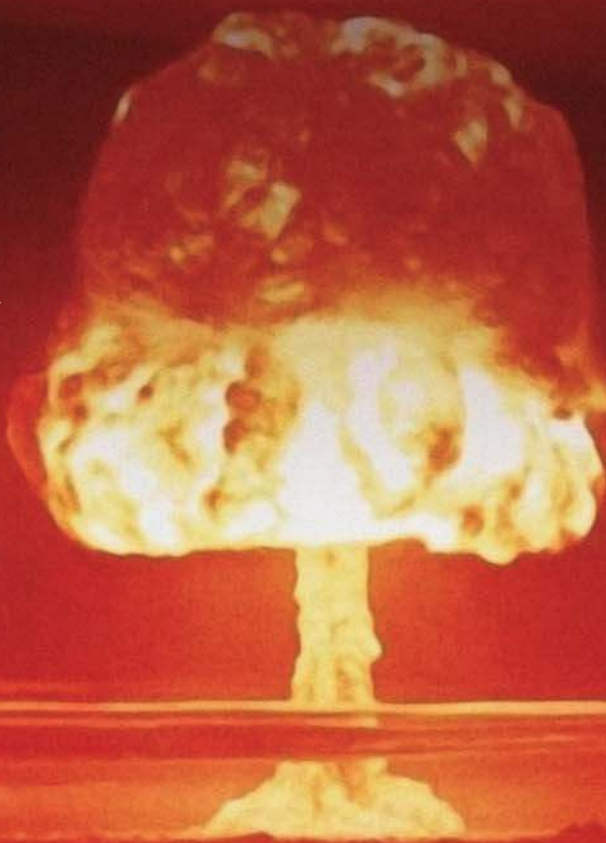
Młode mieszkanki Kambodży często zostają zwabione do Chin propozycją dobrze płatnej pracy. Na miejscu okazuje się, że mają stać się po prostu pannami młodymi.

Kambodża jest jednym z najbiedniejszych państw na świecie. Ponad 40 proc. mieszkańców tego kraju musi przeżyć za około 2 dolary dziennie. Chiny natomiast postrzega się jako miejsce, gdzie można znaleźć dobrze płatną pracę, a w przyszłości nawet założyć rodzinę.

Taki plan miała Khai Sochoeun, od dziecka pracująca na polu ryżowym. W Kambodży często oglądała chińskie seriale. A w nich, jak opowiadała Jinie Mor – dziennikarce portalu BuzzFeed, nigdy nie widziała rolników na polach ryżowych. „Byli tylko mężczyźni zajmujący się dużym biznesem, prowadzący firmy”. Dodatkowo naciskała na nią rodzina. Jeden z jej wujków przekonywał: „Jeśli poślubisz Chińczyka, będziesz mogła przysyłać pieniądze do domu, swojej rodzinie”.

Rzeczywistość jednak nie przypominała serialu. Agencja, która miała znaleźć pracę dla Khai i dowieźć ją do wybranego miejsca w Chinach, była częścią gangu handlującego kobietami. Z lotniska w Chinach młodą kobietę przewieziono do położonego daleko na wsi domu. Były tam także inne Kambodżanki. Następnego dnia wszystkie dziewczyny zostały zebrane w jednym pokoju, do którego wszedł mężczyzna z rodziną. „Myślałam, że to jacyś goście. Nie zdawałam sobie sprawy, że przyśleli wybierać żonę” – mówiła Khai. Ale kiedy dziewczęta zostały ustawione w szeregu, a mężczyzna dokładnie je oglądał, zrozumiała, o co chodzi. W ciągu najbliższych dni pojawili się inni poszukujący panien młodych. Khai zaczęła się buntować. Gdy powiedziała, że przyjechała do pracy, usłyszała, że jeśli się nie podporządkuje, to zostanie wyrzucona na bruk i nikomu nie udowodni, że znalazła się w Chinach legalnie. Kobieta poddała się i w końcu została sprzedana. Gdy małżeństwo zostało zarejestrowane w urzędzie, Khai dowiedziała się, że ma służyć 6-osobowej rodzinie małżonka. Jeśli nie wykonała jakiegoś polecenia, była bita. Ostatecznie w sierpniu tego roku udało jej się wrócić do Kambodży i mówić o sobie, że miała szczęście, bo mogła – jak większość jej rodaczek zmuszonych do małżeństw z Chińczykami – „pozostać uwięziona w Chinach”. ■

Gotowi na czarną godzinę



Olga Doleśniak-Harczuk



Ponad 80 kilogramów mleka w proszku, chleba, makaronu, ryżu, masła, soczewicy, cukru i mąki, do tego 52 litry bulionu, 60 jajek w proszku i 12 kilogramów wysokoenergetycznych batonów. Tak skompletowany pakiet ma przez miesiąc zaspokoić podstawowe potrzeby żywieniowe czteroosobowej rodziny. Cena: 950 euro plus koszt wysyłki. Produkty są szczelnie zapakowane, zdatne do spożycia do 2026 r. Dla jeszcze bardziej zapobiegliwych znajdzie się i sproszkowane masło, które można spokojnie zużyć nawet za 50 lat. Coraz więcej Niemców docenia usługi firm specjalizujących się w kompletowaniu pakietów żywnościowych na wypadek wojny, ataku terrorystycznego czy katastrof naturalnych. Jedni inwestują fortunę w gotowe pakiety, inni wolą zaopatrzyć się w survivalowy zestaw na własną rękę, regularnie uzupełniając zapasy. Jeszcze inni na czarną godzinę zakopują w przydomowych ogródkach złoto i srebro. Niezależnie od metody cel jest ten sam: przeżyć w ekstremalnych warunkach.

Kiedy w sierpniu tego roku rząd w Berlinie ogłosił odświeżoną koncepcję obrony cywilnej, podnosząc w niej m.in. potrzebę samodzielnego zaopatrywania się obywateli w zapasy żywności i wody na wypadek kryzysu na okres co najmniej 10 dni, szybko znaleźli się spanikowani Niemcy, którzy jak na rozkaz ruszyli po większe zakupy. Jednym wejście to w krew, inni za trzy miesiące zapomną o sprawie, zapasy zużyją, a zrobieniem kolejnych nie będą już sobie zaprzątać głowy. Rozumowanie w kategoriach „po co mi 10 kilo mąki naraz, kiedy w sklepie za rogiem jej jeszcze nigdy nie zabrakło”, weźmie górę nad strachem przed potencjalnym niedoborem żywności. Rząd w Berlinie o tym wie, obywatelom zaleca się więc pewne środki prewencyjne w zakresie obrony cywilnej, ale na wszelki wypadek odpowiedzialność za wyżywienie ludności w warunkach nagłego kryzysu jest cedowane na władze krajów związkowych.

A jeżeli zadanie to okazałoby się ponad siły landów, wtedy do akcji wkraczają rozwiązania federalne. Takowe istnieją (na zachodzie Niemiec) od lat 60., a ich założenia aktualizowano średnio co 10–15 lat. W latach 60. troska o rezerwy żywności i dbałość o ich utrzymanie wynikały z napięć zimnowojennych, na początku lat 90. koncepcję obrony cywilnej przygotowywano już nie z myślą o ewentualnym ataku ze Wschodu, lecz o klęskach żywiołowych. I miało to swoje uzasadnienie. Niemcy zaczęły nawiedzać coraz częściej powodzie odcinające część ludności od cywilizacji, zapasy żywności, świeżej wody pitnej oraz innych niezbędnych w czasach kryzysu rzeczy i sprzętów (świece, koce, leki, kochery etc.) okazywały się w takich sytuacjach zbawienne. W styczniu 2010 r. niż „Daisy” sparaliżował północną część kraju, śnieżycy uniemożliwiły komunikację, doszło do tysięcy wypadków drogowych, ludzie potrzebowali szybkiego wsparcia. I wtedy magazyny federalne otworzyły dla nich swoje podwoje. „Daisy” kosztowała niemiecką gospodarkę 1,245 mld euro, większość tej kwoty pochłonęły odszkodowania dla poszkodowanych. Odbudowa zniszczonych domów trwała jeszcze jakieś dwa lata. W Berlinie zrozumiano, że przygotowania na wypadek katastrofy muszą zostać jeszcze bardziej zintensyfikowane.

► Tajne spichlerze

Według danych Federalnego Ministerstwa ds. Żywnienia, Rolnictwa i Ochrony Konsumenta w 2010 r. w 100 magazynach rozlokowanych na terenie całych Niemiec (ich lokalizacja jest z obawy

przed kradzieżami pilnie strzeżoną przez rząd tajemnicą) składowano ponad 600 tys. ton zbóż, 65 tys. ton ryżu, 39 tys. ton soczewicy, 6 tys. ton mleka skondensowanego etc. Trwałość tych produktów oszacowano wówczas na dekadę, mleko co jakiś czas w porozumieniu i przy współpracy niemieckiej branży spożywczej regularnie podmieniano na nowe. W 2013 r. to samo ministerstwo mówiło już o 750 tys. ton zbóż magazynowanych nie w 100, ale 150 tajnych magazynach. Berlin trzyma rękę na pulsie. Ale sami Niemcy zdaniem rządu również powinni. W 2009 r. Klaus Müller z Ministerstwa Żywności przypominał na łamach prasy, że każdy jest zobowiązany do przetrzymywania w domu co najmniej 10 litrów wody pitnej w butelkach i 5 kilogramów mąki.

Kilka lat temu minister ds. rolnictwa Ilse Aigner zamierzała przełamać pewną monotonię kryzysowego menu i zleciła, by wzbogacić magazyny o mąkę, makaron i szybkie dania w konserwach. Aigner zwróciła uwagę, że samo składowanie ziarna nie wystarczy, ponieważ w wypadku braku prądu i tak trudno je będzie zemleć na mąkę. Nie wiadomo, czy rząd wziął sobie jej rady do serca, ale faktem pozostaje, że sieci handlowe zajmujące się produkcją i wysyłką żywnościowych pakietów survivalowych klientom indywidualnym posiadały tajemnicę urozmaicenia jadłospisu kryzysowego do tego stopnia, że w ofertach znajdziemy warzywa, owoce, sosy mięsne, „ekologiczną kielbasę”, a nawet czekoladę. I to taką, która przetrwa w nienaruszonym stanie niejednego z nas. Koszt 100-gramowej tabliczki to w przeliczeniu na złotówki około 13 zł. Dla jednych to droga fanaberia, dla innych – lokata nie gorsza niż srebrne monety. Kryzys weryfikuje pojęcie wartości.

► Tylko nie mówcie o pieniądzach

W 2016 r. wśród głównych, możliwych kryzysów wymagających podjęcia nadzwyczajnych środków obrony cywilnej Berlin wymienia zagrożenie terrorystyczne, a więc w domyśle również destabilizację kraju wynikającą m.in. z paraliżu elektrowni, wodociągów, instytucji finansowych, komunikacji i w końcu – sklepów. Kiedy bowiem łańcuszek wzajemnych zależności się domknie, puste półki sklepowe mogą się stać dla Niemców taką samą abstrakcją, jak u nas za PRL-u pełne. W dokumencie przedstawionym przez rząd federalny wymienia się dość szczegółowo potencjalne zagrożenia i zalecenia, jak sobie z nimi radzić. Media w mig podchwyciły temat zapasów żywnościowych i trudno się dziwić, jest on nomen omen najłatwiejszy do medialnej konsumpcji, wizja głodu zawsze robi ogromne wrażenie na odbiorcy, mobilizuje do szybkiej reakcji. I o tym wątku

było głośno. Do porządku dziennego natomiast przeszły media nad kwestią możliwej blokady wypłaty pieniędzy, wstrzymania świadczeń, a w dalszym etapie nadzwyczajnych środków reglamentacji euro zgromadzonych na kontach osobistych, firmowych, oszczędnościowych milionów mieszkańców Niemiec. Gdyby i ten punkt dokumentu doczekał się ogłoszenia, niemieccy konsumenci zapewne zastosowaliby się do zalecenia zakupu zapasów na 10 dni, tyle że przed szaleństwem na dziale spożywczym i drogerijnym zahaczyliby o swój bank, by wybrać zgromadzone na kontach euro. A następnie albo zainvestować je w złote czy srebrne płytki, które niczym cienkie tabliczki czekolady można dowolnie dzielić na mniejsze kosteczki i traktować jak środek płatniczy na czas kryzysu, albo w kawałek ziemi gdzieś w Kanadzie, ostatni krzyk mody wśród proroków rychłej katastrofy i załamania rynku walutowego w Europie.

Tak czy inaczej efekt byłby do przewidzenia. A trzeba podkreślić, że Niemców do dziś emocjonuje casus Grecji. Nie tylko dlatego, jak co rusz podkreślają, że „zapłacili z własnej kieszeni za ratowanie Aten”, lecz także ze względu na przeciwiczony w tym państwie na oczach całego świata scenariusz niewypłacalności banków i kilometrowych ogonków do bankomatów. A potem doszedł do tego jeszcze widok zrozpaczonych Greków, którym odmawia się wypłaty ich własnych pieniędzy w imię walki z kryzysem. Niemcy może i mają do Greków pretensje, a przekonani o swoim wrodzonym umiłowaniu do porządku i solidności bardzo chcieliby tych ekscentrycznych mieszkańców Południa wychować, ale fakt pozostaje faktem: nasi zachodni sąsiedzi zrozumieli, że w sytuacji, gdy wszystko się wali, reguły nie istnieją. Kapitał na tak zaprogramowanym katastrofizmie zbijają dziś w Niemczech prorocy rychłego upadku euro, triumfalnego powrotu marki niemieckiej 2 (która jest ich zdaniem od wielu lat drukowana w największej tajemnicy i tylko czeka na rozkaz do wymarszu z drukarni, by zastąpić euro), a kryzys migracyjny i będący jego pochodną kryzys wewnętrzny dodatkowo przyczyniają się do wzrostu popularności teorii rychłego załamania się rynków finansowych Europy i nieuchronnego zapanowania chaosu. A w kryzysie, mniejsza o przyczyny, szanse przeżycia wzrastają wprost proporcjonalnie do zapobiegliwości i środków posiadanych na poczet walki o byt. Grono takich zapobiegliwych Niemców z miesiąca na miesiąc się powiększa. To ludzie, których nie uspokajają pełne, rządowe magazyny żywności, ponieważ rozumieją, że zasobów w nich zgromadzonych w razie najgorszego starczy i tak najwyżej na kilka tygodni. A co potem? Właśnie. Potem tylko chaos i zrodzona z niego

przemoc. Tak kalkulują ci, którzy na własną rękę postanowili przygotować się na czarną godzinę, a których zaufanie do państwa, instytucji finansowych etc. umarło śmiercią naturalną wraz z kryzysem finansowym.

► Zakop tak, by nie ukradli

Są w Niemczech domy, gdzie scenariusze kryzysowe ćwiczy się od najmłodszych lat, cała rodzina czuwa nad odpowiednio zaopatrzoną spiżarnią, a w przydomowym ogródku zakopuje się złote sztabki. „Jak zakopujesz złoto, to musisz się trzymać pewnych zasad. Po pierwsze, pamiętaj, gdzie je zakopałeś, a po drugie, zamaskuj skrytkę ziemią wymieszaną z gwoździami, spinaczami etc. tak, by rabusie z detektorem metalu zniechęcili się, węsząc w twoim ogrodzie” – radził już w 2013 r. jeden z bohaterów reportażu niemieckiej telewizji ZDF. „To my się umówiliśmy, że pieniądź ma jakąś wartość. Jak przyjdzie wielki kryzys, to będą tylko świstki papieru. Mam w spiżarni 160 słoików miodu i jestem pewien, że jak przyjdzie wielka bieda, to prędzej ktoś wymieni się ze mną na coś, czego nie mam, za słoik miodu niż za pęk banknotów” – dodawał inny bohater reportażu, który chwalił się przed kamerami własną pasieką i magazynem zaopatrzonym nie gorzej niż niejeden supermarket. Cały program poświęcono preppersom, czyli ludziom (w wielkim skrócie rzecz ujmując) zabezpieczonym na wszelkie okoliczności, łącznie z wojną nuklearną, ludziom, którzy w swoje ręce biorą bezpieczeństwo bliskich i własne.

Preppersi nic nie pozostawiają dziełu przypadku, są żywym przykładem tego, że sentencja Johanna Wolfganga Goethego „Co gubi zawsze i wszędzie? Jakoś to będzie!” ich nie dotyczy. Nie jest to jednak grupa homogeniczna. Jedni od A do Z starają się być samowystarczalni. Jeżeli mają kawałek ziemi, sami ją uprawiają, a owoce pracy przerabiają na przetwory, które później są podstawą ich całorocznego wyżywienia. Ich domowe spiżarnie to istne magazyny, jakby człowiek przeniósł się w czasie do kuchni dworskiej i pomnożył jej bogactwo jeszcze pięć razy. Samowystarczalni preppersi nie chadzają do marketów, nie jeżdżą nigdzie, co nie wyszło spod ich ręki. W domach palą drewnem, niektórzy pozyskują energię z paneli fotowoltaicznych, inni już dawno zrezygnowali ze sprzętu AGD, zaprzysiężni się ze świecami, nauczyli na zapas żyć według scenariusza kryzysowego, ich dzieci nie znają telewizora, komputera, telefonu komórkowego. Bo i po co, skoro w razie katastrofy to wszystko i tak nie będzie działać. Najbardziej radykalni mieli ręcznie żołędzie na mąkę i kawę (po ich uprzednim, własnoręcznym zebraniu w lesie i wy-

plukaniu z garbników), zbierają jadalne kwiaty na sałatkę, a popularne ostatnimi laty smoothies przyrządzają ze świeżego jęczmienia i warzyw z własnego ogródka. Menu nie prezentuje się apetycznie, ale jest z pewnością zdrowe i co daje jego autorom największą satysfakcję – powstało bez udziału współczesnej technologii. I o to chodzi – poradzić sobie w każdych warunkach.

► Konserwowa polisa na życie

Zdecydowanie mniej radykalni preppersi zaopatrują się w sklepach takich jak Sicher Satt (polskie Pewnie do syta), oferujących zapuszkowaną żywność i sprzęty survivalowe. Ceny są tu mocno wygórowane, ale chętnych i tak wciąż przybywa. W 2011 r. po niespełna rocznej działalności firma odnotowała 500-procentowy wzrost obrotów! W sierpniu tego roku, po ogłoszeniu w Niemczech nowej koncepcji obrony cywilnej, sklep stał się istną mekką preppersów. Zainteresowanie szczególnie zapakowaną żywnością, która w dodatku ma tę zaletę, że jest różnorodna, bije wszelkie rekordy. Pomyślowi właściciele firmy wymyślili nawet „dziesięciodniowe pakiety żywieniowe” dedykowane specjalnie niemieckim obywatelom, którzy chcieliby akuratnie odpowiedzieć na zalecenia rządu. W takim pakiecie, wartym prawie 100 euro, znajdziemy śniadania, obiady kolacje i przekąski, wszystko próżniowo zapakowane, wystarczy dodać wodę i mamy jajecznicę albo otworzyć puszkę, podgrzać na kocherze i już jest zupa fasolowa z mięsną wkładką. Podobno zestawy sprzedają się jak ciepłe bułeczki, a od sierpnia sklep zwiększył obroty trzykrotnie. Sam pomysł przyszedł ze Szwajcarii, ojczysty mistrzów budowania przydomowych bunkrów i obrony cywilnej. Właściciele firmy to dwaj bracia, Stefan i Reto Schätti. Stefan, by zająć się „kryzysowym biznesem”, rzucił pracę w korporacji, Reto jest kucharzem dietykiem, to on opracowuje szczegółowo skład posiłków. W końcu w warunkach kryzysu żywność musi mieć odpowiednią kaloryczność. Firma powstała w 2010 r. pod Zurychem, dwa lata później bracia rozpoczęli ekspansję na rynek niemiecki. Dziś po zapuszkowany chleb i kurczaka w sosie curry zgłaszają się do nich klienci z całej Europy. Niektórzy wpadają tylko się rozejrzeć, a wychodzą z puszkami za kilkadziesiąt euro. Inni, zbici z tropu horrendalnymi cenami, zadowolają się małym pakietem próbnym, ale jeszcze tu wrócą. Wiadać, że połknęli bakcylię. Odłożą nieco grosza i złożą zamówienie, które da im poczucie dobrze wypełnionego obowiązku. Wobec rodziny, a może i zwierząt domowych, ponieważ dla kota i psa też przewidziano superjedzonko na czas ostateczny. Czar polisy żywnościowej działa. Nawet Mruczek się salapie. ■



tekst i zdjęcia

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Niebiańska rosa pod Gargano



Sami Włosi mówią
na Półwysep
Gargano „ostroga
Italii”. Ktoś mógłby
dodać – „Boska
ostroga”. To
bowiem niezwykle
ciekawe, że właśnie
w okolicy tejże
ostrogi Opatrzność
skomasowała aż
tak wielką liczbę
niezwykłości.
Chustę
z Manoppello,
objawienia Michała
Archanioła, cud
eucharystyczny
w Lanciano. Czy
wreszcie historię
życia pewnego
Włocha...

Jest lato 1887 r. Włoska miejscina na wschodzie Półwyspu Apenińskiego. Na mapach widoczna jako Pietrelcina. Małeńka, nieznana światu. Zamieszkała przez 3 tys. ludzi. Może nawet i mniej. W większości ubogich chłopów. Rolników, pasterzy. I kilku drobnych rzemieślników. Ludzi zamieszkujących szarokamiennie wąskie domki przylepione do wielkiej stromej skały.

Ta zaś wznosi się z początku łagodnie, by w części szczytowej, nabrawszy stromości, nagle, niczym urwisko, opaść mocno na drugą stronę w dół. Tworząc w ten sposób stumetrową przepaść. Sami mieszkańcy nazywają tę część skały „Castello”. To znaczy „zamek”. Zamek pełen wąskich uliczek, skalnych wawozów, labiryntów o fatalnej nawierzchni, utrudniającej dostanie się do własnej chaty. Chaty, znad której co rusz wychyla się jakiś skalny nawis grożący zawaleniem. Pietrelcina, skalne miasteczko. Zamkowe miasteczko.

Od kilku tygodni również miasteczko niewyspanych. Oto bowiem z jednej z szarokamiennych chat dzień w dzień, noc w noc słychać płacz dziecka.

– Nie! Już nie wytrzymam! Dooooość! – pomruk Grazio przeszywa krótką chwilę przerwy w dziecięcym szlochu.

– Gra... – pieszczotliwie uspokaja kochającego męża Giuseppa. Po chwili kolejny już raz cierpliwie bierze płaczącego syna na ręce i rozpoczyna z nim ich rytualny obchód domu. Dziecięca rozpacz powoli mija. – To przecież nie jego wina. Widocznie chce nam coś zakomunikować. A ty jakbyś to robił na jego miejscu, co?

– Na pewno nie rycząc 24 godziny na dobę – odpowiada, nie spoglądając nawet na uśmiechającą się do niego życzliwie żonę.

– Oj, Gra, Gra... I po co ta cała maska? Po co? – kobieta zawiesza sympatycznie głos. – Przecież dobrze wiem, jak mocno kochasz naszego Francesca. Już ja to dobrze wiem...

– Kocham miłością ojcowską. A ta ma prawo do gniewu – wybucha ponownie Grazio. Po chwili przeznaczonej na złapanie tchu dodaje: – No bo wytłumacz mi. Ileż można ryczeć?

Dalszą dyskusję przerywa kolejny płacz malca.

– Widzisz? Przestraszyłeś go tylko... – Giuseppa tym razem już się nie uśmiecha. Bierze syna i wychodzi na uliczkę.

Ta noc pod wieloma względami będzie wyjątkowa. W pogrążonej w ciemnościach Pietrelcinie mało kto jest w stanie zmrużyć oko. A już na pewno nie państwo Forgione. Jak co wieczór, po wspólnym odmówieniu Różańca, układają się do snu. Właśnie wtedy się zaczyna. Płacz malca jest intensywny jak nigdy dotąd. Tym razem nie pomaga już żadne noszenie w czułych ramionach matki.

– Pokaż no go! – rozkazuje groźnie zmęczony bezskutecznymi próbami zaśnięcia Grazio. – Toż to mały diabeł mi się urodził, a nie chrześcijanin!

– Co robisz?! Grazio! – wrzask matki tylko wzmacnia płacz małeńkiego Francesca.

– Zaraz zobaczysz!

Rozgniewany ojciec wyjmując owinięte w pieluszki dziecko i z furją rzuca je z powrotem na łóżko. Chłopczyk bezwładnie przetacza się przez całą jego szerokość i spada na podłogę po drugiej stronie.

– Zabijeś nam syna! – krzyczy zrozpaczona Giuseppa, biegnąc, by pochwycić leżące w milczeniu niemowlę.

Ojciec Pio – prawdopodobnie najpopularniejszy święty XX wieku

Po chwili uspokaja się. Małeńki Francesco nadal żyje. Mało tego. Na jego ciele nie ma żadnego śladu zadrapania. Od tej chwili nie będzie już płakać. A w Pietrelcinie znów przypomniał sobie, czym jest sen.

► Diabeł już wiedział

– Widziałem wtedy demony. Pełno potworów...
– Ojcie, jakich potworów? – dopytuje po latach Cleonica Morcaldi, jedna z duchowych córek swojego mistrza.

– W dzieciństwie. Kiedy moja mama gasiła światło, pojawiała się wokół mnie mnóstwo potworów i wtedy płakałem. Gdy na nowo zapalała światło, ja przestawałem płakać, gdyż potwory zniknęły. Ona więc gasiła światło, a ja znów zaczynałem płakać, bo widziałem potwory...

– I pamięta ojciec te wizje do dziś?

– Tak, bardzo klarownie.

Do tej samej nocy wróci po latach także sama matka. Któregoś dnia w przypływie szczerości powie:

– Synu mój, ile strachu mi napędziłeś tamtej nocy!

– Mamusi... – dorosły Francesco przytuli czule zmęczoną głowę kochanej matki. – Tamtej nocy to diabeł tak mnie męczył.

Tak. Diabeł dokładnie wiedział, z kim ma do czynienia. Wierzał i wariował od samego początku. Czyli od 25 maja 1887 r., gdy w małym domku przy Virco Storto Valle na świat przyszło małeństwo. Chłopczyk. Nazwany Francesco. Francesco Forgione. Po 23 latach znany już jako ojciec Pio. Z Pietrelciny.

Diabeł dobrze wiedział, że oto na ziemi pojawił się człowiek obleczony w nieziemską pokorę, wyposażony dodatkowo w niezwykłą, pochodzącą od Boga łaskę czynienia cudów, uzdrawiania, pomocy bliźniemu. Wiedział, że oto na włoskiej ziemi, w ubogiej chacie państwa Forgione na świat przyszło dziecko, które – jeśli mu w tym nie przeszkodzi od samego początku – stanie się jego wielkim i potężnym rywalem. Stąd wszystkie dziecięce walki młodego Francesco. Stąd niemowlęcy płacz. Stąd namacalne wizje goniących go groźnych psów. To wszystko okazało się jednak za słabe, by zniechęcić młodego chłopaka do pójścia za głosem serca. Był wyposażony we wszystko, co było mu potrzebne. Szedł więc wiernie. Aż doszedł do celu. 16 czerwca 2002 r. Kościół katolicki ogłosił ojca Pio, ubogiego i pokornego kapucyna z San Giovanni Rotondo, świętym. A tysiące ludzi odetchnęło z ulgą. Od tej pory mogło żyć w świadomości, że oświadczenie człowieka, który nie był „stad”, ale też człowieka, który namacalnie pokazał im, jak dostać się „stad”, „tam”. Liczba nawróceń dzięki wstawianictwu świętego już ojca Pio – jednego z najpopularniejszych świętych XX wieku – prawdo-



Na ubraniach zachowały się ślady krwi czy kosmki włosów przyszłego świętego

podobnie przekroczyła już miliony na całym świecie. A to dopiero początek.

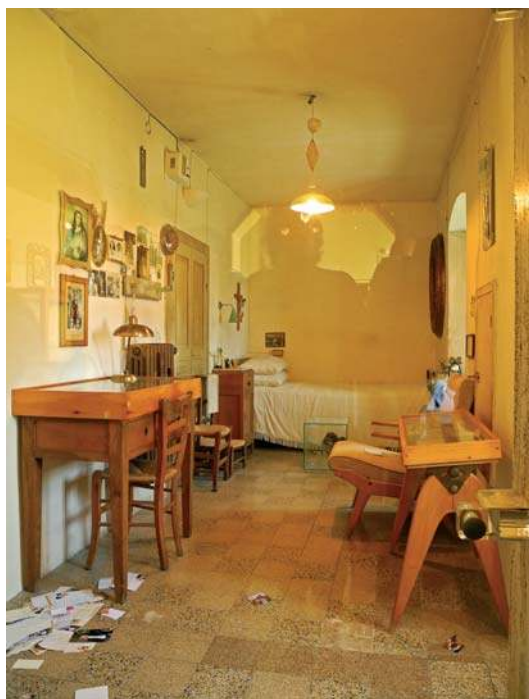
► Z notatek

Droga do powołania nie była jednak prosta. Ból, strach i niepewność. Piekierne wizje, szatański szantaż. Ze wszystkim tym musiał się zmierzyć przyszły święty. I to już za młodych lat. Sam zresztą o tym pisze. Świadek jego powołania i wyboru drogi opisuje w widzeniu, jakie miał otrzymać jeszcze w młodzieńczym wieku: „Pewnego dnia, gdy rozmyślałem nad swoim powołaniem i nad tym, jak zdecydować się na pożegnanie ze światem i na poświęcenie się w pełni Bogu w świętym kręgu klasztornym, dusza moja została w pewnej chwili oderwana od zmysłów cielesnych i przeniesiona w wymiar, w którym oczyma umysłu ogląda się rzeczy różne od tych, które można zobaczyć oczyma ciała. Oto u mego boku spostrzegłem pełnego majestatu mężczyznę o rzadkiej piękności, jaśniejącego niczym słońce. Ujął on moją rękę i powiedział: »Chodź ze mną, gdyż przyjdzie ci stoczyć bój z mocarnym wojownikiem«. Potem powiódł mnie na ogromne pole. Znajdowała się tam wielka rzesza ludzi. Byli oni podzieleni na dwie grupy. Z jednej strony zobaczyłem ludzi o pięknych obliczach,



Giuseppa i Grazio, czyli małżeństwo Forgione

okrytych białymi szatami, które lśniły niczym śnieg; z drugiej strony stała druga grupa i tam zobaczyłem ludzi o strasznym wyglądzie, odzianych w szaty czarne niczym ciemne chmury. Pomiędzy tymi dwiema licznymi grupami ludzi była wielka przestrzeń. Tam właśnie stanąłem, zaprowadzony przez mego przewodnika. Kiedy tak stałem, a dusza moja podziwiała te dwie grupy ludzi, nagle w środku tej przestrzeni, która je od siebie oddzielała, pojawił się człowiek tak niezmiernie wysoki, że czołem sięgał chmur... Na ten widok moja biedna dusza zadrżała i poczułem, że moje życie stanęło w miejscu. Dziwny człowiek zbliżał się coraz bardziej. Przewodnik, który cały czas stał obok mnie, powiedział, że to właśnie z tą istotą mam walczyć. Na te słowa moja biedna dusza pobladła, cała zaczęła się trząść i taki strach ją ogarnął, że już miała osunąć się w omdleniu na ziemię. Przewodnik jednak podtrzymał mnie, chwytając za ramię, a kiedy ta biedaczka, moja dusza, odrobinę przyszła do siebie po tym strachu, zwróciłem się do przewodnika z błaganem, aby oszczędził mnie i nie wydawał na łaskę furii tego dziwnego osobnika, gdyż nie jest tak silna, by obalić takiego przeciwnika, i nawet, gdyby wszyscy ludzie się zjednoczyli, ich siła nadal nie byłaby wystarczająca. »Daremnny jest twój opór, bo z nim przyjdzie ci się zmierzyć. Lecz nie lękaj się: przystąp do walki z ufnością, idź odważnie, gdyż ja będę tuż obok. Będę



Tutaj żył, tutaj umierał

cię wspierał i nie pozwoli, aby cię pokonał. W nagrodę twego zwycięstwa ofiaruję ci wspaniałą koronę, która ozdobi twoje czoło». Moja dusza, biedaczka, nabrała odwagi, śmiało zaczęła walkę z tą okropną i tajemniczą istotą. Starcie było straszliwe, ale dzięki pomocy przewodnika, który nie odstępował jej na krok, wreszcie pokonała go, pobiła, zwyciężyła, zmuszając do ucieczki. Wtedy przewodnik, wierny swojej obietnicy, wyjął koronę o tak nadzwyczajnej piękności, że próżno byłoby starać się ją opisać, a następnie włożył mi ją na głowę, lecz natychmiast zdjął, mówiąc: »Inna, piękniejsza jeszcze jest tobie przeznaczona, jeśli nadal będziesz tak dobrze walczył z tą istotą, którą przed chwilą pokonałeś. On zawsze będzie ponawiał ataki, aby odzyskać stracony honor: walcz z nim dzielnie i nie wąp w moje wsparcie. Miej oczy otwarte, ponieważ ta tajemnicza istota będzie chciała cię zaskoczyć. Niech nie przeraża cię jego upór ani jego straszna postać. Pamiętaj o mojej obietnicy, że zawsze będę obok ciebie, zawsze ci pomogę, tak abyś zawsze mógł go powalić« (Luigi Peroni, „Ojciec Pio”, Dom Wydawniczy „Rafael”, 2011 r.).

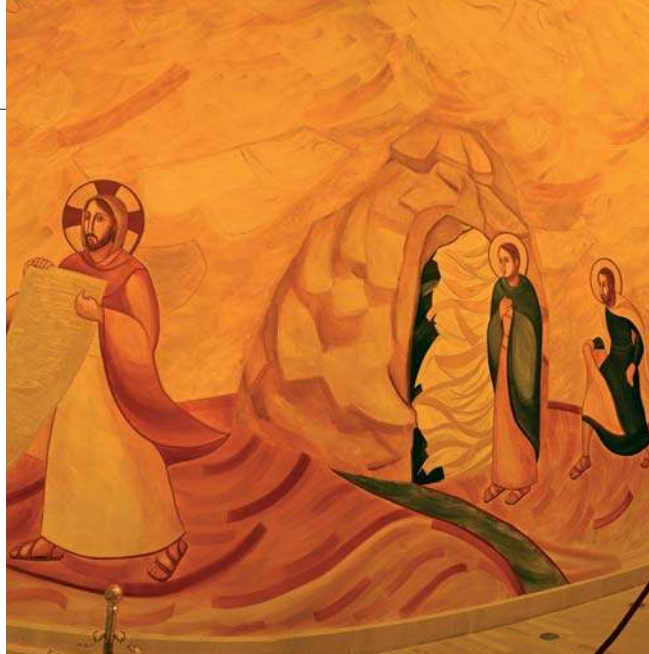
► Karta do klubu

– Oj tak... On jest naprawdę niesamowity... – uśmiecha się ojciec Zbigniew zagadnięty przez jedną z pań z kolejnej grupy pielgrzymkowej, którą przychodzi mu poprowadzić po ukończonym sanktuarium w San Giovanni Rotondo, gdzie od lat pracuje.

Jest kapucynem i przez kilka miesięcy w roku, rezydując we Włoszech, oprowadza pielgrzymów po miejscu życia i posługi św. ojca Pio. Ojciec Zbigniew mówi głośno i wyraźnie. Nie pomija żadnego szczegółu. Cierpliwie wysłuchuje każdego pytania. W trakcie opowieści co rusz wtrąca kolejne anegdotki z życia najpopularniejszego świętego XX wieku. Przemycając jednocześnie głębokie treści teologiczne.

– Ten sakrament ma niezwykłą moc. Docenimy to wreszcie. Nie odkładajmy na potem, na kiedyś – apeluje mocnym, zdecydowanym głosem do grupy, która właśnie skończyła mszę w małym kościółku. Tym samym, w którym większość życia służył św. ojciec Pio. – Kochany ojciec spędzał w tym konfesjonale całą godzinę. Słyszał z kategorycznego podejścia do grzechu. Kochał Boga, kochał ludzi. I pragnął dla nich jak najlepiej...

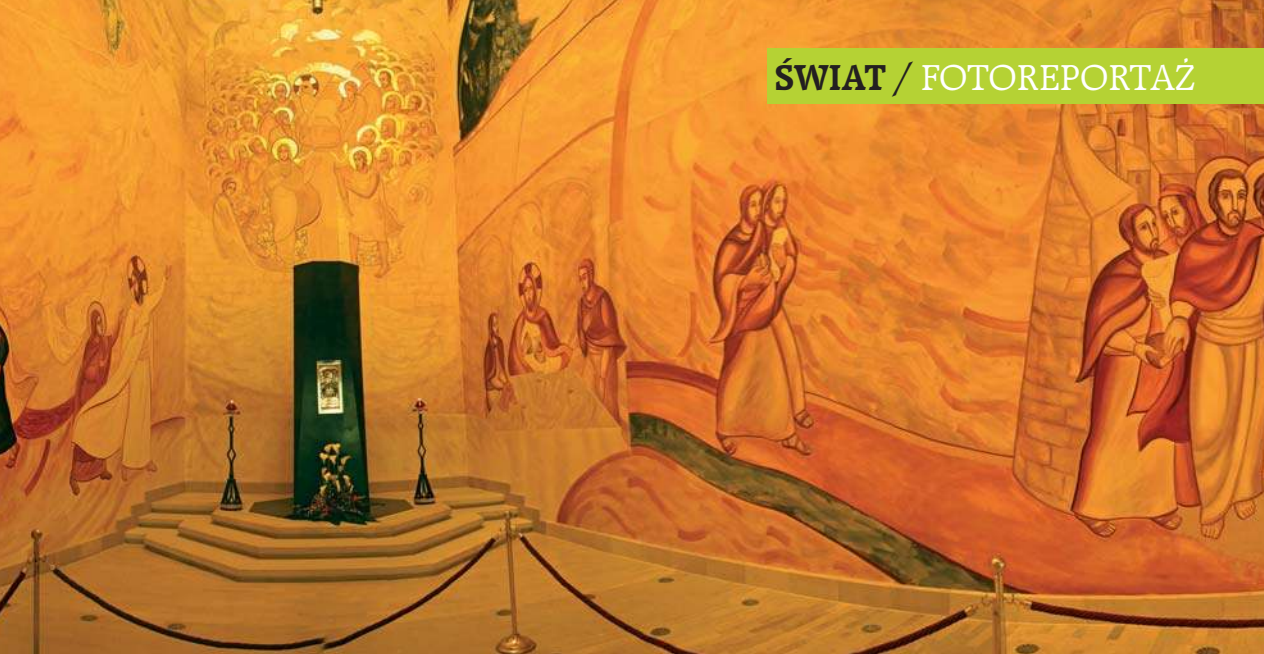
Ojciec Zbigniew wskazuje ręką na schowany za szklaną osłoną drewniany konfesjonał. U jego stóp dziesiątki karteczek. Każda z wypisaną prośbą, podziękowaniem, intencją. Prośbą o wstawiennictwo. W tym miejscu, przy tym kłęczniku przed konfesjonalem dokonywały się największe cuda w życiu ojca Pio. Cuda dziejące się w sercach kolejnych penitentów. Setki nawróceń, poruszone sumienia, zbawienia duszy.



„Nie ma takich pieniędzy, których nie warto byłoby wydać dla uwielbienia i chwały Boga” – zwykły mawiać św. Pio.

Któregoś razu pewien mężczyzna podczas spowiedzi zataił grzeszny stosunek z kobietą. Zamiast się przyznać, wyszeptał, że „przeżywa obecnie duchowy kryzys”. Ojciec Pio, nie patyczkując się zanadto, krzyknął przez kratki konfesjonalu: „Co to znaczy kryzys?! Jesteś brudną świnia! Idź stąd, ale już!”. Znane są świadectwa ludzi, z których wynikało, że przyszły święty miał dar widzenia grzechów spowiadających się u niego penitentów.

- Czy jest coś jeszcze? – zapytał innego.
- Nie, ojcie. To już wszystko.
- Czy jest coś jeszcze? – powtórzył pytanie ksiądz.
- Nie, ojcie.
- Czy jest coś jeszcze? – ojciec Pio zapytał po raz trzeci.



Do 2013 r. ciało św. Ojca Pio spoczywało w sarkofagu. Obecnie jest już wystawione na widok publiczny

Jak podają źródła, przy trzeciej negatywnej odpowiedzi zakonnik eksplodował jak huragan. Z głosem Ducha Świętego ojciec Pio ryknął:

– Odejdź! Odejdź! Jesteś niereformowalny z powodu swoich grzechów!

Zdumiony mężczyzna zapłonął wstydem. Za nim w kolejce stało bowiem mnóstwo ludzi (z czasem doszło do tego, że aby wypowiadać się u ojca Pio, trzeba było mieć bilet, który regulował kolejkę). Gdy otworzył usta, aby powiedzieć coś jeszcze, ojciec Pio przerwał mu:

– Bądź cicho, gawędziarzu. Dosyć się nagadałeś, teraz ja chcę mówić. Czy to prawda, że chodzisz na dyskoteki?

– Tak, ojciec...

– A czy wiesz, że taniec jest zaproszeniem do grzechu?

Dopiero wówczas mężczyzna przyznał w duchu, że nosi w portfelu kartę członkowską jednego z klubów.

► Muzealne rekolekcje

Ojciec Zbigniew wprowadza grupę do niewielkiej jasnej sali pokrytej drewnem. W części środkowej przy wejściu w szklanych gablotach wystawiono stulę i nakrycia liturgiczne, w których ojciec Pio celebrował Najświętszą Eucharystię. Są też bandaż, którymi przykrywał krwawiące rany na dłoniach – dar, jaki otrzymał podczas modlitwy pod niewielkim drewnianym krucyfiksem na chórze w starym kościełku. Na bandażach widać wyraźne ślady krwi.

– Widzicie te półki? – kapucyn pyta zebranych, wskazując na liczne sterty papierów powkładane misternie

na drewniane półki otaczające pomieszczenie. – Wiecie, co to jest?

– Zapiski ojca Pio?... – zgaduje ktoś nieśmiało.

– Nie, listy, jakie otrzymywał każdego dnia. A właściwie ich część. Wszystkich nie sposób było tu umieścić. Ojciec Pio otrzymywał ich setki tysięcy.

– Niezwykły człowiek...

– No dobrze, drogie panie. A teraz pytanie do was – wysoki kapucyn na chwilę zmienia ton na bardziej poważny. – Ile z was przymyka oko na wnuków, którzy żyją ze swymi dziewczynami pod jednym dachem? Tak szczerze...

– ... – w sali zapada głęboka cisza.

– Lubimy słuchać o św. ojcu Pio. Zachwycamy się jego cudami. Oszałamia nas liczba listów, jaką otrzymywał. Wszystko w porządku. Ale macie świadomość, z jaką zapalczywością ten święty człowiek walczył każdego ranka podczas spowiedzi o zbawienie swoich penitentów?

– Ma ojciec rację... – wymyka się komuś. Jakby dołknętemu tymi słowami.

– To nie jest tak, że chcę was teraz pognać. Ale zastanówmy się nad naszą wiarą, kochani. Bo albo wierzymy, albo nie. Nie bądźmy letni.

Po krótkiej nauce ojca już dobrze wiem, jak pojętym jest on uczniem swojego mistrza. Jak dobrze wykorzystał czas, jaki był mu dany podczas pobytu tutaj, w San Giovanni Rotondo. Swoich słuchaczy nie zabawa wyłącznie ciekawymi dykteryjkami o życiu świętego stygmatyka z Pietrelciny. Owszem, w jego historiach pojawia się mnóstwo niezwykłych historii dotyczących cudów świętego. Ale nie to jest w jego


Malownicza Apulia

historii najważniejsze. Ten kapucyn chce, aby pielgrzymka do grobu św. ojca Pio była rzeczywiście przemianą. Przemianą myślenia. Przemianą postawy. Przemianą serca. A takie przemiany zazwyczaj muszą boleć. Każdego. Bez wyjątku.

Myślę, że św. ojciec Pio byłby z niego dumny.

► 36 różańców dziennie

San Giovanni Rotondo. Plac Santa Maria delle Grazie. Niewielki kościółek przyklejony jest prawą nawą do większej świątyni. Tę większą wybudowano pod koniec życia ojca Pio. To jednak w mniejszym kościółku sprawował większość sakramentów. Po lewej stronie od wejścia widać niewielką bramę prowadzącą na zamknięte tereny przyklasztornego ogrodu. Ojciec Pio od czasu do czasu zwykł tam spacerować. Na odpoczynek nie miał jednak za dużo czasu. Wręcz przeciwnie. Rytm jego dnia wyznaczała służba. Wstawał punktualnie o 3:30 w nocy. Modlił się, pościł, sprawował poranną Eucharystię, spowiadał... Jako pierwszy pojawiał się na chórze w godzinach przeznaczonych na recytację mszy i jako ostatni wychodził. O zajętości ojca Pio dobrze świadczy pewna scenka.

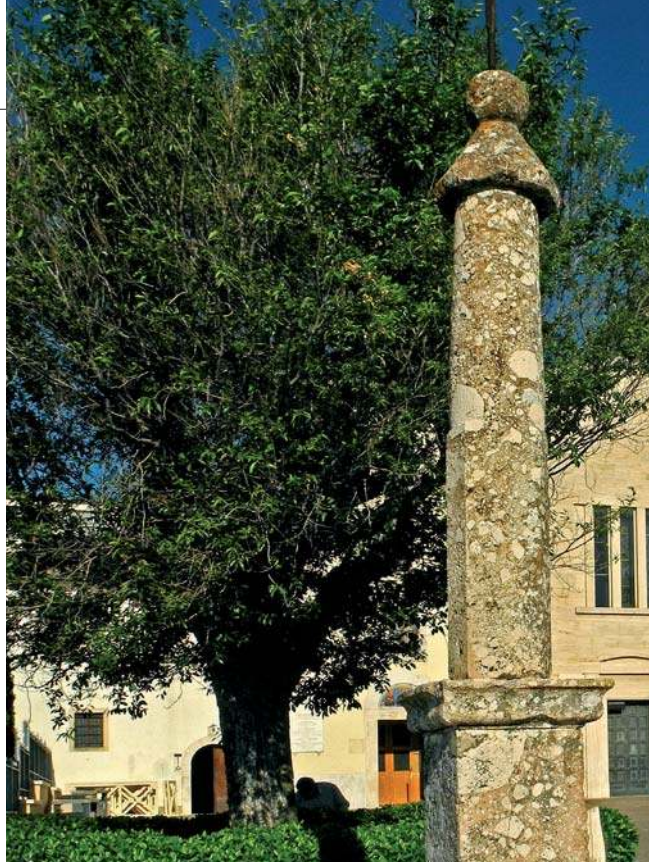
Miała ona miejsce w jego celi klasztornej pewnego lutowego wieczoru 1954 r. Przełożony klasztoru, ojciec Carmelo, zajrzał wówczas przez uchylone drzwi do środka, chcąc życzyć ojcu Pio dobrej nocy.

– Ja też się już kładę. Muszę tylko zmówić jeszcze dwa różańce. No, dwa i pół...

– Ojciec... – zawahał się z pytaniem brat Carmelo. – Proszę mi się przyznać, ile razy zmówił dziś ojciec różaniec?

– No cóż! Mojemu przełożonemu muszę powiedzieć prawdę – westchnął z żartem przyszły święty. – Dziś zmówiłem 34 razy.

– Ale jak? Jakim sposobem?


Po lewej stary kościółek w San Giovanni Rotondo. Po prawej większy kościół wybudowany

– A to już nie ojca sprawa.

A zatem 34 różańce plus 2... To daje w sumie 36 różańców. Zazwyczaj ojciec Pio odmawiał różaniec ponad 30 razy dziennie. Po licznych dyskusjach w kościelnych kręgach dochodzone do wniosku, że nie jest to w ludzkiej mocy. Pomijając fakt, że zakonnik robił w tym czasie również inne rzeczy...

Warto jednak zaznaczyć, że czas zakonnika był jednak mierzony nieco inaczej niż czas zwykłego śmiertelnika. Przecież tak wielu chciało się z nim spotkać. Tak wielu chciał pomóc. Nie było więc innego sposobu jak...

Wedle samego zakonnika pierwszy raz stało się to wieczorem 18 stycznia 1905 r. Ojciec Pio modlił się razem z bratem Anastasio na chórze. Nagle ojciec Pio – jak sam potem wspominał – znalazł się w domu pewnej zamożnej rodziny. W tym samym czasie umierał gospodarz domu, a na świat przychodziła jego córka. Wtem objawiła mu się Matka Boża, tłumacząc, że chce, aby zajął się on tym „malutkim klejnotem”. Podobnych sytuacji było w życiu świętego kapucyna więcej.

Działo się to jesienią 1917 r. Głównodowodzący włoskiej armii, generał Luigi Cadorna, przeżywał klęskę pod Caporetto zadaną przez Niemcy i Austro-Węgry. Gdy decyzją dowództwa został zastąpiony przez innego generała, postanowił odebrać sobie życie. I właśnie



jeszcze pod koniec życia św. Ojca Pio

wówczas w mdłym świetle lampy naftowej, gdy nabijał swój pistolet, skrzypiąc otwały się drzwi do jego pokoju, ukazując mu postać zakonnika. Powiedział generałowi, że przybywa przysłany przez Boga, po czym zniknął. Cadorna nigdy więcej nie ważył się pomyśleć o samobójstwie. Zaś rok później, gdy odwiedzał San Giovanni Rotondo, zainspirowany nagłówkami włoskich gazet piszących o „cudownym zakonniku obdarzonym stygmatami”, wmiszał się w tłum otaczający przechodzącego ojca Pio. Gdy zobaczył zakonnika, od razu go poznał. To był ten sam człowiek, co w widzeniu. Generał pozostał jednak nieporuszony. Wtedy to kapucyn podszedł i z uśmiechem na ustach wyszeptał: – Generale, ale mieliśmy wtedy paskudną noc...

Jeszcze inny generał, tym razem amerykański, zapragnął sprawdzić, dlaczego alianckie samoloty, które otrzymują rozkaz zbombardowania niemieckich magazynów amunicji zlokalizowanych w pobliżu San Giovanni Rotondo, za każdym razem zawracają. Piloci tłumaczyli to pojawiającą się na niebie zjawą zakonnika, który nie dopuszcza do zrzucenia bomb i zawraca samoloty. Generał Bernardo Rossini wyruszył więc osobiście na czele kolejnej eskadry. Jakież było jego zdziwienie, gdy, będąc blisko celu bombardowania, nagle zauważył na wysokości lecących samolotów postać zakonnika ze

wzniesionymi rękami. W pewnym momencie we wszystkich samolotach bomby samoczynnie się odczepiły, spadając na okoliczne lasy. Podobnie jak w przypadku generała Cadorna, tak i tutaj po latach doszło do spotkania duchownego z wojskowym. I znów ojciec Pio podszedł do generała i kładąc mu rękę na ramieniu, powiedział: – To ty chciałeś nas wszystkich wysadzić w powietrze...

Rozmawiali długo. I nie przeszkadzało im to, że ani ojciec Pio nie znał angielskiego, ani generał Rossini włoskiego. Opatrzność sprawiła, że także i to nie było problemem w kontaktach z pokornym zakonnikiem z San Giovanni Rotondo. Po tych rozmowach generał, do tej pory protestant, przeszedł na katolicyzm.

► Wskazówka

– Za chwilę staną państwo przy ciele świętego ojca Pio. Włosi mają zwyczaj dotykania szyby, zza której widać zabalsamowaną twarz zakonnika. Zróbmy i my podobnie... – wyjaśnia ojciec Zbigniew, przykładając jednocześnie palce do ust na znak ciszy.

Wchodzimy do miejsca spoczynku świętego. Od razu oslepia nas jasność złotej posadzki, jaką wysadzany jest strop pomieszczenia. – Wystarczy jedna zapalka, aby w sali stało się widno. Rozumiecie ten symbol? Rozumiecie, prawda?

Ludzie w milczeniu twierdzą, kiwają głowami. Nie chcą już rozmawiać. Są bardzo skupieni. Część wręcz wzruszona. Jakaś pani wyjmuje różaniec. Będzie nim pocierać o szklaną kapsułę, w której pochowany jest jej ukochany święty. Wszystkie historie stają się w tym miejscu nieważne. I te o stygmatach świętego. I te o biłokacji. O celebrowanych przez ponad trzy godziny Mszach świętych, w których ojciec Pio rzeczywiście widział wszystko tak, jak to się odbywa naprawdę. Historie o kilometrowych kolejkach penitentów czekających na spowiedź u ojca. O innym dziele jego życia, jakim jest najnowocześniejszy na świecie szpital dla ubogich: Dom Ulgi w Cierpieniu. O mądrości jego świadectwa. Tutaj, w krypcie, o tym wszystkim już się nie myśli. Tutaj po dotknięciu szyby można przyklęknąć. Jest sporo miejsca. I rzeczywiście zapragnąć bycia świętym. Bo przecież tylko tacy dojdą do upragnionego celu. Same wskazówki, jak to zrobić, zostawił nam sam ojciec Pio. – Smak modlitwy nie jest wodą tryskającą z ziemi, lecz z nieba. [...]. Trzeba mieć serce otwarte w stronę nieba i stamtąd oczekiwać niebiańskiej rosy.

Mam nieodparte wrażenie, że trawa na pastwiskach wokół San Giovanni Rotondo jest dziś dziwnie wilgotna. Ufam, że taka już pozostanie. ■

Podczas opracowywania tekstu korzystałem z książki Luigi Peroniego, „Ojciec Pio”, Dom Wydawniczy „Rafael”, 2011.

Olga Doleśniak-Harczuk



Berliński cios dla Merkel

Porażka chadeków w ostatnich wyborach do berlińskiej Izby Deputowanych słusznie została odebrana przez komentatorów jako wyraz niezadowolenia z polityki migracyjnej Angeli Merkel i jej zaplecza politycznego. Berlin ze swoim mitycznym multikulturalizmem, ten wielonarodowy tygiel zawieszony między turystycznym „Alekssem” a artystycznym Kreuzbergiem, snobistycznym Charlottenburgiem a kryminalnym Weddingiem, ukarał swoją kanclerz za jej hipertolerancję.

Nie, to że w stolicy Niemiec rządy przejęli czerwoni z zielonymi, nie jest żadnym powodem do radości. Z deszczu pod rynnę – można by powiedzieć. Socjaldemokraci, postkomuniści i arbuzowe towarzystwo Zielonych w jednej koalicji nie wróży nic dobrego. Tyle że dla milionów Niemców, nie tylko berlińczyków, koalicja SPD z chadekami również nie należała do zadowolających. Zwłaszcza że temat numer jeden w państwie, czyli tzw. kryzys migracyjny, ma dla tych ludzi twarz Angeli Merkel. Jej „damy radę” już nikogo nie przekonuje.

Socjaldemokraci robili wszystko, by odium winy za imigracyjną katastrofę przypadkiem nie spadło i na nich. Niby współrządzą Niemcami na szczeblu federalnym, ale dystansują się od polityki Merkel, puszczają oko do wyborców, dając im pośrednio do zrozumienia: „my tu tylko sprzątamy”. Ten manewr się najwidoczniej udał. W ostatnich wyborach do Izby Deputowanych niemieckiej stolicy, SPD mimo żalosnego (w porównaniu ze wszystkimi dotychczasowymi wyborami) wyniku, ocaliło skórę. Chadekom już to się nie udało.

► **Sen o podróży w czasie**

Nazajutrz po wyborach kanclerz uderzyła się w piersi, zapewniając, że gdyby mogła cofnąć czas, to by to uczyniła. – Sytuacja jest nerwowa, ale nie możemy cofnąć czasu. Myślę, że gdyby Angela Merkel mogła się teraz cofnąć do początków 2015 r., to zachowałaby się zupełnie inaczej – mówił na początku sierpnia na łamach „Gazety Polskiej” prof. Joachim Krause, politolog, dyrektor Instytutu Polityki Bezpieczeństwa Uniwersytetu w Kiel. Słuszność tej prognozy, jak widać, potwierdziła sama kanclerz. Niemcy bowiem wcale „nie dają rady”. Szkoda, że Merkel musiała dojść do ściany, by się o tym przekonać. Nawet najmocniejsze bicie się w piersi na takim etapie zaawansowania może co najwyżej wzbudzić odruch politowania. A nieumiejętność przewidywania pewnych scenariuszy w przypadku kobiety, która – jakkolwiek by spojrzeć – została politykiem, odebrała bar-

Willkommenskultur. Najbliższe miesiące pokażą, czy zostanie jej to wybaczone.

► **Musi odejść?**

Póki co nie ustają spekulacje, czy Merkel powinna jeszcze raz ubiegać się o stołek kanclerski w przyszłych wyborach. Bernd Ulrich, wicenaczelný tygodnika „Die Zeit”, jest przekonany o tym, że powinna. Jego zdaniem Merkel, decydując o otwarciu granic, podjęła decyzję na miarę zjednoczenia Niemiec, a takie ustalenia muszą zyskać akceptację narodu. Wybór Merkel na czwartą kadencję świadczyłby o tym, że Niemcy popierają jej politykę migracyjną, co byłoby jednoznaczne z jej ogólnonarodową legitymizacją. Tak to sobie wymyślił Ulrich. Pokrętna ta logika. Merkel mogła od razu zapytać naród, czy chce milionów imigrantów, referendum nie wchodziło oczywiście w grę, ale dla tzw. świętego spokoju

PÓKI CO SONDAŻE NIE SĄ DLA MERKEL ŁASKAWE. Z OSTATNIEGO, PRZEPROWADZONEGO PRZEZ INSTYTUT BADANIA OPINII PUBLICZNEJ TNS EMNID, WYNIKA, ŻE 58 PROC. ANKIETOWANYCH NIE UWAŻA, BY MOGŁA JESZCZE ODZYSKAĆ ZAUFANIE WYBORCÓW.

dzo staranne wykształcenie w naukach ścisłych, poraża. Nie tylko zresztą poraża. Wzbudza poczucie, że ktoś do końca nie mówi prawdy albo usiłuje gorączkowo odzyskać teraz zaufanie wyborców, grając pod publiczke. Póki co sondaże nie są dla Merkel łaskawe. Z ostatniego, przeprowadzonego przez Instytut Badania Opinii Publicznej TNS Emnid, wynika, że 58 proc. ankietowanych nie uważa, by mogła jeszcze odzyskać zaufanie wyborców. To się oczywiście może jeszcze zmienić. Frauke Petry, szefowa coraz mocniej reprezentowanej w landtagach prorosyjskiej Alternatywy dla Niemiec, dzielnie walczy o sympatię swoich rodaków. Trudno sobie mimo wszystko wyobrazić, by zdołała ich oczarować tak jak wcześniej Merkel. A z drugiej strony, równie nieprawdopodobne jest to, że kilkanaście lat temu pozbawiona charyzmy Angela, tak różna od Helmuta Kohla, nie dość, że zajęła jego miejsce, to jeszcze wymościła sobie miejsce o wiele ważniejsze – w sercach samych Niemców. Warto pamiętać, że ta sielanka trwała naprawdę długo. I nie zmałyły jej ani demaskatorskie książki, ani liczne świadectwa poranionych przez Merkel chadeków, których bez mrugnięcia okiem pozbywała się z partii, gdy za bardzo urosli. Cień na Mutti padł w momencie, gdy zaryzycykowała bezpieczeństwo swojego państwa w imię

kanclerz mogła chociaż zaordynować swoim rodakom jakiś specjalny sondaż. I wszystko byłoby jasne. Ale wicenaczelný „Die Zeit” ma jeszcze w zanadru inne argumenty za kolejną kadencją Merkel. „Ona jest niczym pokrywka gorącego garnka” i jako jedyna jest w stanie stłumić emocje wynikające z wojenki podjazdowej frakcji chadeckich modernistów z CDU i tradycjonalistów z CSU. Bez niej wszystko by się rozpadło – pisze publicysta. Podobnie jak porządek międzynarodowy w Europie – bo według Ulricha to nikt inny jak kanclerz Niemiec dba o równowagę sił na Starym Kontynencie. „coraz bardziej opanowywanym przez populistów”. Zgoda. Merkel trzyma w ryzach CDU/CSU i ma ogromny wpływ na politykę europejską. Pytanie tylko, czy rzekome dbanie o równowagę nie zamyka się wyłącznie we frazesach? Przecież wszystko rozbiło się właśnie o to, że pani kanclerz tę równowagę naruszyła swoją samowolną polityką migracyjną, a potem bulwersowała się „niesolidarną” postawą rządów państw, które odmówiły ponoszenia kosztów tej lekkomyślności. Nie można leczyć dżumy cholerą. A nawet przy całej niechęci do AfD warto pamiętać, że to nie Frauke Petry robiła sobie selfie z imigrantami. Petry tylko skorzystała z okazji i wskoczyła w niszę wydrążoną przez szefową CDU. ■

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, ale są ważne.

► Chiny

W połowie września w wiosce Wukan, położonej na południu Chin, w prowincji Guandong, doszło do starć mieszkańców z policją. Zatrzymano około 70 osób.

Protesty w liczącym 13 tys. mieszkańców Wukan trwają już od czerwca, kiedy to aresztowano wybranego w demokratycznych wyborach przewodniczącego rady gminnej Lin Zuluana. Lin, któremu postawiono zarzuty korupcji, przyznał się do winy publicznie w programie nadanym w państwowej stacji CCTV. Nie jest to jedyny przypadek w Chinach, gdy władze prezentują w telewizji zeznania niewygodnej dla siebie osoby. Podobną taktykę zastosowano chociażby w przypadku prawnika Zhang Kaia, który niósł pomoc prześladowanym w ChRL chrześcijanom. W lutym tego roku Zhang w nadanym przez telewizję wyznaniu winy stwierdził m.in., że prowadził działania zagrażające bezpieczeństwu Chin.

Taka metoda rozprawiania się z opozycją stosowana przez prezydenta Xi Jinpinga przypomina chińskim internautom publiczne przyznanie się do winy z okresu rewolucji kulturalnej (od 1966 r. do nawet 1976 r.). Mało kto w Państwie Środka wierzy w te telewizyjne pokazy. Nie wzięli ich też na serio mieszkańcy wioski Wukan i w czerwcu rozpoczęli protest, domagając się uwolnienia i przywrócenia na stanowisko Lin Zuluana.

We wrześniu po ogłoszeniu wyroku na Lina (otrzymał 37-miesięczny wyrok więzienia) władze skierowały do wioski około 10 tys. policjantów. To oni 13 września zaatakowali protestujących, używając gumowych kul, grantów hukowych i gazu łzawiącego. Mieszkańcy odpowiedzieli cegłami. Przez kilka następnych dni policja przeszukiwała domy w Wukan w poszukiwaniu demonstrantów i dziennikarzy.

W trakcie starć policja zatrzymała pięciu dziennikarzy z Hongkongu. Podczas przesłuchań zostali oni poinstruowani, że jakiegokolwiek relacje z zajęć w wiosce są nielegalne. Jeszcze tego samego dnia dziennikarze zostali odesłani do Hongkongu.

Władze twierdzą, że w zamieszkach nie było ofiar śmiertelnych, ale media w Hongkongu piszą na przykład o Qian

Xiuyin, 83-letnim mieszkańcu Wukan, który wie, że jego wnuczka była poważnie ranią kulką gumową i nie wiadomo, gdzie się znajduje.

Wioska Wukan jest często określana jako kolebka oddolnej demokracji w Chinach. W 2011 r. doszło tu do protestów przeciwko skorumpowanym urzędnikom, którzy nielegalnie przejmowali ziemię. Sytuacja zaostriżyła się po śmierci – w niewyjaśnionych okolicznościach w policyjnym areszcie – jednego z demonstrujących. Mieszkańcy odcięli wtedy miejscowość od świata, wznosząc barykady na drogach dojazdowych. Wtedy to władze ustąpiły i zezwoliły na wybory do rady gminnej w 2012 r. Były to pierwsze w historii Chin Ludowych lokalne wybory demokratyczne. Wybrano siedmiu członków rady gminnej i jej przewodniczącego. Szefem rady został 68-letni wówczas Lin Zuluan.

Odnosząc się do ostatnich zamieszek w Wukan, dziennik KPCh „Global Times” pisał, że większość mieszkańców wioski jest „spokojna”, a do chaosu doprowadziła tylko „szukająca kłopotów mniejszość”, często „podjudzana przez zagraniczne media”. W kontrolowanych przez partię mediach próbuje się wykorzystać zamieszki w Wukan jako dowód na to, że demokracja nie jest odpowiednim modelem dla Chińczyków. „Dla Xi Jinpinga model działający w Wukan jest niebezpieczny i musi być zdławiony i zdyskredytowany” – czytamy w komentarzu, jaki ukazał się na łamach hongkońskiego portalu Hong Kong Free Press.

► Korea Północna

Koreańska Centralna Agencja Prasowa (KCNA), jedyna oficjalna północnokoreańska agencja informacyjna, podała, że setki tysięcy ludzi zginęły, a dziesiątki tysięcy zaginęły w wyniku powodzi. Były one wynikiem tajfunu, jaki nawiedził Koreę Północną pod koniec sierpnia tego roku. Wiele domów, dróg i mostów zostało zniszczonych, zwłaszcza w graniczącej z Chinami prowincji Północny Hamgyong.

Po raz pierwszy w historii KCNA podała liczbę osób pozbawionych domów w wyniku katastrofy. Oficjalnie jest to 68 900 ludzi. ONZ uważa, że są to dane zaniżone prawie o połowę.

Władze zarządziły mobilizację ludności z regionów nie dotkniętych tragedią w celu pomocy ofiarom powodzi. To stało się w rzeczywistości masową deportacją, ponieważ przemieszczono w ten sposób około 100 tys. Koreańczyków.

Według południowokoreańskiego portalu Daily NK skłama mobilizacji świadczy o tym, że reżim stara się robić, co może, aby nie dopuścić do wybuchu gniewu obywateli, jako że wszystkie finanse państwa idą na rozwój broni jądrowej i nie zostaje już nic na pomoc ludności w przypadku klęsk żywiołowych.

Agencja KCNA nazwała powódzie „najgorszą tragedią”, jaka spotkała Koreę od momentu klęski żywiołowej w 1945 r., i ogłosiła, że wprowadzono program „200-dniowej walki”, czyli ratowania i odbudowywania prowincji Północny Hamgyong.

Tajfun i powódzie zniszczyły wiele upraw ryżu, a w prowincjach na północy kraju pierwszy śnieg i mrozy mogą pojawić się za miesiąc. Regionom dotkniętym klęską żywiołową grozi więc też klęska humanitarna.

Rozmiar tragedii i brak pieniędzy na akcję ratowniczą nie powstrzymał Kim Dzong Una od przeprowadzenia 9 września kolejnej, już piątej, próby jądrowej o największej dotąd sile wybuchu. Północnokoreański reżim poinformował, że przeprowadził próbną „eksplozję głowicy jądrowej” w ramach odpowiadzi na „wrogie akty Stanów Zjednoczonych”.

► Japonia

Walkę o stanowisko przewodniczącego lewicowej Partii Demokratycznej (PD), największego ugrupowania opozycyjnego w Japonii, wygrała 48-letnia była modelka i dziennikarka Renho Murata. Urodzona w Tokio, jako dziecko nosiła chińskie imię i nazwisko Hsieh Lien-fang i miała obywatelstwo Tajwanu (Republiki Chińskiej), jako że stamtąd pochodzi jej ojciec. W 1985 r. przyjęła także obywatelstwo mamy – Japonki – i stała się Renho Muratą. Gdy lewica rządziła Krajem Kwitnącej Wiśni w latach 2010–2012, Renho piastowała m.in. stanowisko ministra ds. konsumentów i bezpieczeństwa żywności. Dziś jest deputowaną w Izbie Wyższej Zgromadzenia Narodowego i zażartym krytykiem polityki gospodarczej premiera Shinzo Abe.

W trakcie walki o stanowisko przewodniczącego swojej partii Murata musiała stawić czoła oskarżeniom o podwójne obywatelstwo. W Japonii posiadanie podwójnego obywatelstwa jest zakazane. Każdy, kogo przynajmniej jeden z rodziców jest cudzoziemcem, musi do 22 roku życia wybrać, czy chce być obywatelem Japonii, czy kraju swojego rodzica. Renho Murata twierdziła, że gdy miała 17 lat, jej ojciec pomógł jej zrzec się tajwańskiego obywatelstwa. Jednak w czasie kampanii oponenci Renho walczący o stanowisko przewodniczącego PD sprawdzili, że na Tajwanie nie ma żadnego dokumentu stwierdzającego, iż Murata zrzekła się obywatelstwa kraju swojego ojca.

Japońska polityk przeprosiła za niedopatrzanie i obiecała, że w najbliższym czasie dopełni wszystkich formalności

koniecznych do zrzeczenia się obywatelstwa Tajwanu (Republiki Chin). Skandal jednak nie przeszkodził Renho w zwycięstwie.

Po wyborze na stanowisko przewodniczącej PD Murata stwierdziła, że chce odbudować zaufanie, jakie socjaliści utracili wśród wyborców po ostatnich nieudanych rządach. „Wzywam każdego, aby przyłączył się do mnie, byśmy razem tworzyli partię, która nie tyle krytykuje, co przedstawia swoje propozycje [...]”, która pewnego dnia stanie się wyborem Japonii – mówiła japońska polityk. Renho poprowadzi socjalistów do wyborów parlamentarnych w 2018 r., a zwycięstwo w nich gwarantowałoby jej stanowisko premiera Japonii.

Wybór kobiety, a także Japonki o tajwańskim pochodzeniu, na liderkę jednej z czołowych partii w tym kraju przedstawiany jest jako oznaka ewolucji w sferze polityki w Kraju Kwitnącej Wiśni.

Tylko 3,4 proc. dzieci urodzonych w Japonii w 2014 r. miało jednego z rodziców cudzoziemca. Takie osoby nazywane są w Kraju Kwitnącej Wiśni „hafu” (od angielskiego słowa „half” tzn. połowa). Jeśli jeden z rodziców hafu jest biały, to takie dzieci często z powodu jaśniejszej skóry uważane są za ładniejsze i w przyszłości mogą odnieść sukces w przemyśle rozrywkowym. Kariera polityczna dla hafu jest nadal prawie nieosiągalna. Do niedawna trudno też było rozbić szklany sufit kobietom marzącym o polityce. W ostatnim okresie jednak Japonki zajmują coraz bardziej eksponowane pozycje w tej dziedzinie. Poza sukcesem Renho Murata kariery budują także panie polityk po prawej stronie. m.in. Tomomi Inada, minister obrony w konserwatywnym rządzie premiera Shinzo Abe, a także Yuniko Koike, pierwsza kobieta, która niedawno została burmistrzem Tokio.

► Tajwan–USA

14 września rozpoczął działalność w Waszyngtonie tajwański think tank The Global Taiwan Institute (GTI). Jest to pierwszy w USA instytut zajmujący się badaniami i analizami zagadnień dotyczących Tajwanu i relacji w Cieśninie Tajwańskiej. Kierujący think tankiem Robert Y. Lai stwierdził, że misją instytucji będzie także „formowanie liderów i zwolenników silnych relacji Tajwanu i Stanów Zjednoczonych”. Honorowym doradcą GTI został Lee Tenghui, były prezydent Tajwanu, nazywany także ojcem tajwańskiej demokracji. Wykształcony w Japonii i USA, 92-letni dziś Lee, jest prawdopodobnie jednym z najbardziej nienawidzonych przez komunistyczny reżim ChRL tajwańskich polityków m.in. dlatego, że jest głośnym orędownikiem niepodległości wyspy.

Na zbliżenie z USA stawia także wybrana na początku tego roku niepodległościową prezydent Tajwanu Tsai Ing-wen. USA, które obawiają się chińskiej dominacji w regionie, budują koalicję wymierzoną w Pekin, gdzie obok Japonii, Korei Płd., Wietnamu czy Filipin amerykańska administracja chce widzieć także Tajwan. ■

Raz tłący się, raz wybuchający żywym ogniem – konflikt w Syrii wyraźnie zaostrzył się po bezpośrednim zaangażowaniu weń najpierw Rosji, a ostatnio Turcji. W kwitającym niegdyś Lewancie ścierają się nie tylko interesy wielkich tego świata, i nie tylko swoje cele próbują osiągnąć państwa regionu, lecz także widzimy morderczą rywalizację nawet wśród samych islamistów.

Lewant krwią skąpany

Antoni Rybczyński

Takiej wojny domowej współczesny świat nie widział od lat 90. XX wieku i walk w Bośni i Hercegowinie. Ale jeśli tam można było mówić o trzech walczących ze sobą siłach (Chorwaci, Serbowie, muzułmanie), to dziś w Syrii lista uczestników liczy kilka razy więcej pozycji.

► **Kto z kim, przeciw komu**

Wojnę rozpoczęły protesty przeciwko Baszarowi el-Asadowi w marcu 2011 r. W wyniku krwawo stłumionych demonstracji część wojska przeszła na stronę opozycji i podjęła walkę z reżimem. Konflikt na początku był tylko starciem zwolenników reżimu z przeciwnikami Asada. Potem w siłę zaczęli rosnąć, z czasem stając się jednym z głównych graczy w konflikcie, islamisci. Z jednej strony ci z Państwa Islamskiego (IS), którzy w 2014 r. na części terytorium Iraku i Syrii proklamowali kalifat o nazwie Państwo Islamskie, z drugiej konkurenci powiązani z Al-Kaidą. Potem ci drudzy się podzielili, główna grupa rebeliantów związanych dotąd z Al-Kaidą, czyli Front al-Nusra, oderwała się od macierzystej siatki, tworząc nową organizację pod nazwą Dżabat Fatah al-Szam. Piątym kluczowym uczestnikiem wojny – obok Asada, umiarkowanej opozycji (głównie Wolna Armia Syryjska – FSA), islamistycznych rebeliantów oraz Państwa Islamskiego – są Kurdowie, walczący o autonomię (choć przeciwnicy mówią, że nawet o niepodległość). Na to wszystko nakładają się interesy wielu państw, które dostarczają broń stronom konfliktu, oraz bezpośredni militarny udział dwóch krajów: Rosji (oficjalnie od września 2015 r.) i Turcji (od sierpnia 2016 r.), jak też zagranicznych formacji szyickich (Hezbollah, milicje z Iraku) oraz sił specjalnych Iranu. Aby obraz był pełny, wypada dodać instruktorów i specjalistów zachodnich, głównie amerykańskich, oraz – już tylko w powietrzu – lotnictwo bardzo licznej międzynarodowej koalicji zwalczającej IS.

Sytuację komplikuje nie tylko mnogość uczestników wojny, lecz także sieć interesów, powiązań, sojuszków i konfliktów pomiędzy nimi. Zarówno jeśli chodzi o uczestników walk w Syrii, jak i zagranicznych ich protektorów i sprzymierzeńców. Najlepszym tego przykładem są Kurdowie. Turcja wysłała przeciwko nim swoje czołgi do północnej Syrii, bo jej zdaniem milicja YPG jest przedłużeniem zdelegalizowanej w Turcji Partii Pracujących Kurdystanu (PKK) i dąży do zbudowania syryjskiego Kurdystanu (Rojava). Tyle że ci sami Kurdowie są wspierani w walce z Państwem Islamskim przez USA, sojuszników... Turcji. Waszyngton i Moskwa są po przeciwnych



fot. PAP/Abaca

stronach barykady, jeśli chodzi o konflikt Asada z rebelią, ale jednocześnie obie stolice wspierają Kurdów. Którzy co prawda walczą z IS, ale też ścierają się z rebeliantami. Popieranymi przez USA. Zresztą o czym tu mówić, jeśli nawet sami Amerykanie mają problem z ustaleniem jednej polityki. Kiedy rozpoczęła się operacja „Tarcza Eufratu”, wkraczający z tureckimi czołgami rebelianci syryjscy byli wspierani przez CIA. I szybko starli się z Arabami z koalicji SDF, sprzymierzonymi z Kurdami, wspieranymi... przez Pentagon. Obok walki z islamskimi fundamentalistami Amerykanie są w obozie przeciwników Asada, podobnie jak Arabia Saudyjska, Katar i Jordania, a także Wielka Brytania i Francja. Zachód wspiera Syryjską Koalicję Narodową działającą na emigracji. Z kolei prezydenta Syrii otwarcie popierają Iran, radykalne ugrupowania szyickie z Libanu – Hezbollah oraz Rosja. Własną politykę syryjską prowadzi zaś Turcja.

► „Tarcza Eufratu”

Od początku konfliktu Ankara ostro występowała przeciwko reżimowi w Damaszku wspieranemu przez Iran i Rosję oraz – przy wszystkich problemach – koordynowała swoją politykę z USA i NATO. Turcja chyba najbardziej stanowczo podchodziła do kwestii odejścia Asada – co wynikało nie tylko z pewnych zaszłości, lecz także z faktu, że Ankara rościła sobie prawa do głównego protektora zbrojnej opozycji syryjskiej. Turkom nie podobała się opieszałość USA w Syrii, ale sami nie zaryzykowali zaangażowania zbrojnego. Zrobili to Rosjanie – od lat główny rywal Ankary w Syrii. Sytuacja na pograniczu syryjsko-tureckim zaostrzyła się w związku z obecnością rosyjskiego lotnictwa. W końcu Turcy zestrzelili bombowiec Rosjan. Między obu państwami doszło do niewidzianego od dekad napięcia. Półroczny okres konfrontacji wygrała Moskwa. Zarówno w stosunkach dwustronnych (sankcje ekonomiczne), jak i w Syrii, gdzie wojsko rosyjskie sparaliżowało wręcz działania tureckie i pomoc Ankary dla rebeliantów. Amerykanie Turkom nie pomogli, a sytuacja na froncie zaczęła się rozwijać bardzo niekorzystnie z punktu widzenia Erdogana (ofensywa Kurdów, porażki rebeliantów). Turecki prezydent dokonał więc wolty i zdołał relacje z Rosją zmienić z zimnej wojny w intensywną współpracę. Doszło także do zbliżenia z Iranem. Uzyskawszy zgodę Moskwy i Teheranu, Erdogan zrobił to, na co nie powazył się wcześniej, mając teoretycznie po swej stronie USA i NATO.

24 sierpnia tureckie oddziały, wraz z licznymi grupami rebeliantów, wkroczyły do Syrii, aby zająć opatrowane przez IS miasto graniczne Dżarabulus.

Wspierana przez USA koalicja SDF, której trzonem są Kurdowie (YPG), ale nie brak tu też Arabów i Turkmenów, uznała to za agresję. Wielkim zaskoczeniem dla Turków była postawa szczególnie Turkmenów, którzy dotychczas byli jednymi z najwierniejszych sojuszników Ankary. Brygada Sultana Seldżuka uznała jednak wkraczających Turków za okupantów. 27 sierpnia doszło do pierwszych starć. USA poleciły oddziałom YPG wycofać się na wschodni brzeg Eufratu, tak jak żądała tego Turcja na początku operacji. Na zachodnim brzegu w Manbidż (zajętym latem przez SDF) zostały oddziały niekurdyjskie. Apetyt na miasto ma Turcja, ale nie wiadomo, czy poważy się na jego zajęcie wyraźnie wbrew Amerykanom. Turcja chciałaby być jednak jednym z kluczowych graczy w operacji zajęcia Rakki, nieoficjalnej stolicy Państwa Islamskiego. Amerykanie chcieli, żeby arabski komponent SDF odegrał główną rolę w ataku na Rakkę (Kurdów z YPG lokalna ludność przyjęłaby wrogo). Ale teraz oddziały te są w dużym stopniu uwikłane w konflikt z Turkami i ich aliantami. To zaś oznacza, że USA mogą być zmuszone poprosić o pomoc Ankara właśnie. Pierwsze rozmowy na ten temat przeprowadzili w kuluarach szczytu G-20 Erdogan i Barack Obama.

Wkraczając do Syrii, Erdogan osiągnął kilka celów na raz. Po pierwsze, nikt już nie może zarzucić Turcji, że nie walczy z Państwem Islamskim. Po drugie, interwencja zablokowała budowę syryjskiego Kurdystanu. Po trzecie, Turcja stała się ważnym uczestnikiem rozgrywki w samej Syrii, a jako potencjalny zdobywca „stolicy” dżihadystów jeszcze bardziej umocnił swoją pozycję przed potencjalnymi rokowaniami w sprawie powojennej Syrii. Po czwarte, po wielu miesiącach niepowodzeń w polityce zagranicznej i rozszepianiu dotychczasowej strategii w regionie, Ankara odzyskała inicjatywę i może mówić o pierwszym dużym sukcesie dyplomatycznym. Turcja chce zbudować strefę buforową w trójkącie Dżarabulus–Azaz–Marea i zasiedlić ją przebywającymi teraz w obozach w Turcji uchodźcami z Syrii. W ten sposób zmieni się etniczny układ sił, trwale rozrywając jednolity pas zamieszkały przez Kurdów. Wydaje się, że właśnie neutralizacja tego zagrożenia jest obecnie najważniejszym celem tureckiej operacji. Nie chcąc ryzykować, atakując Manbidż, Erdogan zamierza uderzyć w Kurdów w innym punkcie. 19 września prezydent oświadczył, że wspierani przez jego kraj syryjscy rebelianci, po oczyszczeniu obszarów na północy Syrii z bojowników z Państwa Islamskiego, mogą teraz ruszyć dalej na południe. „Oczyszczono z terrorystów strefę o powierzchni 900 kilometrów kwadratowych. Obszar ten powiększa się na południe” – mówił Erdogan. Apetyty są duże, bo sam przyznał, że „bezpieczna strefa” może ostatecznie obejmować obszar

5 tys. kilometrów kwadratowych. Głównym celem jest teraz kontrolowane przez IS miasto al-Bab, położone w połowie drogi między leżącym przy turecko-syryjskiej granicy Dżarabulusem a Aleppo. Oficjalnie chodzi o walkę z dżihadystami, w rzeczywistości zaś to wyjście z Kurdami, którzy posuwają się ze wschodu na zachód i też mają chrapkę na al-Bab. Jeśli Turcja chce na dobre uniemożliwić połączenie enklaw kurdyjskich w jedną całość, musi być w al-Bab pierwsza.

► Skazani na zdradę

Wkroczenie sił tureckich zakończyło świetną pasję sił kurdyjskich. Przy życzliwej neutralności reżimu syryjskiego, a także wsparciu ze strony zarówno USA, jak i – niezależnie – Rosji, Rojava rozwijała się głównie kosztem Państwa Islamskiego, a po zajęciu 12 sierpnia miasta Manbidż, bliska była konsolidacji kontrolowanych przez siebie obszarów w Syrii. Operacja „Tarcza Eufratu” ma na celu zablokowanie połączenia Kurdów zza Eufratu z kantonem Afrin. To by bowiem oznaczało, że praktycznie cała południowa granica Turcji z Syrią znajduje się pod kontrolą kurdyjską. W lipcu więc Erdogan mówił: „Nie powinniśmy popełnić tych samych błędów, co w Iraku” (gdzie powstał autonomiczny Kurdystan).

Dziś Kurdowie zajmują pas przygraniczny od Iraku po Manbidż. Po wkroczeniu Turków swój marsz na zachód, ku drugiej swej enklawie Afrin, musieli poprowadzić bardziej na południe – w kierunku zajmowanego przez IS miasta al-Bab. Na razie Kurdowie chcą, by Rojava stała się częścią demokratycznej federacyjnej Syrii ze stolicą w Damaszku. Przede wszystkim oczekują, by uznano ich za rodowych pełnoprawnych mieszkańców Syrii – bo w świetle prawa tak nie jest. W każdej miejscowości i regionie zamieszkałym przez Arabów i Kurdów powinien być ich proporcjonalny udział w rządach. Oficjalnie uznawane byłyby wszystkie języki. Syryjscy Kurdowie i ich sojusznicy przyjmą w październiku konstytucję, która wprowadzi na północy Syrii nowy system rządów. Według założeń zawartych w projekcie stolicą północnej Syrii ma zostać miasto Al-Kamisli. Ustawa zasadnicza ma zostać przyjęta przez radę, w skład której wejdzie 151 członków. Ich prace koncentrować się mają też nad stworzeniem prawa wyborczego umożliwiającego przeprowadzenie wyborów na szczeblu lokalnym, a następnie regionalnym. Kurdowie zapewniają, że ich system autonomiczny będzie zapewniać prawa wszystkim mieszkańcom kontrolowanych przez nich obszarów.

W ciągu paru dosłownie tygodni sytuacja syryjskich Kurdów, dominującej partii PYD i jej zbrojnego ramienia YPG uległa gwałtownej zmianie. Jeszcze

w połowie sierpnia zdominowana przez Kurdów koalicja SDF zdobyła Manbidż, Amerykanie widzieli w YPG najlepszego sojusznika w wojnie z IS, a pomocy nie skąpiła Rosja skonfliktowana z Turkami. Teraz Amerykanie kazały wycofywać się i unikać starć z Turkami, szanse na połączenie z Afrin są iluzoryczne. Turcy czyszczą etnicznie przygraniczny rejon, a Rosja... Rosja tradycyjnie rozgrywa Kurdów z wielką dozą cynizmu. Z jednej strony Moskwa dała zielone światło na operację turecką, z drugiej utrzymuje dobre relacje z Kurdami, żeby mieć kij na Ankarę, gdyby ta znów dokonała wolta. Kurdowie są także wygodnym instrumentem nacisku na prezydenta Asada. Gdyby wygrał wojnę, to związani z Rosją Kurdowie będą gwarancją, że Asad nie będzie chciał zmniejszyć swej zależności od Kremla.

Tymczasem nieformalny pakt o nieagresji z Asadem już chyba nie obowiązuje. Alarmujące muszą być dla liderów Rojavy nieformalne kontakty Ankarę z Damaszkiem. Turcja ogłosiła też, że dopuszcza pozostanie Asada u władzy „tymczasowo”, zaś siły rządowe nieoczekiwanie zaatakowały Kurdów w mieście Hasaka. Dotychczas Damaszek nie ruszał YPG, gdyż postępy tych milicji osłabiały arabskich rebeliantów i prowokowały Turcję. Ale trzeba pamiętać, że wcześniej dynastia Asadów traktowała syryjskich Kurdów nie lepiej niż ich pobratymców rządu sąsiednich Turcji, Iraku i Iranu. 2,5-milionowa grupa etniczna była poddawana ciągłym represjom, a jednocześnie Hafez Asad pozwalał PKK i Abdullahowi Ocalanowi korzystać z baz na syryjskim pograniczu w prawie 30-letniej walce z Ankarą. Dopiero w 1998 r., gdy Turcja zagroziła Syrii wojną, Damaszek zdradził PKK. Wyrzucony Ocalan szybko wpadł w ręce Turków, a PKK zemdliła się na Syryjczykach, budując YPG. Kurdowie mają prawo obawiać się powtórki z 1975 r., gdy Amerykanie „sprzedali” ich rodaków w Iraku. Wtedy właśnie w Algierii porozumienie zawarły Irak z Iranem po tym, jak ówczesny sekretarz stanu Henry Kissinger przekonał szacha, żeby wycofał wsparcie dla kurdyjskiej rebelii w północnym Iraku przeciwko Bagdadowi. W efekcie powstanie, na czele którego stał Mustafa Barzani (ojciec obecnego przywódcy autonomii kurdyjskiej w Iraku Massuda Barzaniego), upadło, a socjalistyczne rządy partii Baas dokonały okrutnej zemsty na Kurdach.

► Wielka gra

Teraz także Kurdowie ryzykują, że zostaną pozostawieni sami sobie w obliczu wrogów. Tym bardziej, że mają wokół samych wrogów: Turków, Syryjczyków (i tych od Asada, i tych z opozycji) oraz dżihadystów. Rojava jest tylko jednym z wielu elementów syryjskiej roz-

grywki, ale może stać się fundamentem porozumienia Ankary z Damaszkiem. Wydaje się, że Erdogan prędzej zgodzi się na pakt z Asadem niż na autonomiczny byt kurdyjski. Ankara chce skonsolidować sunnicką zbrojną opozycję, co najmniej w północnej Syrii, a najlepiej w całym kraju, a następnie podzielić kraj. Na kontrolowany przez Asada zachód i centrum z Damaszkiem (pod faktycznym protektoratem rosyjsko-irańskim) oraz północ i wschód opanowane przez sunnickich rebeliantów zależnych od Ankary. Jest jednak jeden problem. Mamy rok 2016, a nie 2012. Jak mówi anonimowe źródło portalu Al-Monitor, „wojna w Syrii jest wojną ideologii. Szyccy bojownicy umierają za dwunastu imamów, członek YPG umiera za Ocalana i kurdyjski nacjonalizm. Kto poświęci siebie dla Wolnej Armii Syryjskiej? Bez motywacji dżihadystycznej większość FSA wygląda bardziej na gang najemników walczących za pieniądze”. Mówiąc krótko, chodzi o ogromne ryzyko, że syryjscy rebelianci wykną się spod kontroli Ankary, a górę wśród nich ostatecznie wezmą islamisci.

Oczywiście nie ci z IS, lecz ci z formacji walczących z Asadem. Wkroczenie Turków, nawet pamiętając o głównym ich celu, uderzyło mocno w i tak będących od wiosny w odwrocie dżihadystów. Padł Dżarabulus, a 4 września ogłoszono, że Państwo Islamskie zostało wyparte przez rebeliantów z ostatniej pozycji w Syrii przy granicy z Turcją. Teraz dżihadysty nową linię obrony budują, opierając się na al-Bab, ale muszą też wciąż brać pod uwagę ofensywę na Rakkę. Odepchnięcie od tureckiej granicy jest porażką również dlatego, że w ten sposób Państwo Islamskie zostało pozbawione drogi zaopatrzenia z zewnątrz i odcięte od świata. Przez granicę turecko-syryjską odbywał się przerzut ludzi, sprzętu i uzbrojenia zasilającego IS. Państwo Islamskie traci bowiem kolejne tereny w Syrii i kolejnych kluczowych liderów. Pod koniec sierpnia w rejonie Aleppo zginął Abu Muhammad al-Adnani, rzecznik IS i szef operacji zagranicznych, a więc człowiek stojący m.in. za zamachami w Europie. To Adnani, a nie formalny przywódca IS Abu Bakr al-Bagdadi, jako pierwszy ogłosił utworzenie kalifatu w 2014 r. Był głównym ideologiem i pomysłodawcą kolejnych śmiałych projektów. Był numerem 2 w całym Państwie Islamskim i potencjalnym następcą Abu Bakra. Należał do starej gwardii IS, był jednym z niewielu, którzy mieli związki jeszcze z założycielem Al-Kaidy w Iraku (potem przekształconej w Państwo Islamskie). Ale przede wszystkim jego śmierć może załamać syryjski front IS. Był „gubernatorem” Syrii, urodzonym w Syrii, jednym z kilku zaledwie wysokich rangą działaczy IS nazywających Syrię domem.

Kto wejdzie w próżnię po IS? Obecnie największe na to szanse ma Turcja. Co coraz mniej podoba się

w Moskwie, a jeszcze krytyczniej odnoszą się do „Tarczy Eufratu” Irańczycy. Teheran wezwał do szybkiego zakończenia wojskowej ofensywy Turcji w północnej Syrii, twierdząc, że obecność tureckich oddziałów tylko doprowadzi do eskalacji konfliktu. Szef MSZ Iranu Bahram Ghasemi nazwał ruch Turcji naruszeniem terytorialnej integralności Syrii. Persowie mają prawo do niepokoju, bo ktoś dziś próbuje ugrać coś, bazując m.in. na irańskim wysiłku na rzecz utrzymania Asada. Według irańskiej emigracji politycznej operacjami oddziałów z Iranu w Syrii dowodzi sztab ulokowany w tajnej kwaterze głównej w Damaszku, tzw. Domu ze Szkła. Pod dowództwem irańskim ma walczyć w Syrii nawet w sumie 60 tys. ludzi. Od 2011 r. Teheran wydać miał na wspieranie Asada co najmniej 100 mld dolarów. Zdaniem większości ekspertów w Syrii walczy jednak tylko 13–15 tys. irańskich sprzymierzeńców (Hezbollah, szyici z Iraku, Afganistanu, Pakistanu) nadzorowanych przez około 3 tys. oficerów regularnej armii.

Wejście Turcji do gry z pewnością jeszcze bardziej skomplikowało i tak nieproste relacje Rosji z Iranem. Ich trudny charakter najlepiej oddaje sprawa wykorzystania przez lotnictwo rosyjskie jednej z baz w Iranie. Moskwa zrobiła z tego wielkie propagandowe show, na co Iran zareagował nadzwyczaj ostro. Persowie nie ufają Moskalom. Podejrzewają, że Rosja w razie czego bez skrupułów podzieli się zyskami z końca wojny w Syrii z USA i monarchiami Zatoki, kosztem Iranu. Druga kwestia to pamięć o sowieckiej okupacji części Iranu w latach 40. XX w. Teheran nie chciał, żeby Irańczycy wiedzieli, że ktoś obcy, i to na dodatek Rosjanie, stacjonuje na terytorium Iranu. Długi język Moskwy spowodował ostrą reakcję sojuszników. Moskwa zapewne chciała z bazy Shahid Nojeh uczynić drugą Hmeimim. Pojawiające się w rosyjskiej propagandzie doniesienia, że Moskwa uzyskała bazę wojskową w Iranie, dolały oliwy do ognia. Rząd próbował się wybronić mówieniem, że rosyjskie lotnictwo jedynie uzupełniało zapasy paliwa. Wycofanie samolotów rosyjskich z bazy w Iranie nie jest ani jakimś osiągnięciem, ani porażką w stosunkach rosyjsko-irańskich. Po prostu doskonale oddaje naturę tej relacji: wymuszone okolicznościami partnerstwo w Syrii.

Iran, Turcja i Rosja grają w Syrii jak się tylko da – a USA pozwalają na wiele. Kosztem setek, a nawet tysięcy istnień ludzkich. Na początku września podano nowe porażające statystyki. W wojnie, od marca 2011 r., miało zginąć co najmniej 301 tys. ludzi (!). To tylko udokumentowane przypadki. W rzeczywistości umrzeć mogło nawet 430 tys. ludzi, w tym prawie 87 tys. cywilów. Wiadomo, że zginęły 52 tys. rebeliantów i bojowników SDF, 52 tys. dżihadystów, 60 tys. żołnierzy armii rządowej. ■

tłumaczył Antoni Rybczyński

Władimir Putin wraca do historycznych korzeni – pisze Stephen Kotkin, profesor historii na Uniwersytecie Princeton, naukowy współpracownik Instytutu Hoovera przy Uniwersytecie Stanforda. Znacząca historia Rosji wskazuje, jak wiele wspólnego ma obecna polityka zagraniczna Moskwy z tymi prowadzonymi w XVIII czy XIX w. Tekst zamieszczony został 17 sierpnia na Geopolitika.lt, stronie internetowej litewskiego Centrum Analiz Geopolitycznych. Publikujemy jego fragmenty.

Stephen Kotkin

Wieczna geopolityka Rosji

Już od 500 lat rosyjska polityka zagraniczna wyróżnia się zawyżonymi ambicjami przekraczającymi możliwości kraju.

Od panowania Iwana Groźnego w XVI wieku Rosja na przestrzeni kilkuset lat rozszerzała swoje terytorium w średnim tempie 130 kilometrów kwadratowych dziennie, w wyniku czego zajmuje dziś jedną siódmą część ziemskiego lądu. W 1900 r. była czwartą lub piątą przemysłową potęgą świata i największym producentem rolnym w Europie. Jednakże PKB na głowę w Rosji wynosiło zaledwie 20 proc. analogicznego wskaźnika w Wielkiej Brytanii i 40 proc. w Niemczech. Średnia długość życia w Rosji carskiej wynosiła 30 lat – więcej niż w brytyjskich Indiach (23), tyle samo co w imperium chińskim, ale już znacząco mniej niż w Wielkiej Brytanii (52), Japonii (51) i Niemczech (49). Tylko 33 proc. ludności umiało pisać i czytać na początku XX wieku – mniej niż w Wielkiej Brytanii w XVIII w. Te cyfry były dobrze znane rosyjskiemu politycznemu establishmentowi, ponieważ jego przedstawiciele często podróżowali po Europie, porównując swój kraj ze światowymi liderami (tak jak robią i dziś).

► Słabe wielkie państwo

W historii odnotowano trzy okresy rosyjskiej dominacji. Zwycięstwo Piotra I nad Karolem XII i upadek Szwecji na początku XVIII w., co pozwoliło Rosji umocnić potęgę na Bałtyku i w Europie. W drugiej dekadzie XIX wieku – zwycięstwo Alek-

sandra I nad Napoleonem, dzięki czemu Rosji przyszło decydować o losach wielkich krajów w Paryżu. I zwycięstwo Stalina nad mianikiem Adolfem Hitlerem, prowadzącym hazardową geopolityczną grę w latach 40. XX wieku. Rosja doszła do Berlina i stworzyła w Europie Wschodniej sieć krajów-satelitów, a także odegrała centralną rolę w budowie powojennego światowego porządku. Nie licząc tych zwłotów, Rosja niemal zawsze była stosunkowo słabym wielkim państwem. Nieudana wojna krymska 1853–1856 położyła kres jej sławie po zwycięstwie nad Napoleonem i zmusiła do przyjęcia spóźnionej decyzji o zniesieniu pańszczyzny. Rosja ustąpiła Japonii w konflikcie zbrojnym 1904–1905, co było pierwszą porażką europejskiego państwa z azjatyckim we współczesnych czasach. Przegrała I wojnę światową, i to doprowadziło do upadku monarchii. A potem została zmuszona ustąpić w zimnej wojnie, co wywołało krach sowieckiego reżimu – następcy rosyjskiego imperium.

Rosja pozostaje największym krajem świata, ale jest mniejsza niż wcześniej, a terytorium w naszych czasach nie ma takiego znaczenia dla statusu wielkiego państwa, jak kapitał ludzki i wzrost gospodarczy – sfery, w których Rosja także przeżywa upadek. Rosyjski PKB liczony w dolarach osiągnął najwyższy poziom w 2013 r., nieznacznie przekraczając 2 tryliony,

a potem spadł do 1,2 trylionu z powodu spadku cen ropy i kursu rubla. Rosyjska gospodarka to zaledwie 1,5 proc. światowego PKB i 1/15 gospodarki USA. Do Rosji przylgnęła też na dobre reputacja najbardziej skorumpowanego rozwiniętego kraju. [...]

► Poczucie szczególnej misji

Rosjanie zawsze uważali swój kraj za wyjątkowy. Będąc następcą imperium bizantyjskiego, ma on do wypełnienia szczególną misję dla świata. W różnych epokach przyjmowało to różne formy: Trzeci Rzym, pansłowiańskie carstwo, światowy sztab komunistycznej międzynarodówki. Dziś zaś słyszymy o eurazjatyzmie – ruchu, któremu początek dali rosyjscy emigranci w 1921 r. Zdaniem jego adeptów Rosja nie jest ani europejskim, ani azjatyckim państwem, ale czymś unikatowym i niepowtarzalnym, zagadkową hybrydą cywilizacji. Poczucie szczególnej misji zachęca Rosję do unikania formalnych sojuszów i tłumaczy jej niechęć do wstępowania do międzynarodowych organizacji, jeśli nie może ona w nich pretendować do roli dominującego członka. Napelnia to rosyjskich obywateli i przywódców dumą, ale powoduje też ich niechęć do Zachodu, który jakoby nie docenia unikatowości i wagi Rosji. [...] W efekcie rosyjskie rządy zwykle wahają się między nawiązaniem bliższych stosunków z Zachodem a oburzeniem z racji rzekomego lekceważenia Rosji – przy czym żadna z tych tendencji nie jest dominująca.

Jest jeszcze jeden czynnik wpływający na rolę Rosji w świecie – unikatowa geografia. Nie ma ona naturalnych granic, jeśli nie liczyć Pacyfiku i Oceanu Lodowatego Północnego, który dziś także jest spornym obszarem. Rosja cały czas czuje się narażona na agresję sąsiadów i niekiedy broni się, przejawiając agresję. Jakikolwiek są pierwotne przyczyny rosyjskiego ekspansjonizmu, często spontanicznego, liczni przedstawiciele politycznej elity z czasem zaczęli uważać, że tylko ruch na zewnątrz zabezpieczy wcześniejsze podboje. W ten sposób Rosja zawsze próbowała zapewnić sobie bezpieczeństwo, przesuwając się wciąż dalej i dalej po to, by uprzedzić napad. Dziś małe kraje na granicach Rosji rzadko uważa się za jej potencjalnych przyjaciół i częściej patrzy się na nie jako na potencjalny obszar dla inwazji. Tego typu obraz zastrzył się po upadku ZSRS. Inaczej niż Stalin Putin nie uznaje istnienia ukraińskiej nacji, od-

dzielnej od rosyjskiej. Jednak tak jak Stalin uważa wszystkie formalnie niepodległe kraje, mające wspólną granicę z Rosją, w tym Ukrainę, za narzędzie w rękach zachodnich państw, gotowych wykorzystać je przeciwko Rosji. [...]

► Zacząć myśleć realnie

Gdyby rosyjskie elity pojmowały wyjątkowość swojego kraju w innych kategoriach i zrezygnowałyby z bezsensownego konkurowania z Zachodem, mogłyby skierować państwo na bardziej perspektywiczną i mniej kosztowną drogę rozwoju. Patrząc na dynamikę lat 90., wydawało się, że tak będzie, dopóki do władzy nie doszedł Putin. Elity znów zaczęły mówić o „nożu w plecy”: tak jakby arogancki Zachód zignorował rosyjskie gesty dobrej woli w ostatnich dwóch dekadach, a nie na odwrót. [...] Oczywiście, że Waszyngton wykorzystywał słabość Rosji w czasach prezydentury Borysa Jelcyna i zaraz po nim. Ale nie trzeba analizować wszystkich aspektów zachodniej polityki, żeby pojąć, iż ewolucja Putina nie zawsze była reakcją na zewnętrzną sytuację. W dużo większym stopniu kształtowała się pod wpływem wewnętrznych czynników.

Wielkomocarstwowa duma i poczucie szczególnej misji globalnej przeszkoziły postsowieckiej Rosji stać się jeszcze jedną częścią europejskiego projektu lub zbudować nierówne (co było nieuniknione) partnerstwo ze Stanami Zjednoczonymi. Dopóki Rosja nie sprowadzi swoich dążeń do poziomu możliwości, nie będzie mogła stać się „normalnym” krajem, niezależnie od wzrostu PKB na głowę czy innych liczbowych wskaźników.

[...] Rosja ma rację, uważając uregulowania po zakończeniu zimnej wojny za nierówne, a nawet niesprawiedliwe. Ale taki stan rzeczy nie był wynikiem aroganckiego poniżenia czy zdrady – prędzej nieuniknionym wynikiem decydującego zwycięstwa Zachodu w konfrontacji z ZSRS. W wielowymiarowej globalnej rywalizacji – politycznej, gospodarczej, kulturowej, technologicznej i wojskowej – Związek Sowiecki przegrał na wszystkich frontach. Przy Michaiile Gorbaczowie Kreml wołał wyjść z gry, ale to pokojowe zakończenie nie zmieniło charakteru wyjścia lub jego przyczyn, z którymi postsowiecka Rosja nigdy się nie pogodziła.

Świat zewnętrzny nie może zmusić Rosjan do [...] pogodzenia się z przeszłością. Ale nie ma powodów, dla których Rosjanie sami mieliby tego nie uczynić. Popatrzmy na Francję, która zachowuje poczucie własnej wyjątkowości, choć pogodziła

się z utratą zewnętrznego imperium i poczucia szczególnej misji na świecie. Francuzi przemysłili narodową ideę tak, by odpowiadała ona mniej znaczącej roli tego kraju w świecie, i zjednoczyli się z innymi państwami na warunkach pełnej równości. Czy Rosja może, nawet przekształcając się, wejść do Europy? Pytanie pozostaje otwarte. Ale żeby ten proces się zaczął, władze muszą przekonać społeczeństwo do potrzeby ciągłych oszczędności i zacząć trudną wewnętrzną restrukturyzację. [...]

Czy Rosja ma alternatywę dla strukturalnych reform i europeizacji? Od dawna ma wyjście na Ocean Spokojny, a i tak nie stała się azjatyckim państwem. Rosja może pretendować do roli dominatora w swoim regionie. Żadne z pozostałych państw, na które rozpadł się ZSRS, nie dysponuje

wielkich handlowych partnerów. Nawet Niemcy pogodziły się ze stratami dla swego biznesu, popierając sankcje. „Wygląda na to, że tak zwani zwycięzcy w zimnej wojnie twardo zamierzają uzyskać wszystko i przebudować świat w taki sposób, żeby przede wszystkim służył tylko ich interesom” – oświadczył Władimir Putin w klubie dyskusyjnym Władaj w październiku 2014 r., niedługo po aneksji Krymu.

Jednak główne zagrożenie dla Rosji pochodzi nie z NATO czy Zachodu, lecz ze strony jej własnego reżimu. Putin uratował rosyjskie państwo przed rozpadem, ale skierował je na drogę wiodącą do zastoju i nawet możliwego krachu. Prezydent i jego klika mówią o bezwzględnej konieczności postawienia na ekonomiczny rozwój, ale nie decydują się na głęboką wewnętrzną restrukturyzację, bez

ROSYJSKIE RZĄDY ZWYKLE WAHAJĄ SIĘ MIĘDZY NAWIĄZANIEM BLIŻSZYCH STOSUNKÓW Z ZACHODEM A OBURZENIEM Z RACJI RZEKOMEGO LEKCEWAŻENIA ROSJI – PRZY CZYM ŻADNA Z TYCH TENDENCJI NIE JEST DOMINUJĄCA.

porównywalną armią i uzbrojeniem i – nie licząc krajów bałtyckich – wszyscy sąsiedzi w tym czy innym stopniu są od niej zależni gospodarczo. Tyle że wojskowa przeważy w regionie i ekonomiczny narzędzia wpływu w Eurazji nie gwarantują Rosji trwałego statusu wielkiego mocarstwa.

Putinowi nie udało się zapewnić sukcesu Euroazjatyckiej Wspólnocie Gospodarczej, nawet gdyby wszyscy jej potencjalni członkowie zjednoczyli się i pracowali razem, ich wspólny ekonomiczny potencjał pozostałby stosunkowo niewielki. Rosja to wielki gracz, który może być atrakcyjny, ale sąsiednie kraje widzą zarówno zalety, jak i wady dwustronnego handlu z Moskwą. Tymczasem rozreklamowane „strategiczne partnerstwo” z Chinami, jak oczekiwano, przyniosło mało pieniędzy i inwestycji ze Wschodu – wyraźnie za mało, by zrekompensować zachodnie sankcje.

Współczesna, przeżęta muskuły Rosja w rzeczywistości przeżywa strukturalny upadek. Swymi działaniami Putin nieświadomie uczynił Ukrainę bardziej jednorodną etnicznie i bardziej zorientowaną na Zachód. Moskwa ma napięte stosunki z niemal wszystkimi sąsiadami, włączając w to

której dany cel jest nieosiągalny. Wolą zamiast tego inwestować ogromne środki w modernizację armii. [...]

Dzisiejsza Rosja nie jest rewolucyjnym państwem zagrażającym światowemu porządkowi. Moskwa działa w ramach znanej wielkomocarstwowej szkoły stosunków międzynarodowych, w której podmiot stawia się ponad moralnością, konflikt uważa się za nieunikniony, na pierwszym miejscu stawia się wyższość brutalnej siły i kulturuje się cyniczne podejście względem innych krajów. W niektórych regionach i w określonych kwestiach Rosja może pokrzyżować plany USA, ale nie jest w stanie zagrozić im na taką skalę, na jaką mogło być niebezpieczne ZSRS, dlatego nie ma potrzeby rozpoczynania nowej zimnej wojny w reakcji na jej wysoki. Realne wyzwanie sprowadza się do oczekiwań Moskwy, by Zachód uznał rosyjską strefę wpływów w byłej sowieckiej przestrzeni (z wyjątkiem państw bałtyckich). Ale na które to Zachód nigdy nie pójdzie. Jednocześnie Zachód nigdy nie będzie mógł naprawdę obronić terytorialnej integralności krajów znajdujących się w sferze wpływów Moskwy. ■

opracował

Stefan Czerniecki



W Rio znów narzekanie

Zrobienie przeglądu prasy latynoskiej z wakacji, które nie tak dawno się skończyły, nie mogło mieć innego finału. Zwłaszcza że podczas tych wolnych dni miało miejsce wydarzenie, które zajmowało przez miesiąc uwagę całego świata. Igrzyska olimpijskie na latynoskim kontynencie.

Choć w tych dniach to zmagania najlepszych zawodników świata najbardziej przykuwały uwagę opinii publicznej, prasa latynoska nie zajmowała się wyłącznie tematem sportowej rywalizacji. Zwróciła uwagę na zupełnie inne problemy niż rekordy świata na bieżni czy torze pływackim.

► Pekin 2008 – to było coś

Eduardo J. Castelao pisał w hiszpańskojęzycznym „El Mundo”:

„Scena w posuwającej się bardzo wolno, liczącej około tysiąca osób kolejce:

- Dzień dobry. Można prosić butelkę wody?
- Tak, mamy jeszcze kilka. 8 reali (około 2,2 euro) za butelkę.
- Poproszę więc – wyciągam banknot 10 reali.
- Niestety, bardzo mi przykro. Można płacić jedynie kartą.

Moje oczy przypominają w tej chwili oczy niemieckiego piłkarza Özila.

Jeszcze inna sytuacja. Tym razem 11.00 rano. Wypożyczalnia rowerów.

- Witam. Można prosić sałatkę?
- Przykro mi. Mamy tylko kanapki warzywne.
- Ale przecież tam widzę leżące składniki. Do lasagni, do kanapek, są owoce..
- Tak, ale sałatki nie mogę panu dać. Przepraszam.

Przedstawienie prawdziwego obrazu Igrzysk Olimpijskich w Rio de Janeiro mimowolnie stawia warunek porównania tego, do czego dochodzi tutaj, z tym, co działo się na poprzednich igrzyskach. Pekin 2008 to był bez wątpienia perfekcjonizm. Ukazanie światu państwowych zdolności do mobilizacji ludzi i zasobów. To oczywiście miłe, gdy dziennikarza wozi się wszędzie autobusem, a następnie z autobusu na konkretne już areny sportowe podwozi się dodatkowo wózkami golfowymi. To oczywiście miłe, gdy 37 wolontariuszy powie nam dokładnie, gdzie znajdują się drukarki. To miłe, ale chyba nie do końca konieczne. Londyn zapamiętamy z kolei z przesadnych środków bezpieczeństwa (średnio sześć kontroli na dobę), trudności w pokonaniu ogromnych odległości między sportowymi arenami, ale za to z przykładowym systemem środków transportu publicznego, zwłaszcza metra. Olimpijska Karta Oyster dawała prawo do wielokrotnych przejazdów transportem miejskim. Tutaj w Rio też są podobne karty, ale mają ograniczenie na cztery przejazdy. Za piąty już zapłacimy. [...]

Dostanie się na stadion Maracana w piątek wiązało się z godzinną jazdą autobusem i koniecznością stania w 60-minutowej kolejce (stoją tu wszyscy bez wyjątku: publiczność i prasa). A wszystko po to, aby po przyjeździe na miejsce uświadomić sobie, że godzinę przed imprezą w okolicznych automatach z jedzeniem nie ma już

zupełnie nic. Biedni wolontariusze mogli odpowiadać jedynie: »Bardzo nam przykro«.

► (Nie)bezpieczeństwa

„Na ulicach Rio wszędzie widać oddziały Armii Krajowej oraz Força (dodatkowe jednostki militarne utworzone w 2004 r.), których obecność jest równie przytłaczająca jak świadomość panującego wokół wirusa coli. Wśród wojskowych widać też rezerwistów (łatwo ich rozpoznać – chodzą w dresach). Płacenie za cokolwiek warunkowane jest posiadaniem karty (tylko Visa, która to od lat płaci za ten przywilej 100 mln dolarów).

wszystkich, którzy musieli zbyt długo czekać w kolejkach w spiekocie. Musimy wiele poprawić w tej kwestii» – oznajmił w specjalnym oświadczeniu rzecznik Rio 2016 Mario Andrade e Silva. [...]

Kolejki miały mieć nawet kilometr długości. Ekonomista Nathalia Lopes, który spóźnił się na rywalizację gimnastyczek, skarży się i stawia sprawę jasno: »To brak szacunku dla ludzi, którzy kupili bilety. Jestem naprawdę wściekły«.

Kolejny problem dotyczy wspomnianego już braku jedzenia. „W kilku obiektach olimpijskich skończyły się dostawy żywności. Choćby pod stadionem Deodoro, gdzie od wczesnego popołudnia kawiarnie sprzedawały już wyłącznie napoje”.

CZAS ROZPOCZĄĆ KOLEJNY DZIEŃ NA IGRZYSKACH. KOLEJNY DZIEŃ ROZMÓW TOCZONYCH W PRZYCIEMNIONYCH POKOJACH BEZ ŻARÓWEK BĄDŹ Z ZEPSUTYMI LAMPAMI.

W sobotę grupa hiszpańskich pływaków postanowiła na znak protestu położyć się na podłodze, ponieważ autobus, który miał ich zabrać na pływalnię, w ogóle się nie pojawił.

Czas rozpocząć kolejny dzień na igrzyskach. Kolejny dzień rozmów toczonych w przyciemnionych pokojach bez żarówek bądź z zepsutymi lampami. I kolejny dzień z pokojowymi sejfami, które wprawdzie mają kod, ale których zamki są jednocześnie tak luźne, że gwarancji na ich bezpieczeństwo nie ma praktycznie żadnych” – czytamy dalej.

► Upał, kolejki i tłok w metrze

Gorzkie słowa hiszpańskiego dziennikarza nie są wyjątkiem. Na podobne problemy wskazuje lektura tekstu opublikowanego na brazylijskim portalu Esporte: „Po początkowym sukcesie, jakim okrzyknięto piątkową ceremonię otwarcia, na komitet organizacyjny Rio 2016 trzeba było wylać kubel zimnej wody. [...] Publiczność, która kupiła bilety na pierwszy dzień zawodów w Parku Olimpijskim, musiała długo cierpieć w upale, w długich kolejkach do wejść na sportowe kompleksy. Wszystko z powodu kontroli bezpieczeństwa. [...] »Przepraszamy

Również pod względem bezpieczeństwa kibice mieli organizatorom nieco do wytknięcia. „Przy słynnej plaży Copacabana, gdzie miała znajdować się meta męskiego wyścigu w kolarstwie szosowym, fanów zaskoczyła obecność policyjnych saperów, którzy zdecydowali się na kontrolowaną detonację podejrzanego pakunku. Operacja odbyła się za jednym ze stoisk, ponad dwie godziny przed przybyciem sportowców. Dźwięk detonacji słychać było podczas telewizyjnej transmisji na żywo”.

Wielu Brazylijczyków podkreśla, że – podobnie jak w przypadku organizacji piłkarskiego mundialu – ich kraj nie był gotowy do urządzania igrzysk olimpijskich. Jako przykład podają nową, czwartą linię metra, która miała być budowana w Rio de Janeiro specjalnie na to wydarzenie. Miała ona połączyć centrum miasta z Parkiem Olimpijskim w dzielnicy Barra da Tijuca. Datę oddania wielokrotnie przesuwano. Ostatecznie linię otwarto, ale pod warunkiem znacznego zmniejszenia docelowej przepustowości. Zamiast planowanych 300 tys. osób dziennie w czasie zawodów sportowych wpuszczało się ich o połowę mniej...

Można odnieść wrażenie, że większość mieszkańców Rio wolałaby, aby te igrzyska nigdy do nich nie trafiły. ■



Marcin Wolski

Bilans krzywd

Gdybyśmy pokusili się o dziejowy bilans win i krzywd naszego narodu, na tle innych państw wypadlibyśmy w nim wyjątkowo korzystnie. Zdecydowanie rzadziej bywalibyśmy agresorem niż przedmiotem agresji. Nasza ekspansja dokonywała się dzięki mariażom i między państwowym uniom, a nie za pomocą ognia i miecza. Historyczny altruizm, jak zauważył Jan Pietrzak, różni nas od mocarstw ościennych – my wojowaliśmy o wolność „naszą i waszą”, oni najczęściej o cudze i własne zniewolenia.

Skądinąd tradycje wrogości niekoniecznie pokrywają się u nas z rachunkami dziejowymi. Najboleśniej sę rany najświeższe, niekoniecznie najgłębsze.

Wielka tradycja monarchii jagiellońskiej nie może na bratniej Litwie wydobyć się spod skrupy młodego nacjonalizmu. W tradycji polskiej pokutuje obraz „germańskiej zawieruchy” i przerażającego Drang nach Osten, w praktyce ta najmniej naturalna granica Polski i Rzeszy była przez całe wieki najbardziej stabilna.

Napór żywiołu niemieckiego w pierwszych wiekach naszej państwowości i silna kolonizacja tracą moc w XIV wieku, a miasta prędko się polonizują. Zresztą Niemcy szybko słabną jako jednolity organizm i przestają być naszym głównym przeciwnikiem – walczyliśmy, i owszem, z Brandenburgią, z międzynarodowym zakonem krzyżackim, nigdy nie wojowaliśmy z Saksonią, której dynastia jest ciągle (na mocy Konstytucji 3 maja) prawnym dziedzicem korony polskiej. Aż do rozbiorów stosunki z Habsburgami ograniczały się do „szturechańców w rodzinie”. Śląsk utraciliśmy w XIV wieku na rzecz Czech, potem Austrii i dopiero w XVIII wieku zabrały go Prusy. O Pomorze Zachodnie wadziliśmy się z lokalnymi dynastiami, Duńczykami, Szwedami... Brandenburczycy byli tylko jednym z uczestników tej gry.

Legenda mówi o wielowiekowym konflikcie z Turcją. Tymczasem całe wieki stosunki bywały całkiem poprawne, w konflikty często wbrew

naszym interesom wplątywali nas obcy (Warna 1444 r., Wiedeń 1683 r.) lub nasi Kozacy, których łupieżcze wyprawy na Morze Czarne prowokowały odwet sultana. Skądinąd na wiktoria wiedeńskiej skorzystali najlepiej nasi wrogowie. Słaba Porta nie mogła pohamować imperialnych planów Rosji, a uratowany Wiedeń po dziewięciu dekadach zrewanżował się nam udziałem w zaborach. Niepamięć historyczna działa też w drugą stronę. Mało kto pamięta o trzech najbardziej niszczących najazdach dokonanych przez sąsiadów traktowanych dziś z sympatią. Mam na myśli głównych naszych rywali w średniowieczu: Czechów (najazd Brzetyśława w 1038 r. omal nie unicestwił młodej polskiej państwowości), Szwedów z niszczycielskim „potopem” i „bratanków” Węgrów. Skala okrucieństw i zniszczeń w wyniku najazdu Rakocze-go w 1667 r. była gigantyczna. Ale szybko zapomniana. Podobnie jak w niepamięć poszły zmienne stosunki polsko-ruskie w dobie Piastów i Rurykowiczów. Na naszych relacjach ciąży pamięć tego wszystkiego, co działo się od czasów Iwana Groźnego. Moskale pamiętają przeszkodę, jaką stanowiliśmy w „zbieraniu ziem ruskich”, nasze wygrane bitwy, „dymitriady”, krótkotrwałą okupację Moskwy 1610–1612. My – powolne umniejszanie Rzeczypospolitej, zabory, wreszcie epokę bolszewizmu. Niedawne konflikty zacierają dobre wspomnienia – udział Niemców w cudzie polskiego renesansu czy gigantyczną rolę Polski w Rosji w XVII wieku, gdy byliśmy jej oknem na świat, nauczycielem i mentorem (w Moskwie zresztą elity mówiły po polsku...).

Opowiadam o tym wszystkim, pokazując, jak złożoną materią jest historia i jak propaganda może w każdej chwili uczynić z odwiecznego wroga dobrosąsiedzkiego partnera. Dlatego uważam, że należy pilnie uczyć się historii, czcić pamięć ofiar i bohaterów, ale w bieżącej polityce kierować się bezwzględnie zasadami realizmu, korzyści i racji stanu.

Wiem, że czasami jest to bardzo trudne. ■



Tomasz Sakiewicz

Kierunek: polski rynek

Zawsze cieszyły mnie dobre informacje o rosnącym eksporcie polskich produktów. Problem polega na tym, że rosnący eksport nie może być dzisiaj celem, a jedynie skutkiem zdrowej gospodarki. Jej źródła rozwoju wcale nie znajdują się w portfelach cudzoziemców, a głównie polskich obywateli.

Jaki jest najbardziej naturalny sposób rozwoju przedsiębiorstw? Małe, rodzinne firmy zaczynają zaspokajając potrzeby swojego bliskiego otoczenia, potem produkują dla całego miasta i regionu. W trakcie swojego rozwoju, widząc ograniczenia własnego rynku, zaczynają penetrować rynki innych krajów. Oczywiście jest od tej reguły wiele wyjątków, ale nie stanowią one zapewne więcej niż dziesięć do dwudziestu procent całości przedsiębiorstw. Bardzo trudno jest małej firmie startować od eksportu, gdyż wymaga to nie tylko odpowiednich kontaktów, lecz także środków na rozliczenia, poniesienia dużych kosztów logistyki, uwzględnienia nieznanych wcześniej zagrożeń.

Gęsty system kooperacji rodzimych firm z zagranicą jest dowodem na rozwój rynku, ale sam rozwój następuje głównie we własnym kraju.

Od czego zależy rozwój małych firm?

Czynników jest bardzo wiele. Przede wszystkim środowisko, w którym powstają, musi mieć odpowiedni stopień zamożności. Jeżeli okoliczni mieszkańcy, kontrahenci nie będą mieli pieniędzy na kupowanie produktów nowej firmy, to ona nigdy nie zaistnieje.

Po drugie, a może nawet po pierwsze, ważna jest wiara obu stron, zarówno producentów, jak i klientów, w sensowność tego przedsięwzięcia. Bez pewnych cech psychologicznych początkującemu biznesmenowi trudno będzie odnieść sukces. Skłonność do umiarkowanego ryzyka, wytrwałość, pracowitość, chęć nieustannego doskonalenia się są podstawowymi warunkami sukcesu.

Istotne jest też nastawienie otoczenia. Przeglądając anonsy towarzyszące z okresu II Rzeczypospolitej, czytamy, że najbardziej poszukiwanym partnerem był... człowiek zamożny. Dzisiaj raczej powinniśmy zamienić to słowo na „przedsiębiorczy”. To przedsię-

biorczość jest gwarancją sukcesu. Nie wolno ludzi przedsiębiorczych traktować jak potencjalnie nieuczciwych. Wręcz przeciwnie, póki nie łamią prawa, należy ich społecznie nagradzać, bo to oni rozwijają gospodarkę. Ważne jest, by całe bliskie środowisko było nastawione na wspieranie lokalnej i rodzimej produkcji: wolę wyrób swojego sąsiada, bo wspieram w ten sposób moje miasto i mój kraj. Przy takim nastawieniu nie tylko rośnie wewnętrzny popyt, lecz także tworzą się nowe wzory produkcji i usług.

Ostatnim czynnikiem decydującym o sukcesie małych firm jest przyjazna infrastruktura urzędniczo-prawna. Skomplikowany system administracyjny zabija ducha przedsiębiorczości i rodzi korupcję. Nigdy nie rozumiałem, po co firma musi mieć zarówno numer NIP, jak i REGON. Pewnie ma to uzasadnienie historyczne, ale przeszkadza w pracy. Jednoosobowe firmy mogłyby mieć do rozliczeń tylko PESEL. Poziom skomplikowania rzeczy prostych jest u nas przerażająco niezrozumiały. Podobnie dzieje się z poborem obowiązkowych danin. Skoro ZUS jest obligatoryjny, przymusowe są składka na zdrowie i podatki, to nie byłoby lepiej, gdyby wszystko zbierał jeden urząd? Dla wielkiej korporacji tego typu problemy nie są przeszkodą. Dla małych firm to ogromne góry i pola minowe.

Tak jak nastawienie ludzi nie jest bez znaczenia w osiągnięciu sukcesu w sprzedaży produktów i usług, tak nastawienie państwa decyduje o tym, co jest wspierane, a co niszczone. Dzisiaj kierunkiem musi być rozwój własnego rynku, a podstawą produkcji rodzime firmy. Podatki na sieci handlowe nie tyle powinny służyć łataniu dziur w budżecie, ile zachęcać do promocji polskich wyrobów.

Tylko tak można rozwinąć naszą gospodarkę i zapewnić dobrobyt. ■

leżna niezależna niezależna niezależna

niezależna niezależna niezależna

niezależna

niezależna niezależna niezależna

leżna niezależna niezależna niezależna

niezależna niezależna

leżna niez niezależna niezależna

niezależna niezależna

leżna niezależna niezależna niezależna

niezależna niezależna niezależna

leżna niezależna niezależna niezależna

